ANALIZA MACIEJA PIECZYŃSKIEGO

Wspierajmy Ukrainę, ale nie za darmo

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 06/462 7–13 LUTEGO 2022

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Na co liczy Jarosław Gowin

Sławomir Mentzen bez pardonu o Polskim Ładzie

CO SIĘ DZIEJE W PiS?

Analizują Piotr Semka i Rafał A. Ziemkiewicz

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

eprasa.pl/e770601577

ORLEN

Tej zimy kolejna obniżka cen paliw

dzięki obniżce stawki
VAT z 23% do 8%

Rządowa
Tarcza Antyinflacyjna

epraso.pl e77d6b1577

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nowy sojusz i pytania

Media donoszą, że powstał nowy sojusz Polski, Wielkiej Brytanii i Ukrainy. Potwierdził to szef ukraińskiej dyplomacji. Jak wynika z dość ogólnych stwierdzeń ministra Dmytra Kułeby, „zadaniem nowego układu miałoby być przeciwstawienie się Rosji i wspólna praca na rzecz przyszłości europejskiego bezpieczeństwa". Jednocześnie premier Morawiecki ogłosił w Kijowie, że Polska zamierza przekazać pomoc zbrojną. Jak mówił premier, Polska jest gotowa „przekazać Ukrainie kilkadziesiąt tysięcy sztuk pocisków i amunicji artyleryjskiej, zestawy pocisków przeciwlotniczych Grom, a także lekkie moździerze oraz drony rozpoznawcze". Ma to być wyłącznie broń defensywna. Informacje o powstaniu trójstronnego sojuszu, a także o pomocy wojskowej dla Kijowa wywołały na ogół przychylne komentarze polskich dziennikarzy i polityków, tym razem nie tylko po stronie prawicowej. Czy słusznie?

Kiedy pierwszy raz usłyszałem o sojuszu Polski z Ukrainą z udziałem Wielkiej Brytanii, ścierpła mi lekko skóra. Z Wielką Brytanią? Cóż, nie mogę zapomnieć, że był to najbardziej cyniczny i zdradliwy sojusznik, jakiego miała Polska od 1939 r. i podczas całej drugiej wojny światowej. Właściwie słowo „sojusznik" nie jest odpowiednie. Jak bowiem można nazwać państwo, które najpierw udziela fałszywych gwarancji bezpieczeństwa, co sprawiło, że we wrześniu 1939 r. Hitler mógł bez obawy rzucić praktycznie wszystkie siły na Polskę, a następnie wydaje Polskę na łup Sowietów?

Jest jasne, że stałą cechą brytyjskiej polityki od XVIII w. jest utrzymywanie równowagi na kontynencie i zwalczanie każdego potencjalnego zagrożenia dla układu sił, który Londyn uważa za właściwy. Przy czym Brytyjczycy wolą nie robić tego sami. Z zagrożeniem dla swoich interesów walczą, jeśli to tylko możliwe, cudzymi rękami. To zrozumiałe: minimum ryzyka, maksimum pożytku. Czy podobnie jest i dzisiaj?

Zwalczanie odradzającego się rosyjskiego imperium to posunięcie logiczne. Brytyjczycy mogą to robić tym bezpieczniej, że w przeciwieństwie do Polski znajdują się od Rosji daleko. Bezpośrednie uwikłanie w konflikt im nie grozi. Jednak w przypadku Warszawy jest inaczej – Polska graniczy bezpośrednio z Rosją (obwód kaliningradzki) i przede wszystkim z Ukrainą. Ryzyko jest dla Warszawy nieporównywalnie większe niż dla Londynu.

Może jednak Polska nie ma innego wyboru? Może, jak to powtarza większość polskich komentatorów, suwerenność Ukrainy jest gwarancją polskiej niepodległości? Może polski interes narodowy polega po prostu na istnieniu silnej, suwerennej Ukrainy? W gruncie rzeczy niepodległość Polski i Ukrainy są tożsame?

Polski interes narodowy polega na istnieniu silnej Polski i na pilnowaniu jej bezpieczeństwa. Powinno to być jedyne właściwe kryterium oceny poszczególnych decyzji. Wynika z tego zatem, że, owszem, w interesie Polski jest istnienie suwerennej Ukrainy, ale przede wszystkim takiej, która jest Polsce przyjazna. Czy można to powiedzieć o obecnej postawie Kijowa? Jak ma się udzielana przez Polskę pomoc wojskowa do różnych nieprzyjaznych wobec Warszawy gestów? Czy udzielając pomocy Kijowowi, Warszawa zagwarantowała sobie ochronę interesów gospodarczych (słynna blokada transportu kolejowego wskazuje na to, że nie), historycznych (problem z odżywaniem banderyzmu pokazuje, że nie) i narodowych (kwestia praw polskiej mniejszości narodowej)? Nic o tym nie słyszałem.

Poza tym jest oczywiste, że w naszym interesie jest utrzymanie Ukrainy jako państwa suwerennego odgradzającego Polskę od Rosji. Czy jednak to wystarczy, by odpowiedzieć na pytanie, jak duże ma być zaangażowanie Warszawy po stronie Kijowa w ewentualnej wojnie z Rosją? Możliwe są tu dwie postawy. Zgodnie z pierwszą trzeba udzielić Ukrainie wszelkiej możliwej pomocy, łącznie z wojskową, bo tylko tak odstraszy się Rosję od napaści. Być może tak jest, jednak wszystko zależy od oceny sytuacji i sił każdej ze stron. Czy dostarczona przez Polskę pomoc zbrojna może mieć faktycznie taki charakter odstraszający? Czy też, przeciwnie, może zwiększyć prawdopodobieństwo uwikłania Warszawy w ewentualną wojnę Rosji z Ukrainą? I czy nie powinniśmy zachować wszelkich sił na wypadek bezpośredniego zagrożenia rosyjskiego? Tu wszystko zależy od oceny stanu polskiej armii i polskiego uzbrojenia, a także od tego, co się sądzi na temat determinacji Moskwy. Druga postawa mówi, że należy skupić się na pomocy dyplomatycznej.

Nie jest zapewne rzeczą roztropną prowadzenie polityki mocarstwowej przez państwo, które mocarstwem nie jest, i to jeszcze w sytuacji, w której konflikt tli się bezpośrednio przy polskiej granicy. Do zaangażowania wojskowego nie kwapią się inne państwa zachodnie – Niemcy czy Francja. Z drugiej strony postawa Stanów Zjednoczonych była ambiwalentna – być może ostatnia decyzja o wysłaniu dodatkowych żołnierzy jest przełomem i pokazuje, że Putin przeszarżował. W każdym razie liczyć powinna się chłodna kalkulacja polskich zysków i strat.

Szkoda, że na ten temat praktycznie nie toczy się w Polsce poważna debata. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
JANUSOWE OBLICZE KACZYŃSKIEGO
Co się dzieje w PiS?

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRANICA PYCHY

KRAJ

22 MACIEJ PIECZYŃSKI
WSPIERAJMY UKRAINĘ, ALE NIE ZA DARMO
Sojusz jednostronny

24 KAMILA BARANOWSKA
POWRÓT GOWINA

26 ŁUKASZ ZBORALSKI
BOGATSI I MARTWI

28 TOMASZ ROWIŃSKI
OBUMIERANIE KOŚCIOŁA W POLSCE

30 ROZMOWA Z BARBARĄ PIELĄ
CIĘŻKIE CZASY RODZĄ SILNYCH LUDZI

KULTURA

32 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
JEDNO WESELE POLSKO-ŻYDOWSKIE I CZTERY POGRZEBY
Zmarnowane tematy i szmiry na ekranach

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM
PAŃSTWO WROGIEM PRZEDSIĘBIORCÓW
Rządzący chcieliby nam urządzić drugi PRL

46 MAREK JUREK
CIĄGŁOŚĆ PAŃSTWA CZY AWANTURY?

50 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
PO PROSTU APOLOGETA

HISTORIA

52 SEBASTIAN LIGARSKI
CHIŃSCY MEDIATORZY
Październik 1956 r. w Polsce

56 PIOTR SEMKA
PRZEMYSŁAW GÓRNY – „CHŁOPAK O PŁOMIENNYM SPOJRZENIU"

ŚWIAT

60 OLIVIER BAULT
ZEMMOUR KONTRA LE PEN
Prawicowy bratobójczy pojedynek

62 PIOTR WŁOCZYK
TRUCKERZY U TRUDEAU

64 ANDRZEJ T. SOLECKI
CZY CZEKA NAS WULKANICZNA ZIMA?

66 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MEDALOWE ZMAGANIA ZA MUREM

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
NOWA RADA NA BURZLIWE LATA
Zmiana układu sił w RPP

72 JACEK PRZYBYLSKI
EMERYTURA DLA NASTOLATKÓW?

FELIETONY

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (59), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (77), KARWELIS, POSPIESZALSKI (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e77d6b1577

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Eurosceptycyzm do usunięcia

Mam sugestię do redakcji „Do Rzeczy", wszystkich redaktorów i czytelników. Usuńmy z naszego słownika słowo „eurosceptyczny" wraz z wyrazami pokrewnymi. Chwila namysłu nad tym pokracznym tworem wykazuje jego semantyczny nonsens. Zastosujmy analogię: Czy ktoś słyszał o „azjosceptykach" albo „afrykosceptykach"? Co by to niby miało oznaczać? Niechęć do tych kontynentów? Kwestionowanie ich istnienia? Jeśli na przykład miałbym obiekcje co do funkcjonowania umowy NAFTA, to nie jestem „amerykosceptykiem", tylko ewentualnie „naftosceptykiem", czyli kwestionuję NAFTĘ, a nie kraje wchodzące w jej skład, a tym bardziej kontynent, na którym leżą! A jednak w Polsce codziennie przez wszystkich możliwe przypadki odmieniany jest horrendalny wyraz „eurosceptycyzm" i to niestety nie tylko w lewicowych mediach. Słowo można by od biedy przyjąć, jeśli mielibyśmy debatę o walucie euro, ale nie o Unii Europejskiej! Sednem sporu jest Unia, nie Europa.

Konkludując, postawą moją oraz pewnej części polskiego społeczeństwa jest unioscepticyzm. Wyraz nieporównanie dokładniejszy i uzupełniany kontekstem. Eurosceptycyzm natomiast to retoryczna pałka, którą okłada nas lewica i jak to u lewicy bywa, termin słabo ma się do rzeczywistości, za to brzmi pejoratywnie i od razu ustawia oponenta na słabszej pozycji. Aby skutecznie walczyć, trzeba odkłamać język. Jak najprędzej wyrugujmy więc z naszego życia ten termin i zwracajmy uwagę tym, którzy nas tak przezywają.

Tomasz Gracz

REKLAMA

Panu

Jarosławowi Grzesikowi

Przewodniczącemu Krajowego Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność" wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci Taty

składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy Centrali Zbytu Węgla „Węglozbyt" S.A.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Piotr Molęcki/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e77d6b1577

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Uciekają, wciąż uciekają

Każdy, kto czytał „Przygody Sindbada Żeglarza" pióra Bolesława Leśmiana, pamięta postać wuja Tarabuka. Po tym, jak wuj parę razy utracił w różnych wypadkach swoje wiersze, postanowił utrwalić je poprzez uczenie dziesiątek niewolnic swoich poematów na pamięć. Cóż z tego, skoro młode dziewczyny znudziły się wkuwaniem średniej jakości poezji wuja i po kolei uciekały z zalotnikami? Powróciwszy z kolejnej zamorskiej wyprawy Sindbad napotkał zdruzgotanego Tarabuka na progu swego pałacu, który zrozpaczony powtarzał tylko: „Uciekają, wciąż uciekają!".

Dziś ten pełen rozpaczy okrzyk mógłby powtórzyć Włodzimierz Czarzasty, lider Nowej Lewicy. Oto – jak twierdzi działacz koła PPS Jakub Pietrzak – ponad 300 osób odeszło z Nowej Lewicy w Warszawie. Jacek Pużuk, który nadal działa w partii Czarzastego, prostuje tę informację, podając, że otrzymał tylko 100 rezygnacji. Wielu z nich wystąpiło na wspólnej konferencji prasowej w Sejmie wraz z przedstawicielami koła PPS. Wojciech Konieczny, senator PPS, zagrzmiał: „Szkoda, że nowa lewica kroczy w kierunku chadecji. Rozumiem chęć łączenia się w walce z PiS (z Platformą), ale uzgodnienia programowe, pewnie jakieś deklaracje ideowe, uzgadnianie programu gospodarczego to kręta droga dla takich różnych partii". Z kolei Joanna Senyszyn zareklamowała PPS jako główny punkt odniesienia na lewicy i powtórzyła zarzut: „Inne partie zawiodły, kierują się w stronę prawicy chadeckiej".

Cały ten incydent można by zbyć wzruszeniem ramion, gdyby nie pokazywał paru istotnych tendencji. Po pierwsze, Czarzasty nadal nie jest w stanie zatrzymać odpływu ważnych działaczy. Jego bliska współpracownica, posłanka Anna Maria Żukowska, swoimi wypowiedziami tak bardzo irytuje wielu lewicowców, że trzaskają drzwiami. Sam Czarzasty zraża do siebie coraz więcej działaczy, stosując brutalne, ręczne sterowanie partią. I zaczyna znajdować się w coraz większym osamotnieniu.

Tyle że uciekinierzy, atakując niegdysiejszego szefa, też nie potrafią używać przekonujących argumentów. Nowa Lewica bynajmniej nie kroczy w kierunku chadecji i takie stwierdzenia ośmieszają tylko Wojciecha Koniecznego. Oprócz antypatyczności Czarzastego decyduje uzależnienie ambitnych byłych SLD-owców od układzików z Platformą, rządzącą od wielu lat Warszawą.

W Polsce Lewica była partią ludzi przyzwyczajonych do luksusowej whisky, wykwintnych cygar i wiedzących, gdzie są konfitury w warszawskim samorządzie. Wszystkie te rozkosze ziemskiej wędrówki były do ich dyspozycji w złotej epoce prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Tyle że wtedy za nimi stała silna partia, która po 1989 r. rządziła dwa razy. Teraz Lewica występuje wobec Platformy jak petent wobec suwerena. A kto jest ubogi, ten musi bardzo nisko zginać kark.

Włodzimierz Czarzasty rzuca na uciekinierów gromy, oskarżając ich o pozbawione ambicji czapkowanie przed Platformą. Ale w roli stróża politycznej moralności pan Włodzimierz jest dość zabawny. Przecież to on sam w swojej politycznej karierze zawsze dbał o to, by polityczne wybory dobrze się opłacały. ©℗

FOT. DANIEL GNAP/KPRM

WRESZCIE KONIEC SPORU O TURÓW

Republika Czeska wycofała już skargę do instytucji europejskich dotyczącą eksploatacji kopalni węgla brunatnego Turów – poinformował w piątek premier Mateusz Morawiecki. Wcześniej na czeskie konto wpłynęło łącznie 45 mln euro, które zgodziła się zapłacić strona polska. Elementem umowy jest też m.in. budowa bariery zapobiegającej odpływowi wód podziemnych z Czech do Polski. „Co najważniejsze – zabezpieczyliśmy interesy obu stron oraz lokalnych mieszkańców" – napisała na Twitterze minister klimatu Anna Moskwa. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Fundusze Europejskie w walce z nową falą pandemii

Pandemia COVID-19 odmieniła świat, jaki znaliśmy. Przeciwdziałanie jej społecznym i gospodarczym skutkom to dziś kluczowe wyzwanie. Niełatwo mu sprostać, dlatego Komisja Europejska uruchomiła dodatkowe fundusze – mechanizm React-EU. Jego cel to wsparcie krajów członkowskich, w tym Polski, w dalszej walce z pandemią. Z tej oferty Funduszy Europejskich polska służba zdrowia skorzysta za pośrednictwem różnych programów.

Z Programu Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ) na walkę służby zdrowia z kolejną falą pandemii przeznaczono już, dzięki React-EU, dodatkowe 1,52 mld zł. To kwota przeznaczona wyłącznie na potrzeby sektora ochrony zdrowia. Unijne fundusze na ten cel mogą być wykorzystane do końca 2023 roku. W nowym konkursie POIiŚ czekają już pieniądze na doposażenie szpitali. Można je będzie przeznaczyć na zakup dodatkowego sprzętu medycznego i środków ochrony oraz odremontowanie pomieszczeń w budynkach o przeznaczeniu medycznym. O pieniądze z POIiŚ można się starać jeszcze w tym kwartale. Natomiast dzięki środkom z Programu Wiedza Edukacja Rozwój (POWER) planowane są szkolenia oraz pomoc psychologiczna dla pracowników medycznych poddanych długotrwałemu, niezwykle obciążającemu stresowi związanemu z walką z koronawirusem.

Wszechstronna pomoc

Fundusze Europejskie od początku wspierają polską służbę zdrowia w walce z pandemią COVID-19. Zrobiły już wiele dobrego – korzyści dla pacjentów i personelu medycznego są nie do przecenienia. Przykładem może być modułowy szpital w Bolesławcu. Wykorzystał on fundusze z Programu Regionalnego dla woj. dolnośląskiego oraz z Programu Infrastruktura i Środowisko. Efekt – dzięki dobrej organizacji i szerokiemu wsparciu Funduszy Europejskich – okazał się imponujący!

Fundusze Europejskie od początku wspierają polską służbę zdrowia w walce z pandemią COVID-19. Zrobiły już wiele dobrego - korzyści dla pacjentów i personelu medycznego są nie do przecenienia.

W ciągu dwóch miesięcy w sąsiedztwie szpitala powstał (ze środków Programu Regionalnego) szpital kontenerowy o powierzchni prawie 1300 m². Zbudowany z gotowych modułów budynek z 65 miejscami, w tym 12 respiratorowymi, umożliwił izolację pacjentów zakażonych koronawirusem. Pozwoliło to uniknąć ryzyka zamknięcia placówki dla pozostałych chorych. Z pieniędzy POIiŚ kupiono dodatkowy specjalistyczny ambulans i środki ochrony.

Wsparcie dla szpitali

Interesującą ofertą POIiŚ React-EU jest konkurs (z pulą 200 mln zł) na doposażenie podmiotów leczniczych, które udzielają świadczeń zdrowotnych dotyczących chorób zakaźnych i wspierających je jednostek diagnostycznych. Wsparcie finansowe obejmuje zakup:

- doposażenia (w tym wyrobów medycznych jednorazowego użytku, środków ochrony indywidualnej i środków do dezynfekcji),
- robót budowlanych w zakresie niezbędnym do zagwarantowania należytego działania nabytego sprzętu.

Nabór wniosków odbędzie się w terminie 31.01 – 28.02.2022. Więcej informacji można znaleźć na stronach: pois.gov.pl (zakładka „zobacz ogłoszenia o naborach wniosków") oraz zdrowie.gov.pl/poiis (zakładka „zobacz ogłoszenia i wyniki naborów wniosków").

Wsparcie dla kadr medycznych

React-EU zasila też finansowo Program Wiedza Edukacja Rozwój poprzez działania nakierowane na człowieka, nie tylko na infrastrukturę. Bo z pandemią walczą przede wszystkim ludzie. Celem działań POWER finansowanych z instrumentu React-EU jest wsparcie kadry medycznej. W lutym i marcu planowane jest zawarcie umów na realizację projektów szkoleniowych dla kadry medycznej, a także wsparcie psychologiczne. Pomoc terapeutyczna pomoże w łagodzeniu skutków obciążenia psychicznego wywołanego pandemią i przywróceniu umiejętności radzenia sobie z zaistniałą sytuacją. Osoby wykonujące zawody medyczne wspierać będzie specjalnie utworzona grupa psychologów.

Każdy rodzaj wsparcia służby zdrowia – doposażenie szpitali, szkolenia czy pomoc psychologiczna dla personelu – jest inwestycją, która służy nam wszystkim. Fundusze Europejskie zapraszają do korzystania z oferty! ■

Kampania finansowana z Funduszu Spójności Unii Europejskiej i budżetu państwa

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej | Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl e77d6b1577

PŁYWANIE W KISIELU

Nieoczekiwane przywództwo

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Przypomniała mi się stara anegdota o Ronaldzie Reaganie: „Panie prezydencie, chwalą pana w »New York Timesie!«". „Hm… Musiałem coś zrobić nie tak". Przypomniała mi się, oczywiście, z powodu laurki, wystawionej dość nieoczekiwanie przez ambasadę USA w Warszawie prezydentowi Dudzie.

„Stany Zjednoczone wyrażają uznanie dla Pana Prezydenta Andrzeja Dudy za aktywne przywództwo i zaangażowanie na rzecz rządów prawa, wspólnych wartości oraz relacji Polski w Unii Europejskiej" – napisał na oficjalnym koncie twitterowym ambasady ktoś, nie wiadomo jeszcze: Bix Alliu czy może już Mark Brzeziński. Niby świetnie, ale parę rzeczy zaskakuje. Na przykład – sam uważam się raczej za sympatyka pana prezydenta, ale nazwanie jego sposobu sprawowania urzędu „aktywnym przywództwem" do tego stopnia kłóci się z faktami, że zakrawa na jakąś cienką ironię, w najlepszym wypadku – zachętę. Inna sprawa: zrozumiałbym, gdyby ambasada USA chwaliła prezydenta za budowanie dobrych relacji z USA właśnie. Ale z Unią Europejską? Poza tym trudno opędzić się od podejrzenia, że nieoczekiwane pochwały mają jakiś związek z wetem prezydenta, broniącym interesów amerykańskiej korporacji medialnej.

Wzmianka o UE zdaje się jednak wskazywać, że prezydent chwalony jest za swój zapowiedziany w minionym tygodniu projekt, zakładający rozwiązanie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, ale też zastąpienie jej jakimś innym ciałem egzekwującym odpowiedzialność dyscyplinarną od sędziów, ale tworzonym „na innych zasadach". Na jakich – będzie wiadomo, jak prezydent spełni obietnicę i przedstawi swój projekt. Walczący o powrót totalnej bezkarności liderzy sędziowskiego rokoszu, w rodzaju pp. Gąciarka i Żurka, już zdążyli ten nieznany projekt zjechać, a tu nagle chwali go zaprzyjaźnione mocarstwo. Głupia sprawa… A co ma powiedzieć TVN, który latami toczy bekę z „Adriana", rzekomo „przyjmowanego w USA przy windzie", po tych peanach dla „aktywnego przywództwa"?

Niby fajnie, ale… parafrazując klasykę: „Nie ufam Danaejczykom, nawet gdy chwalą". Cóż, po prostu poczekajmy na ten obiecany projekt… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Druga wyprawa kijowska

Sojusz z Ukrainą Naczelnik Państwa zawarł w 1920 r., nie oglądając się na opinię publiczną. Rzecz się skończyła obroną Warszawy, traktatem ryskim (i pozostawieniem pod władzą sowiecką ponad miliona Polaków oraz milionów Ukraińców) oraz słynnymi przeprosinami Marszałka wobec ukraińskich oficerów internowanych w Kaliszu. Wszyscy pamiętają tych przeprosin początek („Panowie, ja was bardzo przepraszam"), rzadko zaś przypomina się ich dokończenie („tak nie miało być"). Państwa nie muszą, a czasami wręcz nie mają prawa zaciągać niekorzystnych dla siebie zobowiązań, natomiast zaciągnięte mają obowiązek wykonywać. O tych prostych zasadach należy zawsze pamiętać.

Za przedłużanie się kryzysu ukraińskiego już płacimy. Nie wiadomo, czy będzie wojna, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wojska rosyjskie pod Brześciem, 200 km od Warszawy, już pozostaną. To drastycznie zwiększa zagrożenie naszych granic.

Tymczasem na pytanie, jaki interes ma Polska w zawieraniu trójstronnego sojuszu z Wielką Brytanią i Ukrainą, premier Morawiecki odpowiedział, że to nadrzędna kwestia bezpieczeństwa, wyprzedzająca interesy. Ale na czym polega interes bezpieczeństwa w tym wypadku? Na tym, że napięcie zmusza naszych zachodnich partnerów, żeby „coś zrobić"? Przy takim podejściu należałoby uznać, że im większe zagrożenie ze strony Rosji – tym większe bezpieczeństwo.

Stany Zjednoczone i NATO już oferują Moskwie rezygnację z rozmieszczania broni ofensywnej na Wschodzie, co może ograniczyć zdolność Zachodu do adekwatnej odpowiedzi na rosyjską agresję. Można się tym gorszyć, ale to po prostu fakt. Czas, żeby Polska do debaty o „niezwiększaniu bezpieczeństwa kosztem bezpieczeństwa drugiej strony" wplotła praktyczne postulaty naszego bezpieczeństwa. Spójrzmy na Turcję, której nikt pacyfizmu nie zarzuca. Potrafi zarówno wspierać Ukrainę, jak i działać dyplomatycznie, żeby wojnie zapobiec. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O cnocie cierpliwości

Bywają takie chwile w polityce, sporcie i życiu, że trzeba tylko cierpliwie czekać, nie robić nic poza unikami, a zwycięstwo samo zapuka do drzwi. Tak Fabiusz Maksimus Kunktator ograł Hannibala i tak włoska lewica ograła prawicę w wyborach prezydenckich.

W Italii głowy państwa nie wybiera naród, a jego wybrańcy, czyli parlamentarzyści i przedstawiciele regionów. Adwersarze, prawica i siły postępu, nie mogli samodzielnie wybrać swojego kandydata, ale prawica miała więcej elektorów. Mimo to prezydentem został powtórnie człowiek lewicy: Sergio Mattarella.

Dlaczego? Wartogłowy wódz prawicy Matteo Salvini wystawiał kandydatów i kandydatki z szybkością karabinu maszynowego, a lewica, kręcąc młynka palcami, odrzucała jedną propozycję po drugiej, nie wysuwając własnych. Po prostu, jak radzi Konfucjusz, lewica usiadła nad brzegiem rzeki i po sześciu dniach rzeczywiście spłynęły nią ciała wrogów. Zdesperowani prawicowcy śmiertelnie pokłócili się między sobą i popełnili spektakularne seppuku. Opatrzność wynagrodziła lewicy cnotę cierpliwości w dwójnasób: jej sojusznicy, a po prawdzie konkurenci w walce o lewicowy elektorat, Ruch 5 Gwiazd (najliczniejsze ugrupowanie parlamentarne), też się podzielili i wdali w karczemną awanturę.

Naturalnie za pyszną wiktorią lewicy stoją również sprzyjające okoliczności. Tylko zakonserwowanie układu „Draghi premierem, Mattarella prezydentem" dawało pewność, że rząd wielkiej koalicji nie upadnie i nie dojdzie do przyśpieszonych wyborów. 60 proc. wybrańców narodu debiutuje w parlamencie i nabierze praw do sutej emerytury dopiero we wrześniu. Co więcej, po wyborach liczba parlamentarzystów zostanie zmniejszona o jedną trzecią. A przecież, parafrazując angielskie porzekadło, karpie nie głosują za przyśpieszeniem Wigilii.

W Italii prawdziwa, godna polityka abdykowała. Politycy nie zdołali wybrać nowego prezydenta, a z rządzeniem też nie dali sobie rady. Rządem, trzymając polityków za twarz, kieruje człowiek pożyczony z banku. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. PAWEŁ GRONADA

BOTOKS I DZIWNE MINY

Agata Rubik, żona kompozytora Piotra Rubika, lubi czasem o sobie przypomnieć, np. zachęcając swoich obserwatorów na Instagramie do zadawania jej pytań. No więc lecą pytania na tematy wszelakie, a ostatnio pojawiło się takie dotyczące botoksu. Celebrytka-influencerka postanowiła odpowiedzieć. Mówi, że, owszem, botoks zna, ale fanką nie jest. – Zdecydowanie jestem za zabiegiem laserowym silnie stymulującym naturalne procesy naprawcze, masażami twarzy, odpowiednią suplementacją i pielęgnacją niż za botoksem – stwierdziła. – Kiedyś robiłam sobie na próbę na okolice oka. Wyglądałam dziwnie, więc na razie odpuszczam takie atrakcje – wyznała. Wyginając się i robiąc miliony dzióbków dziennie do fotek na Insta, też wygląda dziwnie (nawet bardzo), więc rzeczywiście botoks w jej wypadku to całkiem zbędny wydatek.

ZDJĘCIA Z FILTREM CZY BEZ

Celebrytka Patrycja Kazadi wyznała, że jeszcze jakiś czas temu miała obsesję na punkcie poprawiania swoich zdjęć wrzucanych do Internetu. Musiały być obrobione tak, by wyglądała na nich idealnie. Dzięki używanym specjalnym filtrom „czuła się piękniejsza". Doszło do tego, że nie wyobrażała już sobie, by móc wrzucić do sieci niepodrasowane zdjęcie. „Byłam uzależniona od filtrów na Instagramie. Nie lubiłam patrzeć na swoje zdjęcia bez nich. Nie zdawałam sobie z tego sprawy" – wyznaje w magazynie „Pani". Dobrze pamięta też moment, w którym uświadomiła sobie, że coś tu nie gra. „Podczas jednego z nagrań filtr się nie włączył i moja reakcja – brak akceptacji tego, co widzę – sprawiła, że zrozumiałam, iż przekroczyłam tę niebezpieczną granicę" – dodała. Mówi też, że jest z siebie dumna, bo wykonała wielką pracę, jeśli idzie o akceptację siebie i swojego ciała. Teraz wrzuca zdjęcia bez filtrów i jest z siebie zadowolona. Najprościej byłoby ich nie wrzucać wcale, ale rozumiemy, że na tak zaawansowaną terapię wstrząsową pani celebrytka nie jest gotowa.

LUDZIE GADAJĄ

Modelka i influencerka Karolina Pisarek, która jest znana z tego, że brała udział w „Top Model", kupiła willę za 5 mln zł i w wieku 24 lat napisała autobiografię, teraz ogłosiła, że niebawem spróbuje swoich sił w programie „Twoja twarz brzmi znajomo", w którym to gwiazdy wcielają się w gwiazdy estrady i śpiewają. Niestety, część fanów nie podziela entuzjazmu Karoliny. „Lubię Cię, ale już naprawdę do każdego programu musisz się pchać?" – napisała jej jedna z fanek. Oj, nie spodobało się to Karolinie, więc odpowiedziała, że będzie robiła, co chce, „cokolwiek przyniesie mi radość, sprawi, że będę czuła się spełniona i pomoże mi się rozwinąć jeszcze bardziej". I zaznaczyła: „Właśnie przez takie komentarze chcę takie rzeczy robić jeszcze bardziej! To mnie motywuje, aby pokazywać i motywować moich obserwatorów, że nieważne, co ludzie mówią". No pewnie, że nieważne, co mówią, ważne, co lajkują!

BEZ MĘŻCZYZN

Joanna Przetakiewicz, była partnerka Jana Kulczyka i właścicielka modowej marki La Mania, podzieliła się ze światem dość ciekawym wyznaniem, że nigdy nie zatrudni w swojej firmie heteroseksualnego mężczyzny. Ale po kolei. Najpierw był passus o tym, jak to w Polsce kobiety są dyskryminowane w biznesie, bo nie wierzą w siebie. – To wina stereotypów, starego myślenia. Kobiety nie wierzą w siebie. Na przykład jeśli są trzy wymogi na wyższe stanowisko, a kobieta będzie spełniać dziesięć, to uzna, że jeszcze przydałby jej się jedenasty. Mężczyzna spełnia jedno i on aplikuje, a ona nie – mówi w wywiadzie udzielonym Żurnaliście, czyli tajemniczemu autorowi podcastów, w których rozmawia z gwiazdami i celebrytami. Następnie Przetakiewicz poinformowała, że w ramach wspierania kobiet w swojej firmie nie chce zatrudniać heteroseksualnych mężczyzn. Stawia na kobiety i LGBT+. – Facetom brakuje wrażliwości i empatii – tłumaczyła. – Można posądzić mnie o pewną nietolerancję. Ja od samego początku mówiłam, że przyjmujemy do pracy tylko kobiety oraz ludzi LGBT. Żadnych heteroseksualnych facetów, bo to w ogóle nie ma sensu. Nie dogadamy się z nimi. Nie w tej branży – dodała. Zaraz, zaraz, czyli pani Przetakiewicz zwalcza dyskryminację kobiet za pomocą dyskryminacji mężczyzn? Tak się dzisiaj walczy o równość! ©℗

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

eprasa.pl e77d6b1577

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się okazuje, nikomu się nie podoba Polski Ład. Nawet samym pisowcom i podobno w najbliższej przyszłości w rządzie dojdzie do paru dymisji mającej swoje źródła w tym, że coś tam – delikatnie mówiąc – nie pykło.

Swoją drogą, ciekawe, dlaczego rząd nie zdecydował się, aby projekt Polskiego Ładu outsourcować, tylko robił go inhousowo. Z tego, co się orientujemy, czasem lepiej delegować takie projekty na zewnątrz, iżby potem uniknąć takich przykrych zjawisk jak „konsekwencje", „odpowiedzialność" czy „dymisje" właśnie.

W każdym razie może to jest dogodny moment, iżby przedstawić Polakom jakąś skuteczną alternatywę? Zamiast Polskiego Ładu – europejski? Unijny lub chociaż niemiecki? Nawet wyborcy pisu zobaczyli, iż w Polskim Ładzie wcale nie będzie im dobrze. Więc kiedy, jak nie teraz?

My się, of kors, na podatkach znamy, to znaczy jakieś tam kuce mogą nam zarzucać, iż nie, ale my swoje wiemy. Otósh podatki powinny być wysokie dla bogatych, którzy zarabiają – powiedzmy – średnią krajową, a niskie dla wszystkich innych.

Gdyby nas pytał ktoś o zdanie, to mielibyśmy bardzo prostą receptę, aby nadwyżkę od kwoty powyżej średniej krajowej opodatkować w wysokości 110 proc.

Ktoś bardziej ściśle wykształcony z Was zauważyłby, iż spowodowałoby to, że do podatku należałoby dopłacić, i zapytałby, czy nie jest to pomyłka. Otósh nie.

Ta dopłata to zadośćuczynienie aparatowi państwa za konieczność przeprowadzenia rozliczeń i wynikające z faktu, iż ktoś postanowił zarobić powyżej średniej. Należy stanowczo edukować ludzi, iż zachłanność nie popłaca.

Widzieliśmy ostatnio jakiś raport, iż Polacy nie chcą już mieszkać w bardzo dużych domach, a jeśli już budują dom, to nie większy niż 150 mkw.

Z jednej strony – OK, o wiele bardziej ekskluzywne niż jakieś wiejskie domy wielopokoleniowe współdzielone z rodzicami, dziadkami, teściami i trzodą są kawalerki lub mikroapartamenty w centrach wielkich ośrodków.

Z drugiej strony jednak mamy takie poczucie, iż Polacy nie chcą dużych domów z tych samych powodów, dla których rezygnują z nowych aut albo nawet i jachtów.

Tak, słusznie się domyślacie, chodzi o złośliwość. Nie kupię nowego auta – będę dymił starym dieslem. Nie wybuduję nowego domu, iżby potem zapłacić większy podatek na rzecz wspólnoty – wybuduję mniejszy. Zwyczajna małostkowość.

Kochani, a teraz o tym, iż to lewica tradycyjnie najbardziej wsłuchuje się w głosy społeczeństwa i jest najbardziej wrażliwa na to, czego chcą zwykli ludzie xD

Podczas debaty w Sejmie osoboposeł Gawkowski stwierdził, iż „Polacy chcą paszportów covidowych", że na tym polega odpowiedzialność itd.

Mamy nadzieję, iż Lewica nadal tak dokładnie będzie się wsłuchiwała w nastroje społeczne, a efekty tej wnikliwej i przenikliwej analizy na pewno będą widoczne po wyborach!!111 ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

No wiesz, polityka

Tadziu, mam złą wiadomość dla ciebie. Chyba już nie będziesz ministrem.
A, rozumię, Mateusz, rozumię. A dlaczego, Mateusz, dlaczego?

No wiesz, polityka. Z tym ładem całym nie wypaliło.
A, z ładem. Ja wiem, ja słyszałem coś tam, coś tam. Ludzie źli były czy coś. Ale ja robiłem tylko, co mnie ty kazałeś. To wiesz to?

Tak, wiem.
Ty mnie mawiałeś, jak ja przyszłem tutaj, że ja tylko mam podpisać się i ja podpisałem się. To wiesz to?

No wiem przecież. Dziękuję, że nie robiłeś problemów.
No dobrze, bo ja nie chciałbym, żeby to było między nami, że moja wina jest. Ja tylko podpisałem się.

Nie ma sprawy. Gdyby to zależało tylko ode mnie, to nadal byś tu był.
To miło jest, miło. A posłuchaj, ja tu mam takiego fotela wygodnego w gabinecie. Ty myślisz sobie, że ja mógłbym go zabrać do siebie do domu? Ja nic więcej nie poczebuję, tylko fotela tego. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pani Witek podobno zawierzyła Sejm Matce Boskiej. Warto byłoby jednak wcześniej zapytać, czy zdaniem Matki Boskiej to dobry pomysł".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl e77d6b1577

dwaj panowie

Zmiany, zmiany. Wiewiórki mówią, że na odstrzeleniu paru nazwisk za wprowadzanie Polskiego Ładu się nie skończy. Więc prócz dymisji ministra finansów Londyńskiego Kościńskiego będą i inne. Boi się na przykład wiceminister Harry Potter, czyli Piotr Patkowski. Ale ważniejsze jest to, że nowi ludzie pojawią się w kilku resortach, będzie to więc kolejna rekonstrukcja.

O rekonstrukcji dowiedzieliśmy się zresztą, zanim w ogóle Szeregowy Wicepremier Kaczyński otworzył w tej sprawie usta. Nasze wiewiórki donosiły, że szykuje się powrót ministerstwa cyfryzacji, a na jego czele ma stanąć Justyna Orłowska. Jednak ma ona kilka wad. Po pierwsze: młoda, po drugie: ładna i last but not least – inteligentna. Jakież to wady, spytacie? Zapewniamy, że właśnie z tych powodów będzie miała przechlapane u starych, brzydszych i głupszych.

Na giełdzie nazwisk na nowego szefa Prokuratury Krajowej pojawiła się nowa osoba. Też chodzi o kobietę, kobiety są teraz na propsie. To aktualna zastępczyni prokuratora krajowego, czyli Agata Gałuszko-Górska. Robiła w tzw. pezetach, co jest dobrą rekomendacją, bo przestępczością zorganizowaną zajmują się na ogół najlepsi. Tak jest i w tym wypadku.

Swoją misję w Berlinie zakończył tymczasem – zgodnie z naszymi zapowiedziami sprzed miesięcy – ambasador prof. Przyłębski. Z naszych informacji wynika, że nie wraca na uczelnię – przynajmniej nie na pełen etat. Wiewiórki opowiadają, że ma objąć stanowisko wiceministra przy al. Szucha. Ale są i tacy, którzy twierdzą, że obejmie jeszcze ważniejszą funkcję. Idzie ku temu dobra okazja, skoro rozkręca się rekonstrukcja.

W tym tygodniu ma być też ogłoszony kolejny sukces dobrej zmiany. Tym razem w wykonaniu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Po podpisaniu porozumienia w sprawie Turowa przyjdzie kolej na kolej. A dokładnie na odblokowanie transportu szynowego z Ukrainy.

Słyszymy też, że w wysokich kręgach władzy bardzo spodobał się magiczny guzik. Wiecie, ten, który premier Mateusz wciska i nagle ceny spadają, bo obniżono VAT. Pojawił się więc pomysł, by częściej korzystać z guzika. Zwłaszcza że przyszły rok to rok wyborczy. Nieśmiało podpowiadamy, żeby może przy okazji znieść VAT na książki. Mamy podkładkę – wprowadził go przed laty Zły Donald z Sopotu.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Eine Totalopposition. Europosłowie polscy (w tym PiS) są nękani prezentami przez europosła Robika Biedronia. Ów złośliwiec wysyła prezenty osobom obchodzącym urodziny. Tymi prezentami są skarpetki. W kolorze biskupiego fioletu. Zastanawiamy się, czy gdyby na jego miejscu był Włodek Czarzasty, to wysyłałby sweterki.

Apropos Włodka – niektórzy są zdziwieni faktem, że kilkuset działaczy Nowej Lewicy chce odejść z partii, gdyż ma dosyć wodzowskich zapędów Włodzimierza Sweterkowicza Czarzastego. A my nie jesteśmy zdziwieni. Nie pamiętacie już, że dawno temu ochrzciliśmy go w naszej rubryce Wielkim Przewodniczącym Czao?

Z zainteresowaniem obserwujemy pogadanki polityków PeŁo, dla niepoznaki zwane „kongresami programowymi". Pierwszy był poświęcony odporności. I nikt z tego nic nie zrozumiał. Parę dni później Rafcio Trzaskowski w „Rzepie" powiedział, że PeŁo przygotowuje się do rządzenia. Jak to? Dopiero przygotowuje? To po sześciu latach w opozycji nie jest do rządzenia gotowa? Niemożliwe! I nagle wszystko nam się złożyło z tym kongresem o odporności. Chodzi o odporność na wiedzę.

Lustrujemy. Szef Pracodawców RP długo walczył, ale w końcu się poddał. Chodzi o niejakiego Andrzeja Malinowskiego, który od lat zapewniał, że podda się autolustracji po tym, jak ujawniono, że był zarejestrowany jako konfident. W minionym tygodniu wysłał rezygnację z zasiadania w prezydenckiej Radzie Dialogu Społecznego. Ucieszy to niewątpliwie naszego redakcyjnego kolegę Piotra Woyciechowskiego, który w naszym poczytnym tygodniku ujawnił przeszłość Malinowskiego.

Jeszcze o niepokoju. W NIK sensację wzbudza to, że prezes Banaś nie rusza się nigdzie bez swojego ochroniarza. Początkowo myślano, że to rządowa ochrona z SOP. Otóż nie. Formalnie gość, który chroni Banasia, nie jest ochroniarzem, tylko doradcą. Podobno wcześniej robił w jakiejś elitarnej formacji. Tylko nie możemy ustalić: wojskowej czy policyjnej. Ale ustalimy.

Szykują się zarzuty dla pewnego bardzo ważnego generała. Nie cieszcie się jednak wizją zerwania z łóżka gościa w lampasach. Mają go wezwać bez zrywania z łóżka. Aha, przy okazji – nie jest to ten generał, o którym informowaliśmy kilka miesięcy temu, tylko całkiem inny. Tamten jeszcze czeka, cały w nerwach, biedaczek. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Groźba wojny w Europie. USA wzmacniają sojuszników

FOT. DARIUSZ DELMANOWICZ/PAP

Każda eskalacja konfliktu na Ukrainie może pociągnąć za sobą głębokie konsekwencje i wymknąć się spod kontroli, przemieniając się w największy kryzys od drugiej wojny światowej – ostrzegał w Waszyngtonie szef polskiej dyplomacji Zbigniew Rau podczas wysłuchania przed Komisją Helsińską przy amerykańskim Kongresie.

Władze w Kijowie przekonują, że rosyjska inwazja wcale nie jest przesądzona. Również przestawiciele Rosji zapewniają, że choć zgromadzili na granicach Ukrainy niespotykanie duże siły, to nie zamierzają nikogo atakować.

Źródła wywiadowcze Stanów Zjednoczonych wciąż ostrzegają jednak przed możliwością wybuchu nowej wojny na wschodzie Europy. Miałoby do niej dojść jeszcze w lutym. Amerykańscy urzędnicy poinformowali dziennikarzy, że Rosja już przygotowuje spreparowane nagranie wideo przedstawiające ofiary rzekomego „ludobójstwa" dokonanego przez Ukraińców na terytorium Rosji lub na opanowanych przez prorosyjskich bojówkarzy terytoriach w Donbasie. Realistycznie wyglądający film przedstawiający m.in. ciała ofiar, zawalone domy oraz upozorowany na ukraiński sprzęt wojskowy ma posłużyć jako pretekst do rozpoczęcia wojny na dużą skalę. Rosja przerzuciła również na Białoruś kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. W piątek Rosja i Chiny wspólnie wezwały zaś do wstrzymania ekspansji NATO, w zamian za co Putin poparł stanowisko Pekinu wobec Tajwanu.

Zachód konsekwetnie ostrzega Rosję, że za nową inwazję na Ukrainę zapłaci wysoką cenę, grożąc wyjątkowo surowymi sankcjami. Jednocześnie Pentagon zapowiedział czasowe zwiększenie liczby wojsk USA w Europie w celu wzmocnienia wschodniej flanki NATO. W ramach sojuszniczej solidarności do Europy Środkowo-Wschodniej trafi dodatkowo 2 tys. żołnierzy, z czego 1,7 tys. przybędzie do Polski. ***(jap)*** ©℗

Igrzyska w Pekinie oficjalnie otwarte

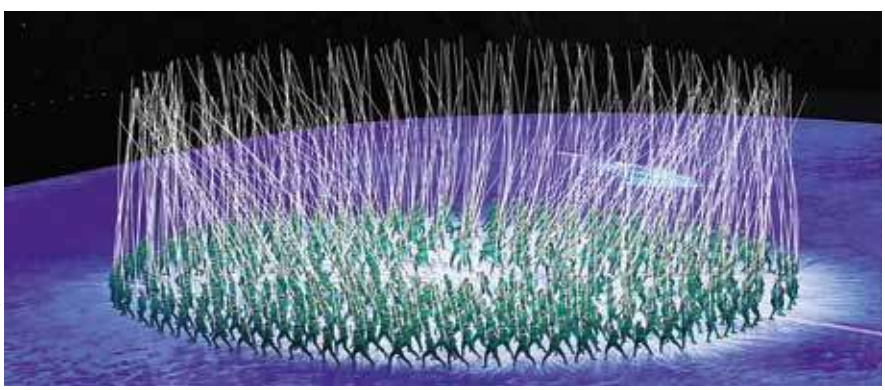

FOT. ADAM PRETTY/GETTY IMAGES

Na Stadionie Narodowym w Pekinie, zwanym Ptasim Gniazdem, odbyła się w piątek uroczystość otwarcia 24. zimowych igrzysk olimpijskich. Wzięło w niej udział m.in. 57 polskich sportowców, w tym 30 kobiet i 27 mężczyzn.

Dotychczas Polacy zdobyli na zimowych igrzyskach 22 medale, z czego najwięcej wywalczyli skoczkowie.

Zdaniem optymistów nasi zawodnicy mają w tym roku szanse na podium aż w siedmiu dyscyplinach. Według prognozy przedstawionej przez Associated Press Biało-Czerwoni nie wywalczą jednak w Pekinie ani jednego krążka. Jeśli rację mieliby pesymiści, to byłaby to powtórka z igrzysk w japońskim Nagano. Na trybunach Polakom kibicował w weekend prezydent Andrzej Duda. VIP-ów nie było jednak w Pekinie bardzo dużo, ponieważ część krajów ogłosiła dyplomatyczny bojkot igrzysk w Chinach.

Zimowe igrzyska olimpijskie w Pekinie potrwają 17 dni i zakończą się w niedzielę 20 lutego. ©℗ ***(jap)***

CZYTAJ TAKŻE „MEDALOWE ZMAGANIA ZA MUREM" NA STRONIE 66

eprasa.pl e77d6b1577

30 lat inwestycji w zdrowie Polaków

Servier jest globalną firmą farmaceutyczną, której leki są obecne w 150 krajach świata. W Polsce prowadzi swoją działalność od 30 lat, realizując naczelną ideę: „Zaangażowanie w postęp terapeutyczny dla dobra pacjentów". To światowy lider w leczeniu kardiologicznym i intensywnym rozwoju w obszarze onkologii. Grupa jako fundacja non profit mocno angażuje się w działalność badawczo-rozwojową. Dzięki niezależności od notowań giełdowych może w ten obszar inwestować każdego roku ponad 20 proc. swoich przychodów, a aż 50 proc. globalnego budżetu Servier na badania i rozwój przeznaczyć na badania nad nowymi metodami leczenia raka. Grupa wykorzystuje możliwości badawcze swoich laboratoriów, by tworzyć produkty coraz lepiej odpowiadające na potrzeby pacjentów i wyzwania dzisiejszego świata. Na Międzynarodową Sieć Badawczą Servier składa się 15 Międzynarodowych Ośrodków Badań Klinicznych (w tym jeden w Polsce) i sześć ośrodków badawczych. Równie ważną rolę w udostępnieniu terapii pacjentom odgrywa produkcja oparta na własnych fabrykach, których jest 16 na świecie, w tym piąta co do wielkości zlokalizowana w Polsce.

POCZĄTKI KRAJOWEJ PRODUKCJI

Działalność Servier w Polsce rozpoczęła się w 1992 r. od produkcji leku na cukrzycę. W 1997 r. firma zakupiła pakiet większościowy warszawskiego przedsiębiorstwa Anpharm S.A., kładąc kamień węgielny pod jej dalszy, stabilny rozwój. Nastąpił wówczas istotny transfer finansowy i technologiczny, który pozwolił m.in. na rozbudowę fabryki, zwiększanie liczby produkowanych leków czy dywersyfikację technologii pakowania. Intensyfikacja współpracy ze środo-

eprasa.pl e77d6b1577

wiskiem naukowym i medycznym zaowocowała powstaniem Międzynarodowego Ośrodka Badań Klinicznych oraz nowoczesnego laboratorium kontroli jakości. Dzięki modernizacji w 2003 r. Anpharm, jako pierwszy w Polsce, uzyskał certyfikat GMP – dobrej praktyki wytwarzania, zgodnej z wymogami UE. W rezultacie wieloletnich działań rozwojowych warszawska fabryka zwiększyła zdolności produkcyjne z 0,5 mln do ponad 40 mln opakowań rocznie.

KOLEJNA ALOKACJA W POLSCE – PONAD MILIARD ZŁOTYCH ŁĄCZNEJ INWESTYCJI

Polski sektor farmaceutyczny jest szóstym co do wielkości rynkiem w Europie i największym w Europie Środkowej. Jest też od lat kluczowym rynkiem dla Grupy Servier. Dotąd zainwestowano w Polsce łącznie ponad 866 mln zł, lokując środki w produkcję, obszar naukowo-badawczy, edukację zdrowotną oraz rozwój pracowników. Ostatnie 11 lat działalności firmy przyniosło blisko 820 mln zł wartości dodanej, wypracowując profity nie tylko dla sektora farmaceutycznego, lecz także dla całej gospodarki. m.in. poprzez zwiększenie produkcji i konkurencyjności sektora, wzrost zatrudnienia, transfer technologii czy wzrost PKB i handlu zagranicznego.

Najnowsza decyzja – zaangażowania kolejnych 220 mln zł w ciągu najbliższych pięciu lat – stanowi milowy krok inwestycyjny w dalszym rozwoju Servier w Polsce. – Dzięki tej inwestycji zakład produkcyjny Anpharm będzie nowoczesną, spełniającą restrykcyjne normy jakości wytwórnią innowacyjnych form złożonych. W przypadku wybranych leków będziemy obsługiwać cały świat. Łączna kwota środków zainwestowanych w przez Servier w Polsce przekroczy 1 mld zł – zapowiada Katarzyna Urbańska, dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej i Public Affairs. Ta przełomowa decyzja oznacza kolejny transfer technologii i know-how, zwiększający innowacyjność wytwarzania w Polsce.

BEZPIECZNY DOSTĘP DO WYSOKIEJ JAKOŚCI LEKÓW

Po doświadczeniach UE – dotkliwych zwłaszcza w pandemii – z brakiem dostępności do leków i problemami z jakością dla większości państw Europy zapewnienie bezpieczeństwa lekowego stało się priorytetowe. Aby uniknąć podobnych zagrożeń w przyszłości i uniezależnić się od dostawców azjatyckich, stało się niezbędne

Katarzyna Urbańska, dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej i public affairs

lokowanie wytwórni oraz produkcji leków i substancji czynnych (API) w krajach europejskich, w tym w Polsce. Taki model postulowany dzisiaj przez władze unijne od lat jest realizowany przez Servier. – Nasza firma od początku działalności realizowała strategię produkcyjną leków opartą na własnych zakładach produkcyjnych, dzięki czemu mamy kontrolę nad każdym etapem produkcji. Produkując leki w Polsce, korzystamy z API wytwarzanych w naszych fabrykach w krajach wysoko regulowanych – w Unii Europejskiej pozostających pod restrykcyjnym nadzorem kompetentnych organów – tłumaczy Katarzyna Urbańska, podkreślając, że taka strategia firmy od lat gwarantuje zachowanie bezpieczeństwa lekowego dla polskich pacjentów.

BADANIA I ROZWÓJ

Historia obecności Servier w Polsce to przede wszystkim wieloletnie zaangażowanie w działalność badawczo-rozwojową. – W Polsce inwestycje w działalność badawczo-rozwojową sięgają prawie 400 mln zł – podkreśla dyrektor Urbańska. Punktem centralnym tak prowadzonej polityki jest intensywna współpraca z ośrodkami akademickimi, placówkami badawczymi oraz towarzystwami naukowymi. Od 1999 r. działa w Warszawie polski departament Międzynarodowego Ośrodka Badań Klinicznych, który w 2001 r. uzyskał status niezależnej placówki. Rocznie nadzorowanych jest tu kilkanaście badań klinicznych prowadzonych w Polsce i wybranych krajach Europy. W 2017 r. powstało nowoczesne laboratorium kontroli jakości leków, które koordynuje polskie i zagraniczne projekty badawcze.

INWESTYCJE W LUDZI I EDUKACJĘ ZDROWOTNĄ

Servier z sukcesem czerpie z krajowego potencjału, jakim jest dostęp do wysokiej klasy specjalistów, ich doświadczenia naukowo-technicznego oraz aktywności w środowisku medycznym. Przedstawiciele firmy od lat powtarzają, że to pracownicy są największą wartością, która stoi za sukcesem rozwoju filii w Polsce. – Mamy tutaj dostęp do wykwalifikowanej kadry naukowej, a także wysoki poziom ośrodków klinicznych. Dzięki temu łatwo nam przenieść nawet najbardziej zaawansowane procesy technologiczne i łatwo realizować projekty badawczo-rozwojowe – mówi Marta Rojek-Czech, dyrektor personalna Servier Polska. Firma jako kilkukrotny zdobywca tytułu Solidny Pracodawca jest z wzajemnością doceniana przez pracowników. W badaniu Instytutu Gallupa w 2020 r. 86 proc. z nich przyznaje, że jest „dumnych z pracy w Servier", co przekłada się również na staż pracy. Dziś ponad 72 proc. naszych pracowników pracuje w firmie ponad 10 lat – podkreśla Rojek-Czech.

Jednym z przejawów społecznego zaangażowania Servier w Polsce jest edukacja zdrowotna. Wieloletnie kampanie społeczne, mające na celu zwiększenie świadomości na temat profilaktyki i leczenia chorób cywilizacyjnych, są silnym wsparciem dla narodowych programów profilaktycznych. – Podczas naszych kampanii objęliśmy badaniami profilaktycznymi już blisko 78 tys. Polaków! Troska o pacjentów leży w DNA naszej firmy, dlatego do tych aktywności podchodzimy z dużą odpowiedzialnością – podkreśla Ewa Ciepałowicz, kierownik komunikacji wewnętrznej i CSR. Łączna wartość inwestycji w tym obszarze wynosi w przybliżeniu 85 mln zł.

Obecnie 1,6 mln polskich pacjentów codziennie przyjmuje leki z warszawskiej fabryki Servier, gdzie wytwarzane są preparaty niezbędne w leczeniu chorób przewlekłych, szczególnie pacjentów kardiologicznych zmagających się z cukrzycą czy depresją. Priorytetem działalności firmy w Polsce na najbliższe lata jest niezmiennie dalszy rozwój, zwiększanie innowacyjności oraz wzrost zdolności produkcyjnych. Taki model jest realnym wsparciem w tworzeniu bezpieczeństwa lekowego państwa, co jest kontynuacją konsekwentnie prowadzonej już od 30 lat działalności Servier w Polsce.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl e77d6b1577

Piotr Semka

Janusowe

Kaczyński może popełniać błędy, ale bez niego rządząca partia nie istnieje. I to jego janusowe oblicze kształtuje dziś sukcesy i porażki PiS

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Jarosław Kaczyński nie udawał!". Ten tytuł z „Gazety Wyborczej" doskonale opisuje dywagacje na temat intencji lidera Zjednoczonej Prawicy przy okazji sejmowego głosowania nad ustawą covidową. „Gazeta Wyborcza" cytuje opinie, że ustawa covidowa była pułapką na opozycję, ale jednocześnie wybija zdjęcie lidera rządzącej partii, które ma dowodzić jego niemiłego zaskoczenia w momencie głosowania.

Czy Kaczyński chciał przykryć sporem o sposoby przeciwdziałania pandemii inne problemy, które narastają wokół rządu? Osobiście mam wrażenie, że jest w tych podejrzeniach sporo racji. Sprawa wprowadzenia kontroli paszportów covidowych czy też pewnych mechanizmów skłaniających do szczepienia pod wpływem obaw o możliwość zaskarżenia ze strony osób zarażonych w miejscu pracy pasowała do wcześniejszych wypowiedzi Kaczyńskiego, który nadmieniał, że w sytuacjach wyjątkowych państwo musi mieć narzędzia dyscyplinowania obywateli. Owszem, zdarzały mu się takie wypowiedzi, ale w połowie zeszłego roku. Od dłuższego czasu prezes PiS wchodził w inną tonację. Wskazywał, że Polacy są tak specyficznym narodem, że wszelkiego rodzaju ograniczenia przyjmują z nieproporcjonalną irytacją i rozdrażnieniem. Jednocześnie Kaczyński miał świadomość, że opozycja wykorzystuje brak ustawodawstwa zmuszającego do szczepień do formułowania pod adresem rządu oskarżeń o odpowiedzialność za zgony z powodu COVID-19.

Jest więc prawdopodobne, że PiS chciał zastawić na opozycję pułapkę. Politycy PO, lewicy czy PSL musieliby albo poprzeć projekt rządowy, albo go odrzucić, co odbierałoby im potem moralne prawo do obwiniania rządu. Opozycja rzeczywiście zadziałała przewidywalnie i nie poparła projektu napisanego przez rządowych urzędników. A jednocześnie rys nieprzyjemnego zdziwienia na twarzy Kaczyńskiego, jak się zdaje, nie był grą aktorską. Tak samo nie było raczej spektaklem jego zachowanie na trybunie sejmowej. Choć Kaczyński powinien wiedzieć, że każda jego przepychanka słowna z opozycją nieodmiennie mu szkodzi. Poseł PiS, którego pytałem o przyczyny tego zachowania, wyjaśniał mi, że relacje telewizyjne nie oddają skali agresji słownej ze strony platformersów wobec lidera PiS. Ponoć specyficzna akustyka sali sejmowej sprawia, że można wygłaszać obraźliwe opinie na tyle głośno, by dotarły do Kaczyńskiego, a jednocześnie nie zostały wychwycone przez mikrofony kamer, które transmitują obrady.

Nie potrafię się do tego odnieść, bo wiedzieć to mogą tylko ci, którzy siedzą na sali. Ale fakt, że Kaczyński ciągle tak często reaguje irytacją i gotowością do przekrzykiwania się z zagończykami opozycji, dowodzi, że niezbyt słucha nakazujących mu trzymanie się z dala od tego typu sytuacji rad. A jak już kiedyś genialnie wskazał publicysta Igor Zalewski – kiedy lider PiS krzyczy, to jego wrogowie wiedzą, że odnieśli sukces. Natomiast gdy siedzi w sali sejmowej z ironicznym uśmiechem, jego przeciwnicy naprawdę czują się nieswojo.

Podejrzenie, że tym razem coś poszło nie tak, ma pewne podstawy. Na pewno Kaczyńskiego zaskoczyła liczba posłów spoza twardego koronasceptycznego kręgu symbolizowanego przez posłankę Annę Siarkowską. Rządowego projektu nie poparły takie twarze Zjednoczonej Prawicy jak Jadwiga Emilewicz, Kacper Płażyński czy Janusz Kowalski. Pytanie, jakie wnioski

eprasa.pl e77d6b1577

oblicze Kaczyńskiego

wyciągnie z tego Kaczyński. Czy uświadomi sobie, że promowanie ustawy pisanej na kolanie, której bardzo łatwo było przykleić deprecjonującą ją nazwę „lex konfident", nie było najlepszym pomysłem? Powróciło też pytanie, ile razy można forsować projekt, którego intencje są nieczytelne dla zwykłych wyborców PiS.

Od samego początku prac nad tzw. ustawą Hoca (od nazwiska posła Czesława Hoca, który pilotował projekt) rzucała się w oczy dziwaczna ambiwalencja. Projekt promowano, ale bez specjalnego zapału. Problem w tym, że od czasu „lex TVN" wielu wyborców PiS gubi się, zastanawiając się, czy dana ustawa to strategiczny projekt PiS, czy też polityczna intryga mająca wywołać odpowiednie wrażenie za granicą lub w Polsce. W wypadku „lex TVN" wielu zwykłych sympatyków PiS miało poczucie, że ktoś zabawił się nieco ich szczerym poparciem dla ustawy, która osłabiłaby pewność siebie stacji z ulicy Wiertniczej. Co więcej, tego typu gry wywołują wrażenie rozchodzenia się dróg PiS i prezydenta Andrzeja Dudy. Jeśli więc Kaczyński blefował, to wystawił wiarę swoich wyborców na ciężką próbę. Wszelako fakt, że wszyscy zastanawiają się, czy to była gra czy bolesny wypadek, świadczy o tym, jak wielki respekt nadal budzi „demiurg" z ulicy Nowogrodzkiej.

ZMARNOWANY ROK

Jednak to nie wątpliwości wokół ustawy covidowej powinny być tematem najostrzejszych debat w partii rządzącej. O wiele większym problem jest sposób wprowadzenia Polskiego Ładu. Dziś widać, że ideę tę realizowano bez żmudnych przygotowań teoretycznych, które pomogłyby rządzącym dostrzec najrozmaitsze zagrożenia związane z nowym prawem. To, że trzeba ciągle dokonywać poprawek w Polskim Ładzie, a po jego wejściu w życie wielu Polaków czuło dezorientację, spada na konto całego obozu dobrej zmiany. Wszyscy zadają dziś pytanie, jak można było nie przewidzieć efektów tak ogromnej modyfikacji systemu podatkowego.

I tutaj perturbacje związane z nową ustawą kładą się cieniem na premierze Mateuszu Morawieckim. Jego przekonanie,

eprasa.pl e77d6b1577

że tak skomplikowaną reformę da się przeprowadzić szybko i łatwo, okazało się dość naiwnym „chciejstwem". Jeśli teraz Jarosław Kaczyński zapowiada, że posypią się głowy, to można zapytać, dlaczego wcześniej nie widział problemów. A to z kolei prowadzi do nienowych pytań o brak systemu wczesnego ostrzegania w działaniach ekipy dobrej zmiany. Tak było już w wypadku „piątki dla zwierząt", gdy Kaczyński dość lekkomyślnie zlekceważył protesty ówczesnego ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, który dla poszerzenia bazy wyborczej PiS na wsi zrobił więcej niż reszta rządu. Ale nasuwa się kolejne pytanie: Czy Mateusz Morawiecki nie był w stanie wyobrazić sobie skali trudności przy tak daleko idącej reformie systemu podatkowego? Kto kogo nakręcił? Czy to Kaczyński zachwycił się wizją sprawiedliwszego podzielenia obciążeń podatkowych i narzucił Morawieckiemu optymistyczne spojrzenie na szanse powodzenia projektu? Czy też na odwrót – to Morawiecki nie docenił skali trudności i nie przestrzegł odpowiednio mocno lidera PiS przed możliwymi perturbacjami?

Dalej. Jeśli teraz w obozie PiS-owskim mówi się o możliwości dymisji ministra finansów Tadeusza Kościńskiego oraz jego zastępcy Jana Sarnowskiego, to pamiętajmy, że jest to polityk, który znajdował się w samym centrum rządu. A jeśli dochodzą do tego dywagacje o opuszczeniu swoich stanowisk przez wiceministra finansów Piotra Patkowskiego i dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego Piotra Araka, to widać, że problem może być większy, niż się początkowo wydawało.

Jeszcze rok temu Kaczyński dosyć opryskliwie wyrażał się o zastrzeżeniach Jarosława Gowina wobec Polskiego Ładu. Teraz te obawy brzmią znacznie poważniej. Można powiedzieć, że rządząca partia przypomina nieco koncern samochodowy, który ma problemy z wprowadzonym na rynek modelem zawierającym wady konstrukcyjne. Zazwyczaj w takich momentach w korporacjach zderzają się dwa podejścia do problemu. Albo wycofać nieudany model z produkcji i raz na zawsze zamknąć sprawę, albo kontynuować prace nad wyeliminowaniem usterek, ale z groźbą, że kontrowersje wokół danego modelu ciągnąć się będą jeszcze długo. Tak czy inaczej, w takich sytuacjach niezbędni są fachowcy, którzy potrafią trafnie ocenić skalę trudności. Jeśli ich nie ma, to działa się na oślep lub pod wpływem speców od PR.

Opozycja ułatwia sytuację PiS poprzez swoje nietrafione kampanie. Próby wykreowania przez Donalda Tuska kultu ofiar COVID-19 jako ofiar polityki rządu zostały przyjęte jak niesmaczna polityczna nekrofilia

W tym wypadku kłopot z Polskim Ładem wywołali spece od ekonomii, którzy nie byli w stanie przewidzieć rozmaitych ukrytych pułapek, a efekt wzmocnili jeszcze PR-owcy, którzy byli przekonani, że nowy program zmian w prawie podatkowym będzie kolejnym sukcesem na miarę „500+". PiS-owi został już tylko rok przed przygotowaniami do kolejnej kampanii do Sejmu i wyborami samorządowymi. I w wypadku Polskiego Ładu nie jest to sytuacja tak komfortowa jak w wypadku „piątki dla zwierząt", kiedy można było po prostu projekt wrzucić do kosza. Polski Ład wszedł w życie i naprawianie go w warunkach „pracującego sinika" jest nieporównanie trudniejsze i bardziej ryzykowne.

BEZ KACZYŃSKIEGO ANI RUSZ

Porażki porażkami, ale notowania sondażowe PiS wciąż są całkiem dobre. Na pewno bez Jarosława Kaczyńskiego polityka międzynarodowa i obronna nie byłaby prowadzona tak zdecydowanie i konsekwentnie. Spora część mediów nie zauważyła, że Polacy dobrze ocenili sposób radzenia sobie przez rząd z konfliktem na granicy z Białorusią. Stosunkowo skutecznie zablokowaliśmy zamiary Alaksandra Łukaszenki i stojącej za nim Moskwy. Polska dyplomacja okazała się całkiem sprawna także w warunkach kryzysu politycznego wokół Ukrainy. Ekipa demokratów Joe Bidena, którą opozycja chciała obsadzić w roli pogromcy ekipy PiS, odłożyła na bok dawne urazy i rozpoczęła z Polską bardzo sprawną kooperację. W chwili, gdy piszę te słowa, minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau udaje się właśnie do Waszyngtonu, a ponadto w najbliższym czasie zebrać mają się przywódcy Polski, Niemiec i Francji w ramach wskrzeszonego formatu Trójkąta Weimarskiego.

Także bardzo trudny dla PiS problem kooperacji z partiami tożsamościowymi na Zachodzie udało się premierowi Morawieckiemu rozwiązać w zgrabny sposób. Zebranie konserwatystów w Madrycie zakończyło się apelem, w którym krytycznie została oceniona polityka Rosji wobec Ukrainy. Politycy Platformy szydzili, że Polacy zderzą się z niereformowalnym proputinizmem Matteo Salviniego czy Marine Le Pen, a jednak kwestia ta nie stała się kością niezgody między PiS a jej zachodnimi partnerami.

Wszystko to powoduje, że Polacy mają wszelkie powody, by uważać tę władzę za optymalną w sytuacji zagrożeń międzynarodowych. Morawiecki właśnie zawarł ugodę z Czechami w sporze o kopalnię węgla brunatnego, zapewniając ciągłość wydobycia. Szymon Hołownia zdążył wcześniej zadeklarować, że „Turów trzeba będzie zamknąć". Kto w tej sytuacji zyska głosy na Dolnym Śląsku?

Opozycja oczywiście ułatwia sytuację PiS poprzez swoje nietrafione kampanie. Próby wykreowania przez Donalda Tuska kultu ofiar COVID-19 jako ofiar polityki rządu zostały przyjęte jak dziwactwo, a nawet niesmaczna polityczna nekrofilia. Polacy podchodzą do pandemii zaskakująco spokojnie i jak się wydaje, w większości raczej są przeciw antycovidowym restrykcjom. Także w wypadku galopującej inflacji wydaje się, że Jarosław Kaczyński przekonał Polaków, iż rząd robi wszystko, co może, aby blokować niekontrolowany wzrost cen.

Problemem jest kwestia wymyślenia nowych, chwytliwych haseł na kampanię 2023 r. Nowym wehikułem miał być Polski Ład. Jeśli spełnią się zapewnienia ekonomistów PiS, to po poprawkach Polacy z czasem przekonają się, że podniesie on ich poziom życia. Tyle że już raz ekonomiści PiS się pomylili. A wybory wymagają nowych idei, owych twarzy i nowych haseł. Szczególnie przy wyczerpaniu PiS po ośmiu latach sprawowania władzy. Kaczyński może popełniać błędy, ale bez niego rządząca partia nie istnieje. I to jego janusowe oblicze kształtuje dziś sukcesy i porażki PiS. Prezes wciąż jest największym atutem swej partii, ale i co pewien czas kimś, kto zdumiewająco uparcie nie zauważa politycznych raf.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Granica pychy

Rafał A. Ziemkiewicz

Coraz gorsze projekty, ignorowanie ostrzeżeń ze wszystkich stron – to nieuchronny mechanizm neosanacji, która sama wyjaławia się z talentów, preferując wodzowskie zarządzanie. Prawica właśnie dotarła do linii, za którą jest już tylko upadek

Ustawa 1981 (był to numer porządkowy druku sejmowego, ale zdaniem niektórych, w kontekście proponowanych rozwiązań, symboliczny) niesławnie przepadła w Sejmie, ale niesmak po niej pozostał. To już kolejna po „wyborach pocztowych", „piątce dla zwierząt" czy kolejnych „repolonizacjach" mediów legislacyjna szarża partii rządzącej – tyleż hałaśliwa i uparta, ile od samego początku pozbawiona sensu. Trudno wręcz pomieścić w zwięzłym tekście wszystkie zawarte w niej horrenda, trudno orzec też, czemu miałaby służyć – bo do zmniejszenia zachorowań na COVID-19, co oficjalnie było jej celem, przyczynić by się nie mogła w najmniejszym nawet stopniu. Nakładanie grzywien w trybie administracyjnym, w praktyce za brak aktualnego testu (taki test każdy musiałby robić co trzy dni, a kosztuje on przecież ok. 150 zł), horrendalny zapis o niemożności zmniejszenia przez sąd wysokości mandatu ustalonej przez policjanta… Podobnie jak przy „piątce dla zwierząt" nie wytrzymała tego spora część posłów PiS (przeciwnych oraz wstrzymujących się – 61, a licząc razem z nieobecnymi – 77; to już prawdziwy bunt na pokładzie), co szczęśliwie skróciło żywot projektu, ale kosztem i tak fatalnie nadszarpniętej Polskim Ładem reputacji obozu rządzącego.

EFEKT MALOWNICZEJ PORAŻKI

W komentarzu nagrywanym na bieżąco pozwoliłem sobie użyć określenia „lex ad hoc" i nie chodziło mi bynajmniej o aluzję do nazwiska posła, który firmował poprzednią wersję antycovidowego prawa PiS, ale o powtarzający się, kompromitujący dla PiS sposób działania. Właśnie o promowanie projektów, delikatnie mówiąc, nieprzemyślanych, ewidentnie pisanych naprędce, dla uniknięcia rzetelnej oceny skutków zgłaszanych jako przedłożenia poselskie i obliczonych – chyba, bo właściwie trudno być tu czegokolwiek pewnym – wyłącznie na efekt PR-owski. Na dodatek jest to z reguły efekt malowniczej porażki, w czym politycy PiS zdają się upatrywać szczególny nimb „moralnego zwycięstwa".

Kolejne takie projekty i towarzyszące im wzmożenia propagandowe, jeśli nawet mobilizują na chwilę „żelazny elektorat" (jak w wypadku nowelizacji ustawy o IPN, próby opodatkowania reklam albo pokazowego, acz niebolesnego uderzenia w TVN), to tylko na chwilę. Wtrącają go potem w jeszcze głębszą frustrację. Przede wszystkim zaś kompromitują władzę jako całkowicie indolentną. Ileż można jechać na tym, że kiedyś udało się wprowadzić „500+" i uszczelnić na grube miliardy VAT? Nawet jeśli dotąd pamięć tych sukcesów jakoś na ludzi działała, to po Polskim Ładzie chyba nie jest to już możliwe.

Kolejne ujawniane dziury we wspomnianym programie to oczywiście problem dla władzy znacznie poważniejszy: przecież miał on być sztandarowym dokonaniem drugiej kadencji rządów PiS i przepustką do trzeciej! Nie bardzo wprawdzie wiadomo, kto tak konkretnie zań odpowiadał, ale rządzący sugerowali, że zaangażowali do tej pracy swoje najlepsze kadry, młodych technokratów ściągniętych spoza polityki, którzy mieli wnieść zupełnie nową jakość względem oddanych prezesowi, ale nieudolnych w działalności pozapartyjnej weteranów z „zakonu PC".

Tymczasem „urawniłowkowa" filozofia Polskiego Ładu nie zdążyła się jeszcze nawet objawić, gdy wykoleiły go elementarne błędy wynikające z ogromu niedopatrzeń: komplikując niezwykle już skomplikowany system ulg, zwolnień i preferencji, okazali się owi technokraci potykać o sprawy, które dla każdego rutynowanego urzędnika byłyby widoczne od razu. Trudno radzić teraz rządowi, co ma z tym pasztetem zrobić, ale jeśli nie ogarnie sytuacji w szybkim czasie, najdalej do połowy roku, to do przyszłorocznych wyborów partia nie będzie miała po co startować, w każdym razie nie bez głębokiej „odnowy".

Porażka Polskiego Ładu to inna sprawa niż różne wspomniane wcześniej „lex ad hoc", ale ma z nimi kilka wspólnych cech. Między innymi tę, że PiS w każdym z tych wypadków wykazał się niepojętym, wręcz tępym uporem, odrzucając wszystkie przestrogi, niezależne opinie, analizy i ostrzeżenia. Nawet jeśli płynęły ze środowisk władzy życzliwych. Przed niedoróbkami Polskiego Ładu ostrzegało praktycznie całe szeroko rozumiane zaplecze eksperckie i opiniotwórcze prawicy, podobnie jak przed absurdami „ustawy 1981" czy – by sięgnąć do źródeł – przed sprzecznym

eprasa.pl e77d6b1577

z konstytucją i po prostu niewykonalnym pomysłem przeprowadzenia wyborów nie przez Państwową Komisję Wyborczą, ale przez pocztę. Jeśli głuchym milczeniem zbywa PiS głosy nawet tak mocno atakowanych przez opozycję organizacji jak Związek Pracodawców Polskich czy Ordo Iuris, trwając w postawie: „kto nie chwali, ten przeciw nam" i wymagając od „swoich" mediów bezwzględnego podporządkowania linii partii oraz dawania twardego odporu „miazmatom" opozycji, to dochodzimy do granicy pychy, po której przekroczeniu może nastąpić już tylko nieuchronny upadek.

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

WIELKIE WYJAŁOWIENIE

Co się zepsuło w maszynie rządzenia, że od pewnego czasu nie jest ona w stanie wyprodukować bez kompromitacji żadnej ustawy, rozwiązać żadnego problemu ani nawet, jak za rządów Tuska, stworzyć pozoru, że problem jest rozwiązywany i trzeba tylko poczekać, aż podjęte działania przyniosą skutki? Nie lubię frazy „A nie mówiłem"?, ale sądzę, że wobec tego, co od kilku lat, praktycznie od momentu przejęcia przez PiS władzy, staraliśmy się na tych łamach wyperswadować, mamy niestety takie prawo.

Wielokrotnie przywoływałem tu i w innych miejscach przestrogę Dmowskiego, że „dyktatura może być urządzeniem jedynie czasowym", gdyż, pośród innych jej złych skutków, w błyskawicznym tempie wyjaławia ona otoczenie dyktatora z talentów, mądrości i śmiałości podejmowania decyzji. To, co klasyk odnosił do rządów Piłsudskiego, doskonale niestety pasuje także do obecnej władzy, w pełni zasługującej na miano neosanacyjnej. Na czym polega ta specyficznie polska forma autorytaryzmu, łącząca patriotyzm z etatyzmem i koteryjnością, lekceważąca wszelkie procedury i struktury, a rozwiązań upatrująca w personaliach, lojalności i nieomylności lidera, pisałem gdzie indziej i szkoda czasu na powtarzanie. Nawet gdyby „numer jeden" w takiej strukturze był istnym geniuszem, to już sam fakt, że kariery i wybór takich, a nie innych strategii zależą od jego subiektywnej oceny, sprawia, iż w krótkim czasie otorbiony zostaje tłumem potakiwaczy zabiegających o jego względy i wytwarzających na jego użytek rzeczywistość wirtualną. Decyzje nie zależą od potrzeb i skutków, a od układów „na dworze", przystępu do „ucha" naczelnika i umiejętności przypodobania się mu. Reakcją na porażki nie jest szukanie ich przyczyn i mechanizmu, ale wskazanie winnego.

Nie rozwodząc się nad tym, Polska pod rządami PiS tkwi wciąż bez reszty w XIX-wiecznej kulturze urzędniczej, swoiście patriarchalnej i opartej na osobistej ocenie podwładnych przez przełożonych. Tymczasem nowoczesny świat, z racji swego skomplikowania i rozmnożenia zadań, które wzięło na siebie państwo, dawno już przerósł możliwości zarządzania urzędniczego i w przeważającej części aparatów państwowych stosuje zarządzanie typu menedżerskiego. To znaczy takiego, gdzie ocenia się nie bieżącą pracę odpowiedzialnej za konkretne zadania osoby, lecz wyznacza się strukturom cele i pozostawia swobodę w ich osiąganiu, a rozlicza ze skutków.

OD SĄDÓW SIĘ ZACZĘŁO

Błędem zasadniczym PiS jest wskazywanie przy każdym problemie zawsze tego samego, uniwersalnego rozwiązania: kontroli. Więcej osobistego nadzoru Naczelnika lub wskazanego przez niego zaufanego nadzorcy. Modelowym przykładem skutków takiego myślenia, wielokrotnie tu analizowanym, jest nieudana reforma sądownictwa. Pierwotnym pomysłem na rozbicie tego patologicznego „państwa w państwie", zaklętego kręgu, w którym sędziowski establishment sam się wybierał, sam kontrolował i sam decydował, kto może być dokooptowany do „kasty", było powierzenie wyboru KRS ogółowi sędziów, zamiast wyznaczanym przez tenże KRS prezesom sądów. Został on ewidentnie utrącony na Nowogrodzkiej i zastąpiony koncepcją politycznego nadzoru, sprawowanego za pośrednictwem „swoich" sędziów.

Klęska tej reformy niestety nie skłoniła Jarosława Kaczyńskiego i jego ludzi do refleksji, PiS konsekwentnie szuka rozwiązań w ściślejszym nadzorze. Nieuchronnie czyni to z prezesa PiS strażaka, miotającego się od pożaru do pożaru i coraz mniej mającego czasu na próby ogarniania całości, a na dodatek dezinformowanego przez konkurujące o jego względy otoczenie. Co najgorsze, aby utrzymać swój wpływ, musi on

eprasa.pl e77d6b1577

stale wyważać wpływy koterii, frakcji, kamaryl i sitw. Dzieje się to kosztem sprawności administracji, która puchnie od zbędnych, a często wręcz szkodliwych nominatów, służących – jak to ładnie politycy nazywają – „wzmocnieniu kadrowemu" poszczególnych takich grup.

Sięgnięcie przez Jarosława Kaczyńskiego po Mateusza Morawieckiego, człowieka z kultury korporacyjnej, zdawało się nieść nadzieję, że ten sposób rządzenia przez „delegowanie zaufania" zostanie wreszcie zmieniony. Stało się odwrotnie. Morawiecki z menedżera przeistoczył się gładko w aparatczyka budującego swoje partyjne zaplecze, a po trosze w drugiego, pomniejszego „Komendanta", sprawującego władzę w identyczny sposób, poprzez swoich zaufanych.

Ten system praktycznie gwarantuje niesterowność każdej struktury. Żaden ekspert, niebędący z góry wyznaczonym do tej roli „zaufanym", nie może na nic wpłynąć, jeśli ma kontakt z ludźmi, dla których liczy się tylko jedno: mamy już „decyzję polityczną" podjętą przez Kogo Trzeba i to Jego ocena naszych działań będzie wiążąca. A skutki? Przez wieki swego trwania kultura urzędnicza wypracowała tysięczne sposoby unikania odpowiedzialności i tworzenia „dupokrytek", pozwalających w każdej katastrofie przekonać przełożonego, że to nie moja wina, ale obiektywnych okoliczności.

ODERWANIE KACZYŃSKIEGO

Wszystko to, wyjaśniając ogólną marność rządów, nie wyjaśnia jednego: skąd się biorą pomysły ewidentnie uwłaczające zdrowemu rozsądkowi. Polski Ład można uznać za wypadek przy pracy, efekt naiwnej wiary w matematyczne modele tworzone na papierze. Skąd jednak upór w procedowaniu pomysłów ewidentnie uwłaczających zdrowemu rozsądkowi, jak „piątka dla zwierząt" czy projekty zmuszające pracodawców do tworzenia ze swych firm jakichś quasi-leprozoriów? Pomysłów, których ani ogół społeczeństwa, ani nawet tylko elektorat partii wcale się nie domagał, nie oczekiwał, które obracają przeciwko partii dotychczasowych sojuszników, bynajmniej nie przyciągając nikogo nowego na ich miejsce?

Na takie pytania ludzie obecnej władzy nie odpowiadają, chyba że milczącym grymasem i znaczącym spojrzeniem do góry. Wdarcie się na sejmową trybunę – jak zwykle „w żadnym trybie", po formalnym ogłoszeniu przerwy – prezesa PiS z przemową na rzecz procedowanego projektu „1981", co najgorsze, zupełnie chybioną i w zastosowanej argumentacji wręcz irracjonalną, wydaje się to potwierdzać.

Największym bowiem nieszczęściem sanacji, jak każdego systemu dyktatorskiego, jest brak jakiegokolwiek zabezpieczenia przed utratą przez Pierwszego kontaktu z rzeczywistością czy zgoła przed jego szaleństwem. Nie wyobrażam sobie, który z ludzi otaczających Jarosława Kaczyńskiego umiałby powiedzieć mu, że odleciał. Spodziewam się raczej zachowań takich jak w sławnej scenie z „Misia": „Znajdziemy go, panie kierowniku, trzy noce będę jeździł!". Cokolwiek „pan kierownik" powie, zostanie zapewniony, że „damy radę", choćby zapewniający w duchu uważał, że Komendant oszalał i nie miał najmniejszego zamiaru nawet próbować realizować jego poleceń.

System, odziedziczony jeszcze po PRL (rząd rządzi, ale partia kieruje – znajomy historyk mówił mi kiedyś o rozczarowaniu, którym okazały się odtajnione protokoły posiedzeń rządu z początków lat 90., gdzie jedynie ględzono, a wszystkie realne decyzje były na posiedzenie już przynoszone), został definitywnie popsuty przez Tuska, który nie zamierzał w Polsce zostawać i beztrosko, dla doraźnego efektu, demolował państwo „bajpasami" i „specustawami". W momencie objęcia władzy przez PiS należało przede wszystkim stworzyć narzędzia do rządzenia, „postawić system", jak to mówią informatycy, na nowo, według nowoczesnych zasad, nawet kiedy wszystkie możliwe media i zasiedziałe elity sabotowały histerycznie każdy ruch znienawidzonej „populistycznej" władzy. Nikt w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego, a już zwłaszcza on sam, nie widział takiej potrzeby. Uważano, że „pańskie oko konia tuczy" i byle tylko mianować zaufanych ludzi i dopilnować ich, wszystko pójdzie jak należy.

Niestety, tak skomplikowanej struktury jak państwo nie da się ogarnąć jednoosobowo. Człowiek, choćby najwybitniejszy, jest tylko człowiekiem.

Pozostaje pytanie: I co teraz?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Maciej Pieczyński

Kijów potrzebuje Warszawy bardziej niż Warszawa Kijowa. A jednak to Ukraina w tym sojuszu rozdaje karty, stawia wymagania i broni własnych interesów. Trzeba to zmienić

Wspierajmy Ukrainę, ale nie za darmo

Od kilku miesięcy nad Ukrainą wisi groźba rosyjskiej agresji. Wydawałoby się, że w tej sytuacji Kijów powinien zabiegać o jak najlepsze relacje z być może najwierniejszym swoim sojusznikiem w strukturach NATO i UE – Warszawa jest bowiem jedną z niewielu europejskich stolic, które konsekwentnie i bez niuansowania ostrzegają świat przed rosyjskim imperializmem, nieustannie przypominając o sytuacji Krymu i Donbasu. Polska jest nie tylko adwokatem Ukrainy w jej dążeniach do integracji z Zachodem, lecz także państwem, przez którego terytorium przebiegają realne i ewentualne łańcuchy dostaw pomocy wojskowej dla Kijowa. Zadeklarowaliśmy, że dostarczymy Ukrainie amunicję, broń przeciwlotniczą, lekkie moździerze i drony rozpoznawcze. Od lat funkcjonuje brygada litewsko-polsko-ukraińska, a BBC właśnie poinformowało o planach powołania sojuszu Polski, Ukrainy i Wielkiej Brytanii. Ponadto nad Wisłą pracuje ponad milion Ukraińców. W razie ewentualnej inwazji rosyjskiej ta liczba zwiększy się diametralnie. Jest oczywiste, że schronienia szukać będą właśnie w Polsce – tym razem już nie migranci ekonomiczni, lecz uchodźcy.

SOJUSZNIK RYWALEM?

Warszawa traktuje Kijów jak sojusznika. Kijów Warszawę – jak rywala. Albo jak słabszego partnera, który musi ustąpić przed wolą silniejszego. Widać to wyraźnie na przykładzie konfliktu o przewóz towarów. Ukraina zablokowała tranzyt kolejowy z Azji do Polski. Oficjalnym powodem była konieczność przeprowadzenia prac remontowych. W rzeczywistości Ukraina zamierzała w ten sposób wymusić na Polsce konkretne ustępstwa. Kijów zasugerował, że odblokuje tranzyt, jeśli Warszawa zwiększy limity przewozowe dla ukraińskich kierowców. W tej kwestii panował parytet. Polska wydawała 160 tys. zezwoleń rocznie dla przewoźników z Ukrainy, Ukraina zaś tyle samo dla polskich firm transportowych. Kijów chce więcej – 200 tys. Zamiast cywilizowanych negocjacji wybrał drogę szantażu. Chcąc wymusić zwiększenie konkretnej liczby zezwoleń dla swoich kierowców, nie tylko zredukował do zera liczbę wagonów transportujących towary z Azji przez Ukrainę do Polski, lecz także zagroził złożeniem skargi na Polskę do Komisji Europejskiej. Pod tym jednym względem paradoksalnie bardziej przewidywalnym sąsiadem jest Białoruś, która pomimo konfliktu hybrydowego nie zamknęła – na razie – tranzytu przez swoje terytorium do Polski.

Ukraina osiągnęła swój cel. Ograła Polskę. Ruszyły rozmowy na poziomie ministerstw. Polski tranzyt zostanie odblokowany, a kwota zezwoleń na przewozy towarowe zwiększona. To rozwiązanie tylko z pozoru kompromisowe. W praktyce Warszawa uległa szantażowi i – jak się wydaje – wiele straci. Polscy przewoźnicy do tej pory nie wykorzystywali całej puli zezwoleń. Trudno więc sobie wyobrazić, by potrzebowali ich więcej. Gra toczy się przecież o transport towarów na zachód, nie na wschód. Polska jest potentatem w branży transportowej. Więcej pozwoleń dla ukraińskich kierowców to wspieranie konkurencji. Skoro Kijów, nawet mając geopolityczny nóż Putina na gardle, w relacjach z Polską tak walczy o swój interes, to dlaczego Polska miałaby ustępować?

Ukraina bardziej nas potrzebuje niż my Ukrainy. Trzeba z tego skorzystać,

eprasa.pl e77d6b1577

Premier Mateusz Morawiecki i szef rządu Ukrainy Denys Szmyhal podczas spotkania 1 lutego w Kijowie FOT. MATERIAŁY PRASOWE PIS

nie zmieniając jednak frontu. W naszym interesie leży istnienie niepodległej Ukrainy jako buforu oddzielającego nas od Rosji. A najlepiej też jako przyjaznego nam państwa.

Historia pokazuje, że Rosja potrzebuje Ukrainy, aby być imperium zdolnym rzucić wyzwanie Zachodowi. Trzeba Moskwę powstrzymywać. Ale wsparcie militarne i dyplomatyczne nie musi iść w parze z uleganiem w innych sferach. Brońmy niepodległości Ukrainy, nie zaś jej interesów ekonomicznych. Stawiajmy warunki i walczmy o swoje. Niekoniecznie używając szantażu, bo wtedy Ukraina, jak za Poroszenki, ustawiłaby się tyłem do nas, przodem do Niemiec. Trzeba jednak partnerom w Kijowie uświadomić, że wsparcie nie jest za darmo. Nawet jeśli nie chcemy, by rosyjski żołnierz stanął nad Sanem, to przecież najpierw musi stanąć nad Dnieprem. Nie musimy zatem popadać w histerię i traktować rosyjskiego imperializmu poważniej niż Ukraińcy. Powinniśmy im za to uświadomić fakt, o którym często zapominają – że choć chcemy im pomagać, to jednak nasza cierpliwość ma granice, a to oni potrzebują pomocy, nie my.

NIE TYLKO GOSPODARKA

Oczywiście dzieli nas nie tylko gospodarka, lecz także – a w zasadzie przede wszystkim – polityka historyczna. Od zapowiedzi zniesienia zakazu ekshumacji minęło półtora roku. Prace poszukiwawcze ruszyły, ale na krótko. Anton Drobowycz na stanowisku szefa Ukraińskiego IPN jest bardziej umiarkowaną wersją Wołodymyra Wiatrowycza. Co prawda, sprzeciwia się oficjalnej, państwowej gloryfikacji OUN-UPA, ale zgodę na ekshumacje polskich ofiar Wołynia uzależnia od odnowienia zniszczonej mogiły upowców na wzgórzu Monasterz w jej pierwotnym kształcie. „Możemy się zgodzić na likwidację pomników UPA w Polsce, ale to oznacza, że na Ukrainie nie będzie ani jednego upamiętnienia poświęconego AK" – mówił mi w wywiadzie dla „Do Rzeczy" latem ubiegłego roku. Nic nie wskazuje na to, by zmienił zdanie. Ukraińska polityka historyczna dziś mniej skupia się wokół kultu OUN-UPA niż za czasów Poroszenki, wciąż jednak w sprawie Wołynia forsuje tezę o symetrii win.

Ukrainy nie stać dziś na całkowite odcięcie się od UPA. Kult banderowców, genetycznie antypolski, aktualnie ostrze ma jednoznacznie antyrosyjskie. Dla wielu Ukraińców upowcy to bohaterowie powojennych walk z NKWD. Musimy o tym wiedzieć, co nie znaczy, że mamy to akceptować. Prezydentura Wołodymyra Zełenskiego od początku wydawała się szansą na ustępstwa Kijowa w kwestii polityki historycznej. Ustępstwa, nie kapitulację. Zełenski nie może całkowicie i jednoznacznie potępić UPA, choć teoretycznie mógłby potępić zbrodnie UPA. Rosyjskojęzyczny, ale nie prorosyjski, w opozycji dla hurrapatrioty Poroszenki kreujący się na człowieka kompromisu i zgody, nie jest, inaczej niż poprzednik, zależny od banderowskiego elektoratu z Galicji. Tamten hurrapatriota, z niewiadomych przyczyn lubiany nad Wisłą po obu stronach politycznej barykady, wymierzył Polsce policzek, przyjeżdżając do Sahrynia w rocznicę ludobójstwa UPA. W tym samym czasie, gdy Andrzej Duda składał kwiaty w pustym polu na Wołyniu, Poroszenko, otoczony działaczami Związku Ukraińców w Polsce, opowiadał w Sahryniu o polskich zbrodniach, narzucając fałszywą narrację o symetrii win.

Zełenski na taki krok by się nie zdecydował, bo to nie jest jego polityczny klimat. On pamięci UPA nie musi bronić jak niepodległości. Za to przyjaciół na Zachodzie permanentnie potrzebuje. Najwyraźniej dziś ma poczucie, że przyjaźń Polski dostał za darmo. Symboliczny jest fakt, że ostatnio po raz kolejny polscy dziennikarze nie zostali dopuszczeni na konferencję prasową prezydenta. Afront goni afront. Faktem jednak jest, że o ile stosunek Poroszenki do Polski miał charakter raczej dogmatyczny (banderowski elektorat, proniemiecki kurs), o tyle Zełenski wciąż wydaje się potencjalnie elastyczny. Banderowców nie potrzebuje, a Niemcy nie potrzebują jego. Przymuszany do ustępstw, sekowany przez Berlin i Paryż za walkę z oligarchią, w końcu musi zrozumieć, że po pierwsze – potrzebuje Polski, po drugie – że Polska, owszem, pomoże bardziej niż inni, ale nie za darmo.

TRZEBA NACISKAĆ

Jestem sobie w stanie wyobrazić, że Duda i Zełenski, podobnie jak kiedyś Kwaśniewski i Kuczma, zorganizują wspólne obchody na Wołyniu, gdzie – co prawda – trzeba będzie wspomnieć również o polskich zbrodniach, ale w odniesieniu do ukraińskich padnie zakazane dziś nad Dnieprem słowo „ludobójstwo". Trzeba ten temat w rozmowach z Kijowem stanowczo podjąć. W sferze gospodarki stawiać jednoznacznie na swoim, w sferze bezpieczeństwa – wspierać, ale wsparcie dawkować w zależności od otwartości drugiej strony na ustępstwa w sferach dla nas bardzo ważnych. Delegalizacji UPA nie wymusimy, ale wznowienie ekshumacji czy potępienie konkretnych zbrodniarzy jest już w zasięgu.

Polska musi bardziej, ale i mądrzej naciskać na obecne władze w Kijowie. Nie ograniczać wzajemnych relacji do kwestii bezpieczeństwa militarnego. W ostatnich dniach toczy się ożywiony dialog na linii Kijów – Warszawa. Spotkali się prezydenci, następnie premierzy obu krajów. Wciąż jednak jest to dialog jednostronny. Polska oferuje coraz szerzej zakrojoną pomoc, ale niewiele wskazuje na to, by oczekiwała czegokolwiek w zamian. Trzeba uzmysłowić naszym partnerom, że mogą liczyć na konsekwentne wsparcie, ale sami muszą też od siebie coś dać. Bo w przeciwnym razie Polska może na przykład ograniczyć się do słów, w czynach będąc równie wstrzemięźliwą jak na przykład Niemcy. Bez naszej amunicji Ukraina też będzie bronić Zachodu przed Rosją, bo tu idzie o jej głowę. Ale oczywiście z naszą amunicją bronić się będzie skuteczniej. Szczególnie że poza nami czy Wielką Brytanią mało kto na Zachodzie tak bardzo chce powstrzymywać Rosję. Będąc jednym z niewielu adwokatów Ukrainy, ryzykując, że na koniec zostaniemy z Moskwą niemal sam na sam, tym bardziej powinniśmy od Kijowa wymagać więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Powrót Gowina

Kamila Baranowska

Jarosław Gowin wrócił do zdrowia i do polityki. Jego cel na najbliższe miesiące to walka o rozczarowanych wyborców PiS. Tym chce przekonać do siebie liderów opozycyjnych partii

Pokonałem chorobę. Wracam do polityki. Czuję się silniejszy niż kiedykolwiek" – powiedział dziennikarce TVN24 Jarosław Gowin, były wicepremier, w pierwszym szczerym wywiadzie udzielonym po dłuższej nieobecności. Dziś otwarcie mówi o swojej depresji, przez którą trafił do szpitala. Spędził tam miesiąc, kolejny dochodził do siebie w domu. Teraz postanowił wrócić do pracy i do polityki. Twierdzi, że doradzali mu to nawet jego lekarze. – Miałem depresję, będącą efektem wielu miesięcy bezsenności. Z kolei brak snu był skutkiem ubocznym przechorowania COVID-19. Na to nałożyły się przepracowanie i brutalny atak PiS – wyznał. – Trafiłem do szpitala, będąc w połowie drogi. Teraz wracam – dodał.

Gowin wrócił nie tylko do występów medialnych, lecz także do planowania swojej politycznej przyszłości. A ta – jeśli patrzeć na sondaże – nie wygląda różowo. Porozumienie jest pod kreską, więc jedyną szansą dla Gowina jest wejście do szerszej opozycyjnej układanki, najchętniej z PSL i Szymonem Hołownią. Taka koalicja to dla Gowina szansa nie tylko na mandat poselski, lecz także na współrządzenie, jeśli przyszłe wybory wygra opozycja. Dla polityka, który większość ostatnich lat spędził na rządowych najwyższych stanowiskach (minister w rządach PO-PSL, potem minister i wicepremier w rządach Zjednoczonej Prawicy), ma to duże znaczenie.

NA LIŚCIE OPOZYCJI

Opozycja jest dziś mocno podzielona, jeśli idzie o polityczną przyszłość i formę współpracy. Donaldowi Tuskowi i jego sympatykom, także tym medialnym, marzy się jedna, wspólna lista, na której znalazłyby się prawie wszystkie opozycyjne partie. Prawie, bo Tusk nie chce współpracy z Lewicą, którą w ostatnim czasie mocno atakuje.

Na drugim biegunie są liderzy PSL czy Polski 2050, którzy pomysł jednej wspólnej listy oceniają jako mało realny i przede wszystkim zmniejszający szanse wygranej. Ludowcy przypominają, że opozycja niezbyt dobrze wyszła na sojuszu wszystkich partii w wyborach europejskich. Dziś PSL nie chce popełniać tych samych błędów i jak mantrę powtarza deklaracje o budowie własnego, umiarkowanego, chadeckiego centrum pod znakiem Koalicji Polskiej. Co bardzo pasuje Gowinowi.

„Wiele badań opinii publicznej pokazuje, że Polacy potrzebują umiarkowanej, rozsądnej i nastawionej przede wszystkim na gospodarkę oferty politycznej [...]. Wydaje się więc, że realny jest scenariusz, w którym wspólna, centrowa lista złożona z Polski 2050 Szymona Hołowni, PSL, Porozumienia oraz środowisk samorządowych odpowie tym oczekiwaniom i przedstawi program wolnorynkowy, prosamorządowy i proeuropejski. To nie tylko możliwe, lecz także w obecnej sytuacji wręcz konieczne" – napisał kilka dni temu na swoim Facebooku Jarosław Gowin.

A w wywiadzie dla TVN24 deklarował, że sprawy idą w niezłym dla niego kierunku. – Z Władkiem Kosiniakiem-Kamyszem znamy się od dawna. Darzymy się szacunkiem i zaufaniem, a to ostatnie jest w polityce bardzo rzadką monetą. Wierzę, że będziemy współpracować. Bardziej złożona jest sytuacja z Szymonem Hołownią – stwierdził.

CO W SONDAŻACH

Jednak ani Kosiniak-Kamysz, ani Hołownia nie są już tak skorzy do konkretnych deklaracji. Przynajmniej na razie. Wiadomo, że liderzy wszystkich ugrupowań spotykają się i rozmawiają. Każdy jednak pilnuje się, by nie składać zbyt daleko idących deklaracji. – Półtora roku przed wyborami obiecywanie czegokolwiek nie byłoby zbyt rozsądne. Przez ten czas może wydarzyć się wszystko. Mamy czas, podchodzimy do tego spokojnie – mówi nam jeden z ludowców.

eprasa.pl e77d6b1577

Podobne podejście ma Polska 2050 Szymona Hołowni. – Na dziś wszystkie scenariusze są możliwe. Nie ma żadnych ustaleń z partią pana Gowina ani z innymi partiami. Czas na ustalenia będzie kilka miesięcy przed wyborami. Naszym celem numer jeden jest pożegnanie władzy PiS, partii, która marnuje czas, pieniądze, zdrowie i energię Polaków – uważa Michał Kobosko z Polski 2050.

Szymon Hołownia ma najwięcej do stracenia. Wszedł do polityki jako nowa jakość, nieobarczona dotychczasowymi politycznymi sporami i podziałami. Wejście w koalicję z ludowcami i Gowinem ten efekt mocno zniweluje. Nic dziwnego, że Polska 2050 wyczekuje i patrzy na sondaże.

To samo robią ludowcy, którzy liczą, że gdy Hołowni będzie spadać poparcie, to rozmowy pójdą szybciej i łatwiej. – Od powrotu Tuska jego pozycja rozdającego karty nie jest już taka pewna. Dlatego nikt się nie pali już teraz do podpisywania konkretnych umów. Na razie jest czas obwąchiwania, choć on już rzeczywiście powoli mija. Bo ileż można?! A Hołownia? Im bardziej sondaże lecą mu w dół, tym staje się rozsądniejszy w rozmowach. Będzie dobrze – śmieje się polityk PSL.

Ludowcy i Gowin liczą też na to, że prędzej czy później Hołownia będzie musiał się określić w niektórych sprawach, w związku z czym z częścią elektoratu będzie się musiał pożegnać. – Nie da się być proszczepionkowym i antyszczepionkowym jednocześnie, nawet jeśli w elektoracie ma się mocno reprezentowane obie te grupy. Można lawirować, ale do czasu, przyjdzie moment, że Hołownia będzie się musiał zdecydować, w którą stronę idzie – mówi jeden z naszych rozmówców z Porozumienia.

ŁOWIĆ WYBORCÓW PIS

Nie zmienia to jednak faktu, że Jarosław Gowin ma najtrudniejszą pozycję negocjacyjną. Liderzy partii opozycyjnych obawiają się, czy wejście z nim w sojusz nie odbije się na ich wiarygodności. W końcu przez ostatnie lata był jednym z ważniejszych elementów obozu Zjednoczonej Prawicy i ręka w rękę przegłosowywał z PiS ustawy, przeciwko którym protestowała opozycja, choćby te dotyczące reformy sądownictwa.

Wiedzą to także on sam i jego współpracownicy, którzy w każdej rozmowie podkreślają, że potencjał wyborczy Porozumienia jest większy, niż wskazują sondaże. – Jarosław Gowin pozostaje wiarygodnym politykiem dla konserwatywnych wyborców z miast powiatowych i byłych miast wojewódzkich poniżej 100 tys. mieszkańców, a także dla przedsiębiorców. To się nie zmieniło po odejściu z rządu, co jest dla nas bardzo dobrą informacją – mówi o wynikach wewnętrznych badań polityk Porozumienia.

Największym kapitałem politycznym i jednocześnie argumentem w rozmowach z liderami opozycji jest jednak, jak twierdzą politycy Porozumienia, potencjał przyciągania rozczarowanych wyborców PiS.

– To elektorat, który z jasnych przyczyn nie zagłosuje ani na Platformę, ani na PSL, bo pamięta ich rządy. Hołownia jest z kolei znakiem zapytania, bo wciąż nie określił się w kluczowych sprawach, choćby ideowych, co dla konserwatystów jest ważne – tłumaczy jeden ze współpracowników byłego wicepremiera.

Przeobrażanie się z polityka kojarzonego z rządem PiS w polityka opozycji nie będzie dla Gowina łatwym procesem. Chcąc się uwiarygodnić w oczach liderów i wyborców opozycji, musi krytykować Jarosława Kaczyńskiego, uderzać w rząd i premiera. Z drugiej jednak strony, jeśli liczy na przejmowanie zmęczonego PiS-owskiego elektoratu, to nie może z tą krytyką rządu przesadzić, bo gra o wyborców, którym większość działań PiS się podoba albo chociaż do pewnego momentu się podobała. – Nie wiem, czy ten bilans przekona wyborców opozycji – odpowiadał, pytany w TVN24 o to, czy jego bagaż rządowych doświadczeń nie będzie zbyt dużym obciążeniem w oczach wyborców opozycji. – Ale przekona wielu wyborców PiS. Zwłaszcza tych, którzy już dziś rozczarowali się Kaczyńskim i Morawieckim, ale dołączyli do grupy niezdecydowanych lub deklarujących absencję wyborczą. Zresztą po sześciu latach w koalicji dobrze znam metody działania Jarosława Kaczyńskiego. I jego lęki – przekonywał.

NIEŁATWE LAWIROWANIE

To Gowinowe lawirowanie, które widać dość wyraźnie w jego ostatnich wywiadach, to także (a może przede wszystkim) sygnał i argument adresowany do liderów PSL i Polski 2050, którym Gowin chce pokazać, że we wspólnej koalicji może stanowić wartość dodaną, a nie jedynie wizerunkowe obciążenie. – W przeciwieństwie do Tuska ja znam i szanuję wyborców PiS. Jeżeli opozycja chce odsunąć Kaczyńskiego od władzy, to przede wszystkim powinna nauczyć się szanować tych właśnie Polaków. Bo nic tak nie napędza poparcia dla PiS jak pogarda okazywana jego wyborcom – ludziom, których sytuacja w ostatnich latach znacznie się poprawiła. Opozycja musi się zastanowić, co jest źródłem poparcia dla obozu władzy. Bo przecież te rządy to nie tylko pasmo porażek – mówił.

Jego zwolennicy do atutów Porozumienia dorzucają jeszcze jeden konkret – struktury. – Nie wiem, czy dzisiaj Szymon Hołownia byłby w stanie zebrać podpisy pod listami wyborczymi. Wiem, że my tak – mówi jeden z nich.

Pragmatyczni ludowcy nie wykluczają, że nawiązanie bliższej współpracy z Gowinem już teraz mogłoby się im opłacić. – Nasze badania pokazują, że sojusz z Gowinem nie daje nam premii w sondażach, ale nie jest tak, że jest całkiem bez sensu. Porozumienie ma kilku posłów, którzy przetrwali, więc są pewni i sprawdzeni, moglibyśmy mieć większy klub, ma działaczy w terenie – wylicza jeden z naszych rozmówców.

Choć Jarosław Gowin ma nie najlepsze karty, to może po raz kolejny spaść na cztery łapy i mieć szansę na mandat w kolejnych wyborach

Wydaje się zatem, że choć Jarosław Gowin ma nie najlepsze karty, to może po raz kolejny spaść na cztery łapy i – jeśli wszystko pójdzie po jego myśli – mieć szansę na mandat w kolejnych wyborach. To polityk, który do perfekcji opanował sztukę wychodzenia z politycznie beznadziejnych sytuacji. Dzisiejszą od poprzednich różni jeszcze jedna istotna okoliczność – choroba. Depresja jest podstępna i może powracać w najmniej oczekiwanych momentach. Sam Gowin uspokaja jednak, że zdaje sobie z tego sprawę i jest na to przygotowany. – Proszę mi wierzyć, jestem dziś bogatszy o lekcję, bolesną lekcję, którą odebrałem od życia. Jeżeli pojawiłyby się jakiekolwiek symptomy nawrotu choroby, to będę wiedział, co robić. Do kogo się udać i jak korzystać z rad mądrych lekarzy – powiedział w pierwszym wywiadzie udzielonym po wyjściu ze szpitala i ogłoszeniu powrotu do czynnej polityki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. ADOBESTOCK

Bogatsi i martwi

Łukasz Zboralski

Nie musimy się bać zniszczenia planety ani nawet wojny. I tak znikniemy. Polacy wymierają. To fiasko programu „500+". Tymczasem rząd znów chce sypać pieniędzmi – tylko teraz już ułudą wyższej emerytury

O tym wiemy już od dawna, ostrzegano publicznie. Dotąd liczby te nie uderzały nas chyba jednak tak mocno jak w najnowszym raporcie Głównego Urzędu Statystycznego. Liczby są bolesne i przerażające: Polacy wymierają. Nasz naród się kurczy. Prawdopodobnie wpadliśmy już w spiralę, z której nie ma powrotu, a pandemia tylko mocno przyspieszyła ten proces odchodzenia.

Nigdy też chyba wcześniej tak wyraźnie nie zobaczyliśmy, że prorodzinne programy rządu nie wytrzymują próby czasu. Okazują się już wyłącznie programami socjalnymi. Pomagają lepiej żyć, ale kompletnie nie mają znaczenia w kontekście dzietności. Z danych demograficznych widać jednak też wyraźnie, że to nie problem słabych pomysłów obecnej władzy. Ujemny przyrost naturalny notujemy od 2013 r. I nikt nic z tym nie próbował wcześniej zrobić. Pytanie też: Czy ktokolwiek i cokolwiek mogłoby ten trend zatrzymać?

NAJMNIEJ DZIECI OD DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

W 2020 r. było nas dokładnie 38 mln 265 tys. To prawie o 118 tys. mniej niż rok wcześniej. Wiemy dlaczego. Pandemia. W tej sprawie mogliśmy oczywiście zrobić więcej. Ale czy dużo więcej? Wirus wtargnął też do nas i przedwcześnie zakończył życie wielu osób. Do tego położył nasz system zdrowotny – i tak słaby – na łopatki, przez co umarło też wielu ludzi na inne choroby.

Problem w tym, że wielkie wymieranie nałożyło się na wielkie nierodzenie trwające od kilku lat. Widać było, że wskaźnik dzietności wzrósł w 2015 r. – i rósł tak aż do 2017 r., gdy odnotowywaliśmy na chwilę dodatni przyrost naturalny. Jednak już w 2018 r. wszystko wróciło do „normy". Od tego czasu notujemy ujemny przyrost naturalny.

Tu warto wspomnieć, że to niewielkie odbicie było efektem wprowadzenia przez rząd PiS programu „500+". I choć początkowo można było uważać, że program wpływa na dzietność, to z perspektywy lat widać dokładnie, że działa do dziś jedynie jako program socjalny. Ludzie nie zaczęli mieć więcej dzieci.

Ostatecznie w 2020 r. w Polsce zarejestrowano 355 tys. urodzeń, a – jak podał GUS pod koniec stycznia – w 2021 r. ta liczba była jeszcze mniejsza i wynosiła 331 tys. To najmniej urodzeń nowych Polaków od końca drugiej wojny światowej.

Skutek dużej umieralności i niskiej liczby narodzin jest taki, że – jak wynika ze spisu powszechnego (GUS na razie podał stan na 31 marca 2021 r.) – w ubiegłym roku było nas znów mniej – 38 mln 179 tys. Dekadę wcześniej Polacy byli grupą większą o ponad 330 tys. osób.

Pandemia zdaje się wygasać, ale wszyscy wiedzą, że przez nią zaciągnęliśmy tzw. dług zdrowotny, co oznacza, że wielu z nas też przedwcześnie zakończy życie. Przy tym z raportu GUS widać, że z przeciętnym trwaniem życia na tle Europy mamy jeden z największych problemów. Należymy do tych europejskich narodów, które żyją najkrócej. Polscy mężczyźni dożywają 71–74 lat i jest to jeden z najniższych wskaźników trwania życia mężczyzn – podobny

eprasa.pl e77d6b1577

mają Litwini, Łotysze, Węgrzy, Rumuni, Serbowie, Bułgarzy. Polskie kobiety żyją trochę dłużej – 81–82 lata. I przepaść między czasem trwania życia kobiet i mężczyzn jest u nas jedną z największych.

Tym, co najbardziej nas powinno interesować, jest liczba kobiet. Wszak – jak słusznie dowodził śp. prof. Jerzy Vetulani – to one dla przetrwania są najistotniejsze. Tymczasem – jak wylicza GUS – w porównaniu ze spisem z 2011 r. w 2021 r. liczba Polek zmniejszyła się bardziej niż mężczyzn. Ubyło ich 187,8 tys., a mężczyzn zniknęło 144,4 tys.

Najistotniejszy jest wskaźnik dzietności. Ten w 2020 r. spadł do wartości 1,38. Na tysiąc kobiet w wieku rozrodczym urodziło się 1378 dzieci. To o połowę za mało, by utrzymać zastępowalność pokoleń – potrzeba by ok. 2 tys. dzieci na 1 tys. kobiet. Wszystko więc wskazuje na to, że podążamy do tak małej liczby narodzin, iż za chwilę żadne działania nie odwrócą już problemu zastępowalności pokoleń.

W STRONĘ KOŃCA

Najważniejszym pytaniem jest to, dlaczego rodzi się u nas tak mało dzieci. Raport GUS wskazuje tu pewne tropy.

Po raz pierwszy mniej dzieci w Polsce urodziło się na wsiach niż w miastach. A to tradycyjnie tam wciąż jeszcze zachowywał się nieco inny model życia, bardziej tradycyjny. Młodzi ludzie – w większości zmuszeni do wewnętrznej imigracji zarobkowej lub mający większe aspiracje – osiadają w dużych ośrodkach. Pracują dużo i dużo wydają, by się utrzymać. Nie mają wokół siebie np. dziadków, którzy mogą pomóc w opiece nad dzieckiem. A odpłatna opieka to np. w Warszawie koszt przekraczający 2,5 tys. zł miesięcznie. Pięćset złotych pomocy publicznej niczego tu nie zmieni.

W dodatku młodzi w miastach chcą się „dorobić", stąd coraz późniejszy wiek zawierania związków małżeńskich i coraz późniejsze macierzyństwo. Dodajmy do tego jeszcze zmianę obyczajowości na tzw. wielkomiejską. To też pośrednio widać w raportach – więcej małżeństw przestaje istnieć, niż powstaje (z powodu dużej liczby rozwodów, ale także śmierci jednego ze współmałżonków w statystycznie rzecz biorąc coraz bardziej starzejących się małżeństwach).

I na to – jak się zdaje – odpowiedzią wcale nie jest dobrobyt, który obecny rząd chciałby wciąż podnosić. Kraje Europy Zachodniej, które pod względem ekonomicznym wciąż gonimy, już to przerobiły. Ludzie z zaspokojonymi potrzebami, z pieniędzmi, wcale nie garną się do trudu wychowania wielu dzieci. Dobrobyt nie oznacza wielodzietności. A może nawet oznacza dokładnie coś odwrotnego?

Tymczasem rząd Zjednoczonej Prawicy w obliczu wymierania narodu stawia na kolejny finansowy program. Politycy rządzącej partii uznają, że niska dzietność wynika… ze sposobu funkcjonowania systemów emerytalnych.

„Wielu naukowców potwierdziło negatywny wpływ systemów emerytalnych na dzietność i postuluje wprowadzenie nowego typu rozwiązań, np. w postaci dodatkowego filaru – komponentu rodzinnego do systemu emerytalnego. W tym systemie istotna część świadczeń byłaby powiązana z liczbą dzieci posiadanych przez emeryta" – napisała niedawno na portalu społecznościowym Barbara Socha, wiceminister rodziny i pełnomocnik rządu ds. demografii.

Według nieoficjalnych informacji system ten miałby działać tak, że na emeryturę rodzica składałyby się obowiązkowo odpisy z dochodów pracujących dzieci. Miałyby oddawać 1 proc. W ten sposób rodzice wielu dzieci mieliby powiększone emerytury, a samotni emeryci – nadal niskie.

O jakich kwotach mowa? Według wyliczeń portalu Wyborcza.biz gdyby chodziło o jedno dziecko zarabiające średnią krajową, to dodatek do emerytury jego rodzica wynosiłby 50 zł. Przy czwórce pracujących dzieci – 200 zł.

Już pomijając to, jak tak kuriozalne złudzenie większych pieniędzy w odległej przyszłości miałoby zmusić do rodzenia dzieci, pozostaje jeszcze najważniejsze pytanie: Kto na ten genialny plan w ogóle zarobi? Już dziś więcej niż co piąty mieszkaniec kraju ma ponad 60 lat! A wyniki spisu GUS pokazują, że nastąpiły już duże zmiany w strukturze wieku pod względem ekonomicznym, udział ludności w wieku poprodukcyjnym zwiększył się z 16,9 proc. do 21,8 proc, czyli o prawie 5 punktów procentowych. W ciągu dekady przybyło ponad 1,8 mln osób w grupie wiekowej 60–65 lat i więcej. Jednocześnie zmniejszył się odsetek ludności w wieku przedprodukcyjnym – z 18,7 proc. do 18,2 proc. w 2021 r., a także osób w wieku produkcyjnym – z 64,4 proc. do 60 proc.

Mamy do wyboru więc dwa rozwiązania: albo stworzymy system, który zmieni nastawienie Polaków do zakładania rodzin i posiadania dzieci, albo będziemy musieli zacząć przyjmować więcej imigrantów i zadbać o to, by zaakceptowali nasze wartości. Problem w tym, że z żadnym z tych dwóch zadań nikt sobie w Europie do tej pory nie poradził.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ruch naturalny i migracje ludności Polski w latach 1980–2020 (w tys.)

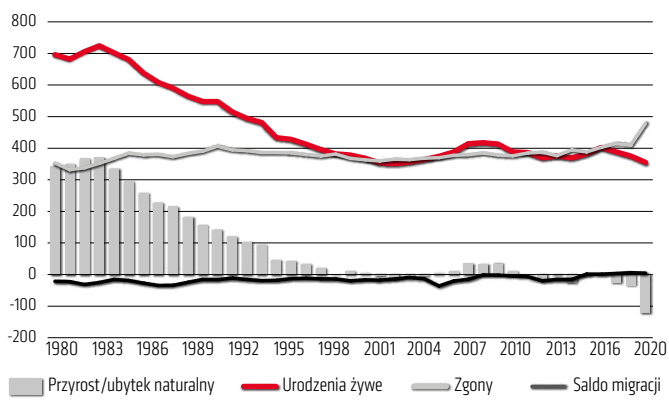

Ludność Polski według ekonomicznych grup wieku w wybranych latach (w proc.)

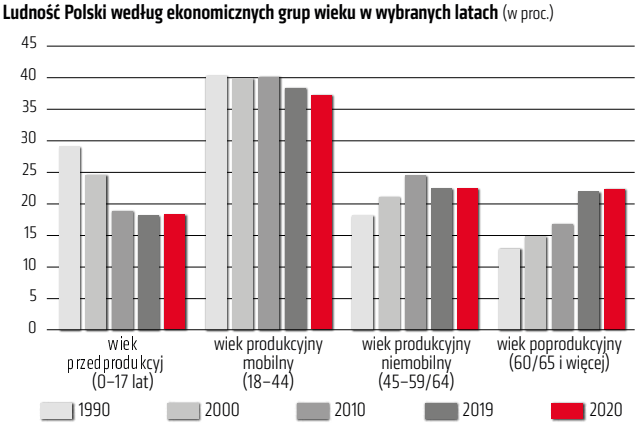

ŹRÓDŁO: GUS, RYS. PEGAZ

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. ADOBE STOCK

Obumieranie Kościoła w Polsce

Tomasz Rowiński

Po jesiennych, bardzo niedobrych danych o efektach naboru do seminariów duchownych otrzymaliśmy raport dotyczący stanu osobowego w życiu konsekrowanym. Czy możemy powiedzieć, że lata 2021 i 2022 będą tego rodzaju tąpnięciem wewnątrz polskiego katolicyzmu co rok 1965 we Francji? Jeśli tak, to reakcją Kościoła nie powinna być aktywistyczna desperacja, ale przemyślane decyzje, jakie środki zaradcze powinny zostać podjęte

Zacznijmy od seminarzystów. W bieżącym roku akademickim formację rozpoczęło 356 kandydatów do kapłaństwa, w roku ubiegłym było ich 441, co w praktyce oznacza aż 20-procentowy spadek. Jeśli zaś spojrzeć na sprawy w dłuższej perspektywie, to przypomnijmy, że w roku 2012 na studia do wyższych seminariów duchownych w diecezjach i zakonach zgłosiło się 828 mężczyzn. Przy czym we wcześniejszej dekadzie te liczby były jeszcze bardziej imponujące. W ostatnich latach pojawiło się także zjawisko pustych roczników. W roku akademickim 2020/2021 było jedno seminarium – Świdnica – do którego nie zgłosił się żaden kandydat, ale w roku obecnym są już cztery takie seminaria. To Bydgoszcz, Drohiczyn, Elbląg i Łowicz.

Choć specyfika powołań zakonnych jest nieco inna, to trzeba zwrócić uwagę, że nikt nie zgłosił się aż do 19 seminariów zgromadzeń kleryckich. Wszystkich kandydatów do kapłaństwa w Kościele katolickim w Polsce, którzy zaczęli formację w seminariach zgromadzeń zakonnych, było 114, podczas gdy tych w diecezjach 242. Warto dodać, że pięciu kandydatów zgłosiło się do łódzkiego seminarium dla dojrzałych kandydatów (35+).

MNIEJ POWOŁAŃ ZAKONNYCH

W ostatnich dniach Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała nowy raport, tym razem dotyczący życia konsekrowanego w Polsce. Przybliżmy najważniejsze zawarte w nim dane. W Polsce żyje nieco ponad 30 tys. osób konsekrowanych, z czego 16 307 z nich to siostry zakonne w zgromadzeniach czynnych, mniszek jest zaledwie 1025, co i tak stanowi znaczną liczbę w stosunku do mnichów, którzy w ogóle nie zostali uwzględnieni w raporcie. Niemal całkowity brak w Polsce ścisłego męskiego życia mniszego, które wciąż jest ważnym elementem katolickiej kultury nawet w tak zlaicyzowanych krajach jak Francja, trzeba uznać za problem. Doświadczenia innych państw pokazują,

eprasa.pl e77d6b1577

że zachowujące stabilną duchowość opactwa benedyktyńskie są rzeczywistymi ośrodkami życia katolickiego, ważnym punktem orientacyjnym w morzu niechętnego chrześcijaństwu świata.

Członków zakonów męskich jest w Polsce ok. 11 tys. Do instytutów świeckich należą 1024 osoby, a na drodze indywidualnej konsekracji znajduje się 748 osób. Trzeba wspomnieć, że raport jest bardzo szczegółowy i podaje wiele parametrów, a zatem czytelników chcących wejść w temat głębiej odsyłam do strony KAI. Raport mówi także o ogólnym spadkowym trendzie. Coraz mniej osób żyje w zgromadzeniach zakonnych – czy to apostolskich, czy mniszych. Równocześnie, co ciekawe, na stabilnym poziomie utrzymują się stany instytutów świeckich, a wzrasta liczba konsekracji indywidualnych. Wspomniane spadki nie są spektakularne, ale pokazują trwający konsekwentnie brak zastępowalności kolejnych zakonnych pokoleń.

Zacytujmy raport opublikowany w zeszłym roku, który wiele mówił o problemach, jakie trapią zgromadzenia zakonne. Choć przywołany fragment dotyczy zgromadzeń żeńskich, to jest on także adekwatny w odniesieniu do mężczyzn. „Problemem są nowe powołania. Jak podkreśla matka Jolanta Olech, sekretarka generalna Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych, po boomie powołaniowym z końca lat 70. XX w. w zasadzie obserwuje się spadek, przy czym od ok. 15 lat spadek ten nosi już znamiona kryzysu. Dla przykładu: w 2000 r. do zakonów zgłosiło się 566 postulantek, w 2009 r. – 251, w 2017 r. – 177. Niekorzystną dynamikę pokazuje też inna statystyka. Jeszcze w 2000 r. na 428 zmarłych sióstr przypadało 541 rozpoczynających nowicjat. Już od 2007 r. liczba zmarłych znacznie przekracza jednak liczbę nowicjuszek. W 2016 r. zmarło 319 sióstr, a w nowicjacie znalazło się jedynie 121. Do tego doliczyć należy jeszcze odejścia. Patrząc na statystyki z ostatnich lat, przyjąć należy, że każdego roku, na różnych etapach formacji, odchodzi od ok. 130 do 240 zakonnic".

SZKODLIWE DUSZPASTERSTWO FAJNOŚCI

Co możemy powiedzieć o powodach takiej sytuacji? Przywołany dwukrotnie Kościół we Francji swój rok kryzysowy przeżył w zupełnie innych okolicznościach historycznych i społecznych. W dodatku według socjologa Guillaume'a Cucheta, autora książki pt. „Jak nasz świat przestał być chrześcijański" („Comment notre monde a cesse d'etre chretien", Seuil 2020), jedną z przyczyn tego tąpnięcia był przesadny aktywizm wielu francuskich księży. Po niezbyt istotnym niekorzystnym wahnięciu statystyk w latach 40. szczególnie w młodym pokoleniu kapłańskim pojawiło się maksymalistyczne przekonanie o konieczności przeprowadzenia całkowitej reformy Kościoła w duchu wielkiej misyjności. Do tych powojennych badań zgłoszono zresztą po czasie ważne zastrzeżenia metodologiczne, jednak nie odwróciło to mentalnego trendu wywołanego osiągniętym wrażeniem. Przekonanie o potrzebie zmiany wszystkiego osiągnęło – jak pisze Cuchet – apogeum w czasach Soboru Watykańskiego II i poskutkowało kryzysem, który faktycznie złamał Kościół we Francji.

Czy w Polsce możemy znaleźć jakieś analogie do tej zupełnie innej historii kraju o jednak równie mocno katolickiej historii co nasz? Pewne elementy aktywizmu, który tworzy wokół Kościoła atmosferę niepowagi, da się oczywiście rozpoznać. Była nim choćby niezamierzona parodia mszy świętej dokonana przez abp. Grzegorza Rysia w Łodzi podczas koncertu ewangelizacyjnego jesienią 2021 r. W tej sprawie interweniował nawet bp Piotr Greger, przewodniczący Komisji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów Konferencji Episkopatu Polski. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma to znaczenia. Jednak zaprzeczają temu nawet całkiem subiektywne obserwacje dotyczące postaw katolików w życiu publicznym. Osoby uformowane, np. w czasie edukacji licealnej czy akademickiej, w duchu „duszpasterstwa fajności" w dorosłym życiu z większym trudem odnajdują się w katolickiej tożsamości. Ich religijne doświadczenie zostało powiązane bardziej z atmosferą wspólnoty w tych duszpasterstwach niż z przywiązaniem do nauczania Kościoła i koniecznością ćwiczenia swojej woli oraz rozumu dla zachowania integralnej postawy. Mówiąc gorzko – nie spotyka się raczej tradycjonalistów popierających marsze z piorunkami, a absolwentów modnych duszpasterstw akademickich znanych zakonów już owszem.

Jako element wpływający na spadki powołań, a także partycypacji w liturgii trzeba podać również globalną dezorientację w sprawie tego, czego Kościół rzeczywiście naucza. Tu swoje zasługi ma papież Franciszek. Pomimo entuzjazmu, który towarzyszył pierwszym latom pontyfikatu, żaden powołaniowy „efekt Franciszka" się nie pojawił. Kościół oczywiście ponosi też konsekwencje swojej niechęci do rozwiązywania własnych gorszących problemów. W przypadku naszego kraju przez lata dominowała bierność, zatem polskim kłopotem w skali masowej nie stanie się raczej aktywizm. Kiedy jednak połączymy obecny w Kościele brak powagi w traktowaniu wiary – zarówno w sprawie nauczania, jak i liturgii – z często zawinionym brakiem autorytetu biskupów, okazuje się, że także wierni tracą wszystkie punkty odniesienia, a w konsekwencji chęć zaangażowania. Można zapytać dlaczego, pomimo ewidentnej słabości duchowej ludzi dzierżących władzę w Kościele, w ostatnich kilkunastu latach najintensywniej rozwijały się środowiska związane z liturgią trydencką. Odpowiedź jest prosta, ponieważ liturgia ta pokazuje, że sprawa Kościoła, jego wiara i nauczanie przekraczają horyzont ludzkiej słabości oglądanej codziennie w mediach.

ANTYLUDZKA KULTURA

Na koniec trzeba napisać o nieoczywistym aspekcie bezdyskusyjnej kwestii. Polska się laicyzuje, ponieważ jest częścią globalnej, często antyreligijnej i antyludzkiej kultury. Liberałowie często lubią powtarzać, że Kościół jest niedostosowany, przeciw ludziom, nie ma dla nich oferty etc. i dlatego słabnie. Jest w tym element prawdy – Kościół słabnie, ponieważ pomimo własnych wewnętrznych problemów jest wciąż znakiem sprzeciwu wobec cywilizacji śmierci, znakiem przeciwko grzechowi i wreszcie znakiem Bożej obecności w świecie. Także dlatego, po ludzku, zyskuje wrogów.

Czy zatem lata 2021 i 2022 staną się datą historyczną w statystyce Kościoła? Być może. A może po zakończeniu restrykcji pandemicznych sytuacja się ustabilizuje lub lekko się odbije? Sądzę, że nie ma sensu budować na tym wielkich nadziei. Jak zawsze jednak sporo, w przypadku losów konkretnych ludzi szukających powołania, zależy od tego, czy Kościół – konsekrowani i świeccy – będzie dbał o istnienie środowisk, w których wiara pozostaje żywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Z Barbarą Pielą, artystką, autorką serii „Plastusie"
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ciężkie czasy rodzą silnych ludzi

RYSZARD GROMADZKI: Covidowa rzeczywistość, z którą mamy do czynienia od dwóch lat, panią przygnębia, irytuje, a może inspiruje?

BARBARA PIELA: Nastały być może najdziwniejsze i najgłupsze czasy w historii ludzkości. Taka karykatura normalnego życia. Nie potrzeba dodatkowo krzywego zwierciadła, wystarczy przenieść w świat plastusiów to, co dzieje się naprawdę. A dzieje się tyle, że nie nadążam z „przenoszeniem" wszystkiego. Inspiracji jest mnóstwo. Dodatkowo codziennie dostaję różne „zlecenia" od internautów, ostatnio na przykład takie dotyczące jednego z największych autorytetów medialnych w białym kitlu, dr. Fiałka. Oczywiście sytuacja stała się też trudna, niemal tragiczna, i jej obraz jest bardzo wewnętrznie przygnębiający. Wyśmiewanie skrajnie szkodliwych absurdów jest jednak dobrą metodą walki z nimi.

Skąd pomysł na kalendarz „Pandemiaki 2022"?

Chciałam jakoś upamiętnić te najdziwniejsze czasy w historii. W formie, o którą prosili plastusiowi fani. Żebyśmy kiedyś mogli otworzyć taki stary kalendarz, przypomnieć sobie, do czego dochodzi, kiedy decydują niemyślący, a myślący w większości milczą.

Dlaczego tak wielu ludzi uległo psychozie strachu przyniesionej przez koronakryzys, podporządkowując się ślepo nakazom, których skutki dla zdrowia publicznego, życia społecznego czy gospodarki już są dramatyczne?

Źródeł psychozy strachu należy szukać w przemianach, które zaszły przed pandemią. Głównie w słabości moralno-intelektualnej ludzi i ich podatności na manipulację. Dostatnie, spokojne czasy zrodziły słabych ludzi, którzy odeszli od prawdziwych wartości. Najwyższymi wartościami stały się dobra materialne, uciechy ziemskie, będące czymś jedynym i ostatecznym, oraz zdrowie pozwalające korzystać z uciech życia, po którym nic już dalej nie ma. Życie ma być łatwe i przyjemne. Dziecko dostanie do ręki gotową zabawkę, youtuberka powie, jaka muzyka ma się podobać, celebryta – gdzie trzeba spędzić wakacje, a media powiedzą, co myśleć, wybawiając od konieczności wyjątkowo uciążliwej, a dla większości niewykonalnej, samodzielnej analizy. Wszystkie grzechy zostaną odpuszczone po wrzuceniu raz do roku 5 zł do puszki. Zdrowie jest najważniejsze. Jeśli może zawieść, to wystarczy po prostu wziąć tabletkę lub zastrzyk, które przepisze człowiek w białym kitlu, największy obecnie autorytet, pan życia i śmierci.

I nagle przychodzi pandemia, i okazuje się, że życie, a więc wszystko, może się nieoczekiwanie przedwcześnie skończyć. Co zrobić, żeby się nie skończyło? Wystarczy po prostu posłuchać największych autorytetów przemawiających w mediach, wcześniej uznanych za źródło najprawdziwszych informacji i analiz. Gotowe narzędzie manipulacji do sterowania słabymi ludźmi. Wiemy, co było dalej. Słabi ludzie stworzyli ciężkie czasy.

Co się stało z polskim „genem wolności", bez którego nie byłoby Solidarności, powstań? Obserwując od kilkunastu miesięcy ten powszechny strach i bezkrytyczny konformizm na ulicach, można odnieść wrażenie, że jesteśmy innym narodem.

Zmienił się nasz polski świat. W znacznej części staliśmy się wygodnym społeczeństwem „na tabletkę", najwyraźniej nieodbiegającym od zmaterializowanego zachodniego wygodnego społeczeństwa. Dochodzi jeszcze,

eprasa.pl e77d6b1577

Justin Trudeau z dodatnim wynikiem testu na CYKOR-19 (wirus powodujący objawy paniki u polityków) FOT. BARBARA PIELA(X3)

wyniesiona z czasów PRL, zdolność do adaptacji i omijania nonsensownych przeszkód, chodzenia krętymi drogami na skróty. Dopóki można, dopóty będziemy siedzieć w domu, na ulice wyjdziemy, kiedy zabraknie na chleb.

Może też zmieniający się świat wpłynął na zmianę metod walki – widzę, jak dużą rolę odgrywa uświadamianie społeczeństwa, co wpływa na presję społeczną, a więc i działania władzy. Na tym polu pewna część społeczeństwa jest bardzo aktywna. Nie można tego nie doceniać.

Zadaję sobie pytanie, co się stało z ludźmi, którzy w czasach Solidarności dzielnie walczyli o wolność, a dzisiaj stanęli po drugiej stronie barykady. Przystosowali się do nowego świata, przejmując nowe wartości czy ich walka o wolność nie była szczera? A może niektórzy ciągle właściwie nie rozpoznali sytuacji? Pan zna lepiej tych ludzi, a więc i lepiej udzieli odpowiedzi na to pytanie.

Wielu ludzi w Polsce uważa, że klasa polityczna w zdecydowanej większości skompromitowała się podczas koronakryzysu. Polska, jak większość innych państw, ma „swoich Trudeau", którzy konsekwentnie pchają nas w stronę sanitarystycznej tyranii. Czy to doświadczenie może być przełomem, który wykreuje nowe siły, nowych liderów, dostrzeże zagrożenia dla wolności, które przynosi realizowany w związku z pandemią koronawirusa „wielki globalny reset"?

Ludzie, również politycy, weryfikują się w sytuacjach kryzysowych. To, że opozycja pcha nas w stronę sanitarystycznej tyranii, nie dziwi. Dla nich generalnie im gorzej, tym lepiej. Dziwi zachowanie władzy i partii rządzącej. Mamy w niej większość sanitarystów, wystarczy spojrzeć na listy poparcia i głosowania (szczęśliwie) wyrzuconych do kosza ustaw segregacyjnych. Pytanie: Z jakich pobudek władza pcha nas w tym kierunku, zamiast definitywnie zakończyć pandemię? Ciągle brak właściwego rozpoznania sytuacji albo – co gorsza – widać uleganie lobbystom, instrukcje z zewnątrz, brnięcie z powodu braku odwagi przyznania się do błędów w obliczu ciężaru ich skutków, a może chęć uzależnienia od siebie społeczeństwa.

Ciężkie czasy rodzą silnych ludzi – czekamy na wyłonienie się nowej siły i mądrego przywódcy. Na razie odsiewamy ziarno od plew.

Obserwując wydarzenia w Kanadzie, zainicjowane przez Freedom Convoy, widzimy wielkie przebudzenie do wolności. Od ludzi protestujących przed parlamentem w Ottawie biła ogromna pozytywna energia, którą miliony Kanadyjczyków poczuły po zrzuceniu covidowego jarzma. „Iskra z Kanady" rozpali płomień wolności na świecie?

Mam nadzieję. Patrząc na to, co się dzieje w Kandzie od lat, można by stwierdzić, że tam ciężkie czasy nadeszły już wcześniej. Dla społeczeństwa rządzonego od prawie siedmiu lat przez przeciwnika wolności niosącego sztandar z napisem „Tolerancja", umęczonego absurdami poprawności politycznej i podporzadkowaniem jej życia, absurdy pandemiczne stały się ostatnią kroplą goryczy. Odpowiedziała grupa społeczna dysponująca narzędziem umożliwiającym zakończenie całej tej pandemicznej hucpy. Przy ogromnym wsparciu większości społeczeństwa, które wcześniej uznawane było za mało odważne, co jest niezwykle budujące. U siebie, jak widać, ogień rozpalili. To, czy rozpalą ogień wolności na świecie, będzie na pewno zależało od tego, czy jarzmo covidowe uda im się faktycznie zrzucić.

Tymczasem Europa oswojona i nieco już znudzona, a więc mniej przestraszona słabnącym zresztą wirusem, sama zaczyna wychodzić z pandemii. Wielka Brytania, Dania, Finlandia, Norwegia, Szwajcaria – lista z tygodnia na tydzień się wydłuża. Tak jak i na początku pandemii, tak i teraz kopiowane są zachowania sąsiadów, na zasadzie „oni już wyszli, to może i my wyjdziemy". Pytanie, czy na chwilę – taki jeden krok w tył, a potem dwa kroki w przód – czy na dłużej. Nie wierzę w żadne trwałe zażegnanie kryzysu, bo jego źródłem jest słabość ludzi i łatwość, z jaką za pomocą mediów steruje się słabym społeczeństwem. To się nie zmieniło i z pewnością nadal będzie wykorzystywane. Może nowy wirus, a może katastrofa klimatyczna. Miejmy się na baczności, uświadamiajmy dorosłych, dobrze uczmy i wychowujmy dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Jedno wesele polsko-żydowskie i cztery pogrzeby

Remigiusz Włast-Matuszak

Mamy w Polsce pełnoobjawową postkinematografię, prawie niczym już się nieróżniącą od demoliberalnej kinematografii Francji, Włoch czy Niemiec

Weselopogrzeb Wojciecha Smarzowskiego (2 godz. 10 min) to najdłuższy, najbrutalniejszy śmieciowy teledysk, jaki powstał w historii kina. Autor „Drogówki" i „Kleru" tym razem nie udźwignął wielu godzin zrealizowanego materiału filmowego i nie chcąc zrezygnować z żadnego z kilkunastu wątków fabuły, poszatkował je, a powstałą sieczkę upchnął kolanem w odjeżdżającym wagonie metra. Przeciętny widz „Wesela" (2), osaczony i przygnieciony lawiną postaci, wątków, epizodów, efektów i wrzutek, już po 20–30 minutach poddaje się i patrzy na ekran bez zrozumienia, jak na przepływające ujęcia muzycznego kanału TV (z seansu w Złotych Tarasach, na ok. 30 osób na sali, dwie wyszły właśnie po tych 20–30 minutach).

FEERIA WYMIOCIN

„Wesele" (2) to autoremake „Wesela" z 2004 r. Nawet jadowita kpina z „Roty" Marii Konopnickiej jest jednym z najważniejszych punktów akcji. W „Weselu" pijana tłuszcza ryczy „Rotę", targując się o pieniądze z prawniczego przekrętu. W „Weselu" (2) 10-letnia żydowska dziewczynka w apogeum weselnego rejwachu gra na skrzypcach „Rotę", a potem dźwięki „Roty" kończą film jako ilustracja widoku przedwojennego sztetlu po pogromie. Są też podkładem pod długie napisy końcowe. Jako poznaniak jestem osobiście dotknięty profanacją „Roty". Niech Smarzowski spróbuje w Izraelu czy Nowym Jorku zakpić z „Hava Nagila", to mu w hotelu adwokat z komornikiem zajmą walizki i zegarek na poczet przyszłych odszkodowań.

W natłoku wątków „Wesela" (2) mamy wszystko, co w dziedzinie czarnego PR wymyśliliby profesjonalny Dom Mediowy czy spece z FSB, GRU, BND i Mosadu. Fabuła jest jak puzzle – mamy staruszka weterana z AK w mundurze i z biało-czerwoną opaską i jak nam to przedstawia Smarzowski, ten ojciec weteran (a przy okazji cały etos i idea AK) zesr... się w mundurowe spodnie.

eprasa.pl e77d6b1577

„Wesele" (2) Wojciecha Smarzowskiego to najdłuższy, najbrutalniejszy śmieciowy teledysk, jaki powstał w historii kina FOT. MARCIN SZPAK

Mamy podarte plakaty poświęcone żołnierzom wyklętym wiszące na jakimś przystanku – miejscu przestępstwa. Mamy oczywiście księdza proboszcza ksenofoba, handlarza, który do wyłudzonego porsche zabiera swojego chłopka. Pan młody zdradza pannę młodą, córkę miejscowego bezwzględnego biznesmena, i zostaje na tym publicznie nakryty. Biznesmen stręczy Niemcom swoją pracownicę, a niepłaceni pracownicy Ukraińcy piszą słowo „wor" na niszczonym samochodzie, prezencie ślubnym. W odwecie polska dzicz – ochroniarze biznesmena – palą barak, nie wiadomo, czy z Ukraińcami w środku. Jeszcze tylko nieocenzurowana zoofilia – wielki knur gwałci ochroniarza – faszystę-szantażystę, na metalowym stole do uboju (publiczne rozpowszechnianie pornografii jest złamaniem Kodeksu karnego).

Ukoronowaniem tej feerii wymiocin są wątek i odkrycie najgorszego faktu, jaki w przekazie Smarzowskiego może spotkać Polaka – udokumentowane okazanie się, że biznesmen antysemita jest biologicznym Żydem! Jest synem stalinowskiej prokurator Żydówki – emigrantki z 1968 r. – dzieckiem zostawionym w zakonnym sierocińcu i adoptowanym przez ojca AK-owca.

Oczywiście stały motyw akcji filmu to przeplatający się wątek współczesnego wesela i obrazy wspomnień z przedwojennego sztetlu – z jakiegoś Radziłowa czy Jedwabnego. Najpierw sielanka wielkiej miłości młodego bohatera – późniejszego ojca i AK-owca – do pięknej Żydówki, potem polski antysemityzm niszczący ich miłość (prawie 100 lat temu w całej Europie i USA antysemityzm był powszechny, a w Niemczech i we Francji (!) był polityką państwową).

Wątek okupacji „za pierwszego Sowieta" i okupacji niemieckiej Smarzowski przedstawił dość umiarkowanie. Sowieci nie mordują, lecz zsyłają wrogów nowego ustroju, a Niemcy słuchają Wagnera. Natomiast polska dzicz fizycznie i ręcznie morduje żydowskie kobiety i dzieci. Pali Żydów w stodole. Potem na filmowych zbliżeniach oglądamy spalone trupy kobiet ściskające spalone dzieci. Oglądamy majstersztyk czarnej antypolskiej propagandy. Nawet goebbelsowski szlagier „Żyd Süss" Veita Harlana z 1940 r. nie dociskał deski brutalnej propagandy tak mocno. Film Harlana jest do tej pory obłożony sekwestrem i publiczne projekcje są prawnie ścigane, by nie wzniecać antysemickich wystąpień. Pamiętajmy, że „Żyd Süss" obejrzało w kinach III Rzeszy ponad 20 mln widzów plus 1 mln we Francji Vichy (dubbing francuski). Było to moralne (udane) przygotowanie do Holokaustu – ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. W jakim celu i z czyjej inspiracji Smarzowski zrealizował swój film?

„Wesele" (2) zobaczyło 439 tys. (media totalnej opozycji natrętnie lansowały informację, że film lada chwila będzie „zdjęty z ekranów" i zakazany przez „władzę"). Młoda widownia, pozbawiona przez politykę oświatową III RP wiedzy i świadomości historycznej, przyjęła film jako przedstawienie faktów historycznych. Profesor Jan Grabowski zaciera ręce – będzie mógł się w przyszłych pracach „historycznych" powołać na film Smarzowskiego – „dokumentujący" zamordowanie 200 tys. Żydów przez Polaków. Recenzje młodych żurnalistów z niemieckiego Onetu i zbliżonej prasy były entuzjastyczne. Tak, nareszcie pokazano, że te 6 tys. drzewek w Yad Vashem i medali Sprawiedliwych wśród Narodów Świata to polskie fałszerstwo i perfidne wyłudzenie. Te drzewka i medale dla Polaków „nie mają żadnego znaczenia". Właśnie taka narracja już się rozpoczyna w Izraelu i Nowym Jorku, gdzie przebogate światowe organizacje żydowskie kierowane przeważnie przez nienawistnych Polsce Litwaków (potomków Żydów z cesarstwa rosyjskiego – do dzisiaj myślących według carskich, antypolskich schematów) tylko czekały na taki film i taki argument. Smarzowski zafundował pogrzeb staraniom wszystkich ludzi dobrej woli pracujących na rzecz poprawy stosunków polsko-żydowskich.

CZKAWKA

Z głośnych w ostatnich latach (przynajmniej w mediach) filmowych pogrzebów wspomnijmy, odbijający się czkawką, pierwszy – z 2019 r., dotyczący dzieła pt. „Solid Gold" Jacka Bromskiego (prezesa SFP od 25 lat). Mając w ręku wprost niebywałą historię, którą napisało samo życie – story młodego aferzysty finansowego łagodnie traktowanego przez sądy (pikantny gdański wątek LGBT – jeden z wyroków odbywał w domu wypoczynkowym dla oficerów Służby Więziennictwa jako barman), Marcin S. przyjął nazwisko żony – przykrywki – Katarzyny P., by zatrzeć ślady przeszłości. Jako słup Stasi założył linie lotnicze, które o mało nie doprowadziły do bankructwa LOT-u. Wytransferował ok. 200 mln zł za granicę (nie odnaleziono ich), finansował produkcję filmu Andrzeja Wajdy „Wałęsa. Człowiek z nadziei" – w 2013 r. – oraz dał na przechowanie młodemu dominikaninowi o. Jackowi 12 kg (?) złota w sztabkach, który to zakonnik wystąpił z zakonu i zniknął ze złotem.

I co nam na ekranie zaprezentował Jacek Bromski? Przeróbkę z „Zabij mnie, glino" z 1987 r., która była niezmierzonym pastiszem wszystkich głośnych amerykańskich i francuskich filmów gangsterskich. „Solid Gold" to schemat oparty na schematach. W dodatku przed premierą z filmu usunięto sceny z lotniska w Gdańsku i inne „śmiałe polityczne akcenty". Aktorzy i reżyser protestowali, by ich dzieło nie miało wpływu na wybory, by film nie zaszkodził PO. Premierę przesunięto, a wynik finalny to 22 tys. widzów! Przy

eprasa.pl e77d6b1577

Film „Solid Gold" to schemat oparty na schematach. Jacek Bromski zmarnował temat afery Amber Gold FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kosztach przekraczających 10 mln zł (film był rozpowszechniany przed pandemią). Jacek Bromski zmarnował temat afery Amber Gold. Aktualnie wraca do sprawdzonych pomysłów – będzie realizował kolejny odcinek wiejskiej sielanki: „U Pana Boga w garażu".

PRETENSJONALNE NUDZIARSTWO

Dwa następne pogrzeby odbyły się w Wenecji – taka „Śmierć w Wenecji" bez udziału prof. Achenbacha i Tadzia, ale za to z rekomendacją i wsparciem finansowym PISF. Pierwszy film to dramat społeczny (z akcentem na słowo „dramat") „brygadzistki" Małgośki Szumowskiej pt. „Śniegu już nigdy nie będzie" – 2020 r. Reżyserka kolejny raz nudzi w swoim „społeczno"-liberalno-lewicowym stylu. Po „Twarzy" i „Ciele" mamy „Śniegu już nigdy nie będzie" (niestety, znowu pada), czyli kolejne pretensjonalne nudziarstwo o ukraińskim masażyście-uzdrowicielu – Żeni z Czarnobyla. Film Szumowskiej ma niebywałe zadęcie, pretensję do europeizacji polskiego społeczeństwa, tej katolickiej, prymitywnej szumowiny. Z kogo wyśmiewa się Szumowska? Z siebie samej i ze swojego środowiska.

„Niezależna" Komisja Oscarowa w PISF wybrała ten film, by reprezentował Polskę na Festiwalu w Wenecji oraz kandydował do amerykańskiego Oscara. W Wenecji film przeszedł bez echa, a do Oscara się nawet nie zbliżył. Frekwencja w polskich kinach to żenujące 22 672 widzów.

Drugi wenecki pogrzeb opisałem już wcześniej dokładnie na łamach „Do Rzeczy". Nawet organizatorzy MFF w Wenecji stwierdzili, że film jest bardzo długi (2 godz. 45 min). Obraz Jana Pawła Matuszyńskiego pt. „Żeby nie było śladów" jest ekranową wersją reportażu nagrodzonego Nike przez „GW", a opowiadającego o okolicznościach śmierci licealisty Grzegorza Przemyka i tuszowaniu tej zbrodni przez MSW i PZPR. Opowieść,

Film „Śniegu już nigdy nie będzie" to kolejne pretensjonalne nudziarstwo – o ukraińskim masażyście-uzdrowicielu, Żeni z Czarnobyla

jako rozgadana, nie została w Wenecji zauważona. A przecież już w 2017 r. był gotowy świetny scenariusz o Barbarze Sadowskiej i śmierci jej syna. W filmie J.P. Matuszyńskiego Grzegorz ginie już w 10. minucie. W scenariuszu nagrodzonym w Otwartym Konkursie Scenariuszowym MKiDN bohaterką była matka, której zamordowano syna, i śmierć Grzegorza Przemyka następowała w drugiej połowie filmu. Widz współczuł matce, wiązał się emocjonalnie z bohaterami. W filmie Matuszyńskiego bohaterami są władza i gen. Kiszczak. Fatalnie się stało, że do realizacji skierowano reportaż kryminalny, a nie przejmujący dramat psychologiczny (nie ujawniam nazwiska autora drugiego scenariusza, bo zdeptano by go zawodowo i ekonomicznie). Na polskich ekranach, przy nachalnej i kosztownej reklamie, film miał zaledwie 128 190 widzów, a w Wenecji nie zdobył żadnych nagród. Post factum poproszono kilku (trzech?) lewicowych krytyków filmowych, by przyznali mu cokolwiek. I tak też się stało, na tarasie weneckiej kawiarni (są zdjęcia w Internecie) wręczono Matuszyńskiemu dyplom uznania (gotowiec ze sklepu papierniczego). Niestety, nie można poznać nazwisk krytyków ani nazw redakcji, które reprezentowali.

Komisja Oscarowa PISF zgłosiła film do Oscara. Niedawno reżyser i dyrekcja PISF pospieszyli do Hollywood w celach promocji dzieła. Cuda się nie zdarzają – Oscara nie będzie. Prowadzącymi oba weneckie pogrzeby byli członkowie Komisji Oscarowej Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej z producentką filmową Ewą Puszczyńską na czele.

ARGUMENT WYTRĄCONY Z RĄK

Przygotowania do premiery i jednocześnie „pogrzebu" filmu pt. „Śmierć Zygielbojma" trwały cztery i pół roku (!). Bez osobistego zaangażowania ministra Piotra Glińskiego i pracowników WFDiF film o Zygielbojmie by nie powstał. W listopadzie ubiegłego roku, w trakcie uroczystej premiery w Teatrze Narodowym, reżyser Ryszard Brylski w paroksyzmie nienawiści i pogardy wobec wszystkich, z którymi „środowisku filmowemu nie jest po drodze", odczytał z kartki przygotowane polityczne wystąpienie. Ze sceny Narodowego, przy kamerach TVP i „ustawionych" opozycyjnych mediach, wyrzygał się na widownię, obecnego na niej wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego, na mnie, na aktorów, sobie na buty, a przede wszystkim na heroiczną postać polskiego polityka w londyńskim rządzie emigracyjnym – Szmula Zygielbojma. Na uświęconą ofiarę życia złożoną przez Zygielbojma w Londynie 11 maja 1943 r., w dniach upadku powstania w getcie warszawskim. Ofiarę dokonaną w imię przebudzenia sumień polityków państw zachodnich, na dramatycznie samotną demonstrację człowieka przeciw milczeniu aliantów wobec zagłady wszystkich Żydów w Europie.

Reżyser Brylski wytrącił nam z rąk ważny, dobry, mocny i od dawna oczekiwany argument, mówiący wprost o haniebnym milczeniu Wielkiej Brytanii i USA wobec eksterminacji 3,1 mln obywateli polskich wyznania mojżeszowego, zagłady, która odbyła się na terenie okupowanej przez Niemców Rzeczypospolitej.

Przygotowane wcześniej polityczne wystąpienie reżysera Ryszarda Brylskiego (dołączył do filmu w 2018 r.), a zainspirowane przez zawodowego polakożercę prof. Jana Grabowskiego, emitowane na antenie ogólnopolskiej radiostacji TOK FM (własność Agory), praktycznie zdyskredytowało historyczny i czysto ludzki przekaz filmu. Mamy pierwszy taki przypadek, gdy bojący się naruszenia poprawności politycznej twórca ze strachu niszczy swoje dzieło, zrealizowane w dodatku za społeczne pieniądze. Film miał ok. 6 tys. widzów i zszedł z ekranów.

Mamy więc razem pięć filmowych pogrzebów. I wystarczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Bank Pekao finansuje budowę Centrum Rozwoju i Produkcji Leków Onkologicznych Polfy Tarchomin

Bank Pekao S.A. podpisał w środę z polskim producentem leków Polfą Tarchomin umowę na ośmioletni kredyt w wysokości 120 mln zł. Środki z kredytu posłużą współfinansowaniu budowy Centrum Rozwoju i Produkcji Leków Onkologicznych

W ramach inwestycji powstanie nowy budynek o powierzchni użytkowej ok. 12 tys. m2, wymiarach zewnętrznych 69 na 52 metry. W budynku będzie pracować do 150 osób (w obszarze produkcyjnym, laboratoryjnym oraz biurowym). TZF Polfa S.A. (Polfa Tarchomin) zakontraktowała już wydatki na kwotę niemal 200 mln zł. Zrealizowano już prace za ponad 80 mln zł. Równolegle zespół badań i rozwoju TZF pracuje nad rozwojem ośmiu produktów, które mają być w tym miejscu wytwarzane.

– Bardzo się cieszę, że Bank Pekao może brać udział w finansowaniu tak ciekawego przedsięwzięcia. Szczególną satysfakcję mam z powodu tego, że wspieramy rodzimy, nowoczesny przemysł farmaceutyczny, i mam nadzieję, że projekt Polfy Tarchomin udowodni, że najlepsze leki i terapie mogą być tworzone także w Polsce, wydatnie poprawiając dostępność leczenia dla najbardziej potrzebujących – powiedział prezes Banku Pekao Leszek Skiba.

– Bank Pekao chce być bankiem pierwszego wyboru dla przedsiębiorstw, które decydują się na dużej skali inwestycje. Mamy możliwości, doświadczenie i kompetencje, by skutecznie to robić. Trwająca już od dwóch lat pandemia pokazała, jak ważne są inwestycje w branżę farmaceutyczną i ochronę zdrowia. Tym bardziej cieszę się, że mogliśmy wziąć udział w finansowaniu innowacyjnego projektu Polfy Tarchomin – dodała Magdalena Zmitrowicz, wiceprezes Pekao, nadzorująca Pion Bankowości Przedsiębiorstw.

– To wielki dzień dla naszej firmy. Właśnie powstaje pierwsze w Polsce Centrum Rozwoju i Produkcji Leków Onkologicznych. Oprócz leków przeciwnowotworowych będziemy mogli również rozwijać i wywarzać inne leki wysokoaktywne, takie jak leki immunosupresyjne i przeciwgrzybicze. Dla Polfy to przełomowa inwestycja i dlatego tym bardziej cieszymy się, że realizujemy ją wspólnie z polskim Bankiem Pekao S.A. oraz przy silnym wsparciu Ministerstwa Aktywów Państwowych – mówił prezes TZF Polfa S.A. Jarosław Król.

Polfa Tarchomin obecnie pracuje nad:

- rozwojem portfela diabetologicznego: doustne i iniekcyjne leki przeciwcukrzycowe nowej generacji (firma jest na etapie rejestracji kilku nowoczesnych leków stosowanych w cukrzycy typu drugiego);
- produktami stosowanymi w chorobach układu moczowego, również tymi, które są niedostępne w Polsce;
- nowymi dla Polfy obszarami terapeutycznymi, jak onkologia (produkty stosowane m.in. w terapii szpiczaka mnogiego, guza piersi, guzach neuroendokrynnych), anestezjologia, zakażenia grzybicze, immunosupresyjne produkty stosowane w chorobach autoimmunologicznych.

Leki te będą wytwarzane komercyjnie w budowanym centrum. Jego uruchomienie jest planowane na 2023 r.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

DVD VIDEO

Piksele wolności

Free Guy" to czysta rozrywka, korowy eskapistyczny żart w formie filmu – ale żart udany. Tytułowy Guy, sympatyczny facet bez właściwości, pracuje w banku. Każdego dnia zakłada taką samą niebieską koszulę, zamawia taką samą kawę w tej samej kawiarni, śmieje się z tych samych żartów, gada z kumplem z pracy o tych samych nieistotnych sprawach. Zwyczajne życie. Nuda, prawda? A wy sami co macie na swoją obronę? Pytam, bo akurat Guy jest usprawiedliwiony – to tylko non-player character w bardzo popularnej grze on-line „Free City". Po naszemu „bohater niezależny". Krótko mówiąc: element tła, postać, z którą prawdziwi gracze mogą pogadać albo ją rozwalić, w zależności od upodobania (zwykle wybierają drugą opcję).

Tymczasem w realu (między innymi w siedzibie studia Soonami, które ową grę stworzyło) mamy spór o autorstwo „Free City". Piękna, lecz sfrustrowana Millie próbuje udowodnić, że właściciel Soonami okradł ją z kodów źródłowych do gry „Life Itself" i na nich oparł swoje dzieło. Jako Molotov Girl penetruje świat „Free City", szukając dowodów kradzieży. Wkrótce losy jej i Guya się przetną, niczym Neo i Trinity w „Matrixie". Guy pozna prawdę. Tyle że Neo był człowiekiem uwięzionym w sztucznym świecie, a Guy to tylko program. Kiedy uzyska świadomość, może być ewentualnie pierwszą na świecie sztuczną inteligencją. Ta love story nie może mieć happy endu.

„Free Guy" to jednak nie traktat o transhumanizmie, lecz zabawne kino akcji kpiące z gorączki gier wideo, parodiujące hit „Player One" Spielberga czy wspomnianego „Matrixa" (może lepsze byłoby słowo „pastisz") i powtarzające znane hollywoodzkie przesłanie, by brać swoje sprawy we własne ręce. Świat „Free City" jest dla współczesnych miłośników sieciowej rozrywki zdecydowanie obciachowy, ale urok (i ratunek dla całości) dają aktorzy. Ryan Reynolds jest przezabawny i wiarygodny jako bohater mimo woli o złotym sercu (podobnie było w „Bodyguardzie i żonie zawodowca"), Jodie Comer (znana z serialu „Obsesja Eve") emanuje charyzmą, a u ich boku nieźle wypada Joe Keery (pamiętamy go ze „Stranger Things"). Przerysowanym, kompletnie walniętym szefem Soonami został reżyser i aktor Taika Waititi (to on grał Hitlera w farsie „Jojo Rabbit"). To dzięki nim opowieść o życiu w sztucznym świecie buzuje prawdziwymi emocjami. Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia. Czy zrobiłeś już coś, żeby miał jakieś znaczenie? ©℗

★★★★☆

REŻ. SHAWN LEVY
„FREE GUY"
USA 2021

wyst. Ryan Reynolds, Jodie Comer, Taika Waititi

NOWE SERIALE: „FRAGLESY POWRACAJĄ!"

tv

Kultowa seria kukiełkowa Jima Hensona z 1983 r. doczekała się nie tyle dalszego ciągu, ile rebootu – dostajemy uwspółcześnioną wersję. Właścicielką domu, pod którym żyją Fraglesy, jest tym razem kobieta, na szczęście nadal ma psa Sprocketa i nadal w wesołej rozśpiewanej ferajnie rej wiodą Gobo, Mokey czy Red, mnie zaś ucieszył powrót mojej ulubionej postaci, którą jest Wujek Matt w Podróży. Pojawiają się i nowe postacie obdarzone głosami m.in. przez Eda Helmsa czy Patti LaBelle; Kto tęskni za oryginałem, ten znajdzie w Apple TV+ także stare odcinki. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 1 „Fraglesy powracają!", USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. Michal Nohejl* ***„Okupacja" („Okupace"),*** *Czechy 2021* CINEMAX

• *sezon 5* ***„Młody Sheldon" („Young Sheldon"),*** *USA 2021* HBO

• *reż. Agata Alexander* ***„Przestroga" („Warning"),*** *USA/Kanada 2021* CINEMAX

eprasa.pl e77d6b1577

Bóg was kocha

KINO

Historia stara jak świat. O ludziach, którzy są jak drogowskazy – nie idą w kierunku, który wskazują bliźnim. Religijnym Amerykanom bardzo podobał się entuzjazm, z jakim Jim i Tammy Faye Bakkerowie głosili Dobrą Nowinę. U szczytu kariery małżeństwo kaznodziejów docierało, za pośrednictwem telewizyjnych stacji nadających 24 godziny na dobę, do 20 mln widzów. Trafionym pomysłem okazał się również chrześcijański park rozrywki. Czar prysł, gdy wyszło na jaw, co kryje się za krzepiącym hasłem: „Bóg nie chce, żebyśmy byli biedakami". Służba Najwyższemu stała się dla Bakkerów okazją do praktykowania dolce vita na koszt wiernych. Co gorsza, Ken i Barbie teleewangelizmu mieli też na sumieniu inne grzechy.

Akcja obejmuje lata 1952–1994, zamiast jednak „epickiego widowiska", czyli balonu napompowanego reżyserskimi ambicjami, dostajemy dość kameralną psychodramę. Trochę rozwlekłą (zwłaszcza na tle wideoklipu Genesis „Jesus He Knows Me"), lecz w miarę uczciwą. Filmowcy oparli się pokusie przejechania tytułowej bohaterki shermanem, co byłoby łatwe, zważywszy na jej karykaturalny image. Tammy Faye, w interpretacji Jessiki Chastain, jest rozbrajająca, niepozbawiona scenicznego talentu i zdaje się naprawdę wierzyć, że Bóg kocha wszystkich, bezwarunkowo. Kreacja godna nominacji do Oscara. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. MICHAEL SHOWALTER
„OCZY TAMMY FAYE"
USA 2021

wyst. Jessica Chastain, Andrew Garfield, Cherry Jones

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRAGNIENIE ŚMIERCI

KINO

84-letni przemysłowiec, po udarze, w którego wyniku jest obecnie inwalidą, nie potrafi się psychicznie pozbierać. Zamierza popełnić samobójstwo i żąda od bliskich, by mu w tym pomogli. Francuskie prawo krzywym okiem patrzy jednak na eutanazję, nawet antypatycznych bogaczy. Z retrospekcji wynika, że André był złym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Aż strach podejrzewać, co ma na myśli, mówiąc, że „żył pełnią życia". Fabułę dzielnie dźwiga na swych barkach Sophie Marceau, która kiedyś mieszkała w warszawskim bloku, chorzowianka Hanna Schygulla przeraża jako anioł śmierci, ale zatrudnić Charlotte Rampling i nie dać jej niczego do grania, to kryminał. Cóż, rozbudowa jej postaci mogłaby sprawić, że zamiast współczuć córkom i doszukiwać się ludzkich odruchów u twardogłowego egoisty, życzylibyśmy mu długiej i bolesnej śmierci. Jeżeli miał to być głos za legalizacją eutanazji, to przekona jedynie już przekonanych.

★★★☆☆☆

REŻ. FRANÇOIS OZON
„WSZYSTKO POSZŁO DOBRZE" („TOUT C'EST BIEN PASSÉ")
FRANCJA 2021

wyst. Sophie Marceau, André Dussollier, Géraldine Pailhas

CAŁA W PIANIE

Żaden film nie przyczynił się do utrwalenia reputacji Kaliny Jędrusik bardziej niż „Lekarstwo na miłość". To tu seksbomba PRL wygłasza życiowe credo: „Wolę być niemoralna niż nieszczęśliwa" i zażywa kąpieli w wannie pełnej piany. I pomyśleć, że rolę kochliwej pani architekt (bałbym się zamieszkać w osiedlu przez nią zaprojektowanym) dostała przypadkiem, w ostatniej chwili zastępując Elżbietę Czyżewską. Tych szczęśliwych zbiegów okoliczności było więcej. Reżyser Jan Batory dostrzegł i wykorzystał potencjał debiutanckiej powieści Joanny Chmielewskiej, Krystyna Sienkiewicz zamiast rywalizować z Jędrusik, stworzyła z nią uroczy, komediowy duet, a męska część obsady pozwoliła się zepchnąć paniom na drugi plan. Do końca lutego Ninateka udostępnia też inne, trochę mniej udane filmy z Kaliną. Swoją drogą, „Lekarstwo na miłość" prędzej doczeka się chyba remake'u niż cyfrowej rekonstrukcji. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JAN BATORY
„LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ"
POLSKA 1965

wyst. Kalina Jędrusik, Andrzej Łapicki, Krystyna Sienkiewicz

GRA TYGODNIA: „POKÉMON LEGENDS: ARCEUS"

★★★★★☆

Takiego powiewu świeżości seria nie pamięta od... chyba od zawsze. „Legends: Arceus" to m.in. nowy sposób interakcji z pokémonami (możemy je łapać bez podejmowania walki w systemie turowym, a mijane przez nas pokémony różnie reagują – obojętnością, agresją bądź ucieczką) i nowa, ciekawa historia. Przenosimy się do czasów, gdy ludzie nie poznali jeszcze pokémonów i obawiali się ich. Naszym zadaniem jest poznanie zachowań tych stworzeń i opracowanie pierwszego w regionie Hisui (Sinnoh) pokédexu. Świetna odsłona serii, jeśli dotychczasową formułę traktujemy jako skostniałą i wartą odświeżenia, a nie jako świętość, której ruszyć nie wolno. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG, TPP*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Game Freak/Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl e77d6b1577

MOJA PÓŁKA

Bezcenna rodzinna pamięć

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Zofia Koszelanka „Autoportret buffo" (tusz, 1938 r.)

FOT. ARCHIWUM MAŁGORZATY TRZCIŃSKIEJ-DĄBROWSKIEJ

★★★★★★

MAŁGORZATA TRZCIŃSKA-DĄBROWSKA „ZOSIA KOSZELANKA RYSUJE DLA BRACI JABŁKOWSKICH ALBO RODZINNY MISZMASZ Z WARSZAWĄ W TLE"
BELLONA, WARSZAWA 2021

Tak się składa, że w krótkim czasie po raz drugi rekomenduję czytelnikom książki pisane przez autorów o swoich rodzicach. Niedawno miałem niekłamaną przyjemność podzielić się refleksjami z lektury „W rytmie Polski", opowieści Teresy Bochwic o jej ojcu, kompozytorze Witoldzie Rudzińskim, teraz zachęcam do sięgnięcia po książkę Małgorzaty Trzcińskiej-Dąbrowskiej, poetki i malarki, prywatnie żony Waldemara Żyszkiewicza, również poety, dramatopisarza, a także wytrawnego publicysty. Już sam tytuł mówi właściwie wszystko o zawartości tej wspaniale zilustrowanej – bo rzecz tę trzeba czytać, ale i oglądać – pozycji: „Zosia Koszelanka rysuje dla Braci Jabłkowskich albo rodzinny miszmasz z Warszawą w tle". Zofia Koszelanka to oczywiście matka autorki, zmarła w 2004 r., autorka grafiki użytkowej i reklam w niepowtarzalnym stylu art déco, świetna graficzka.

Zofia Koszelanka pracowała dla Domu Towarowego Braci Jabłkowskich w latach 30. zeszłego wieku, zaraz po ukończeniu studiów w Miejskiej Szkole Sztuk Zdobniczych i Malarstwa. Jako „wolny strzelec", o etacie dla plastyczki, skądinąd nieźle zarabiającej w dziale reklamy firmy, nie było bowiem mowy i to stało się przyczyną odejścia stamtąd pani Zofii oraz z początkiem 1939 r. podjęcia pracy w Wojskowym Instytucie, gdzie – już na etacie – rysowała, barwiła i opisywała mapy. Nie trwało to długo…

Wcześniej kreskę Zofii Koszelanki poznali Polacy. W książce jej poświęconej trafiam na przykład na doskonale mi znaną (skąd?!) reklamę Domu Towarowego Braci Jabłkowskich z 1936 r. Pewnie sprzed 1 września, gdyż widzimy na niej uśmiechniętego uczniaka, zegar wskazujący, że do ósmej

FOT. ARCHIWUM MAŁGORZATY TRZCIŃSKIEJ-DĄBROWSKIEJ

pozostało tylko pięć minut, i wyszczególniony szkolny asortyment „magazynu zadowolonych klientów" z ulicy Brackiej, domu towarowego stojącego wciąż w tym samym sercu Śródmieścia stolicy. A zachęcano potencjalnych nabywców do kupna: szewiotów mundurkowych wełnianych, alpagi na fartuszki – mocnej, płóciennych tornistrów, piór wiecznych ze stalówkami z prawdziwego złota oraz teczek płóciennych po 3,85 zł i teczek skórzanych po 4,20 zł – uwaga! – ładnych. Nasuwa się pytanie, czy teczki płócienne były brzydkie, ale nie bądźmy zbyt dociekliwi.

Matka autorki książki współtworzyła tamten świat, który dziś mozolnie rekonstruujemy, próbujemy go poznać i oswoić na podstawie fotografii, nielicznych filmów, zszywek pism i właśnie przechowywanych niekiedy artefaktów – ulotek, prospektów reklamowych, etykiet. Tak przecież przecina się cywilizacja z kulturą.

W PRL, w dobie upadku – i to straszliwego – grafiki użytkowej i reklamowej (co zresztą jest zrozumiałe, bo co można było w komunizmie reklamować?) Zofia Koszelanka nie wróciła już do działalności, która dzięki takim jak ona stała się sztuką. Zdążyła jeszcze tuż po wojnie „oplakatować" kilka filmów, by potem prowadzić tylko zajęcia plastyczne w szkole na Woli i, już na własny użytek, rysować szkice portretowe.

Jako się rzekło, familijna opowieść Małgorzaty Trzcińskiej-Dąbrowskiej daje autorce sposobność, by zanurzyć się w klimacie dawnej Warszawy, tej przedwojennej, ale i jeszcze wcześniejszej. Staje się to możliwe dzięki lekturom, zasłyszanym historiom, a także rodzinnym pamiątkom. Choćby takim jak cukiernica z mrożonego zielonego szkła z napisem na spodzie naczynia: „Krajowy Skład Herbaty Towarzystwo M. Szumilin, Warszawa". I zaraz obok historię tego moskiewskiego kupca, podobno handlującego najlepszą w całym rosyjskim imperium herbatą. A tuż obok tworzącą atmosferę reprodukcję pocztówki z Placem Saskim i dumnie wznoszącym się na nim soborze św. Aleksandra Newskiego z „wieżą ciśnień prawosławia", jak Polacy nazywali zbudowany w pobliżu cerkwi potężny, 70-metrowy wolno stojący stołp z dzwonnicą.

A już taki przedmiot jak Mickiewiczowski „liliput", czyli liczący 813 stron wolumin z m.in. „Panem Tadeuszem" i „Dziadami", mieszczący się w połowie pudełka od zapałek, wydany w 1898 r. w setną rocznicę urodzin poety nakładem M. Szulca, budzi tylko zachwyt i podziw. A autorce posłużył do sporządzenia opisu uroczystości odsłonięcia pomnika wieszcza dłuta Cypriana Godebskiego w tymże 1898 r. Spogląda na nas do dziś dnia, mimo burzliwych losów, które stały się jego udziałem. Jak i nas oraz naszych przodków. Takich jak Zosia Koszelanka. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Życie innych

Przegapiłem tę pozycję, gdy się ukazywała, z przyjemnością za to rekomenduję jej wznowienie. Anna Przedpełska-Trzeciakowska napisała książkę, która jest czymś więcej niż biografią. To zarazem wyraz głębokiej fascynacji twórczością i samą postacią Jane Austen. Tłumacz jest ambasadorem pisarza, tłumacz i biograf (przypadek Przedpełskiej-Trzeciakowskiej) to także prokurator gromadzący dane; osąd powinien pozostawić czytelnikowi.

Kibicuję autorce w tych poszukiwaniach (to nieprawda, że dziś „wszystko znajdziecie w Internecie"), bo sam należę do ukąszonych książkami Austen, choć najbardziej cenię jedną z mniej popularnych, czyli „Mansfield Park". Książki „Jane Austen i jej racjonalne romanse" streszczać nie mogę, bo to niemożliwe, dzieło jest obszerne i pełne ciekawych informacji. Rekomendując pilną lekturę, wspomnę jedynie o trzech rzeczach – jest to także kapitalna opowieść o czasach, w których tworzyła autorka „Rozważnej i romantycznej", o specyficznym świecie, do którego rzadko polski czytelnik miał okazję zaglądać. Ponadto dzieje Austen to dzieje nie tylko wielkiego talentu, lecz i wielkiej miłości do pisania – wszak za życia publikowała książki pod nic niemówiącymi pseudonimami, nie mogła więc zażywać sławy „wielkiej pisarki swoich czasów". Jest dla mnie książka Przedpełskiej-Trzeciakowskiej wzorem biografii w starym dobrym stylu.

Tak się już jednak na świecie nie pisze – odnotowuję to, przechodząc do kolejnej biografii. Brytyjczyk Alex Christofi na temat swej pierwszej książki non-fiction wybrał Dostojewskiego. Zbudował ją z cytatów, które (często poszatkowane) wmontował w narrację niemal powieściową. Ma to tę zaletę, że książkę czyta się lekko i całość robi wrażenie pozycji błyskotliwej. I tę wadę, że nie ma czasu ani miejsca na wgryzienie się w fenomen twórczości Dostojewskiego, jak to zrobił choćby nasz Ryszard Przybylski.

Co do odkrywczości „portretu intymnego" – jest znikoma, bo kto szuka prawdziwych bebechów, sięgnąć powinien do dzienników pisarza czy wspomnień jego żony Anny. Książka Christofiego obroni się jako wprowadzenie w temat, pod warunkiem że czytelnik sięgnie potem po poważniejsze pozycje, by anegdotę zamienić na wiedzę i refleksję. ©℗

★★★★★☆
ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA „JANE AUSTEN I JEJ RACJONALNE ROMANSE"
W.A.B. 2021

★★★☆☆☆
ALEX CHRISTOFI „DOSTOJEWSKI. PORTRET INTYMNY"
PRÓSZYŃSKI I S-KA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ciąg dalszy książki „Lista Wächtera. Generał SS, który ograbił Kraków". Losy niemieckich zbrodniarzy wojennych rabujących nie tylko polskie dzieła sztuki. Wächter, Heydrich, Menten – opowieść o zbrodniach nierozliczonych.

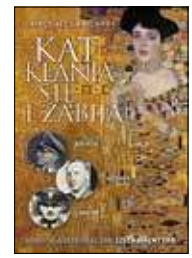

MAGDALENA OGÓREK „KAT KŁANIA SIĘ I ZABIJA"
FRONDA

Widzieli wiele i przenikliwie. Teksty z lat 1918–1921 o praktyce i możliwych konsekwencjach komunizmu w Rosji. Od Limanowskiego i Krzyżanowskiego do ks. Lutosławskiego i Grabskiego. Wybór i wstęp: Marek Kornat.

„POLSKA MYŚL POLITYCZNA WOBEC REWOLUCJI BOLSZEWICKIEJ"
IPN

Klasyka w nowym wydaniu – słynna nowela Stevensona o dwoistości ludzkiej natury wzbogacona została o kapitalne ilustracje zaczerpnięte z edycji brazylijskiej. Ich autorem jest Adão Iturrusgarai. Posłowie: Jerzy Jarniewicz.

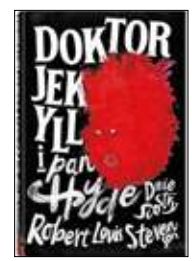

R.L. STEVENSON „DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE"
DWIE SIOSTRY

Weteran brytyjskiego kryminału, autor powieści o Bondzie, Holmesie i Alexie Riderze, tym razem proponuje powieść w duchu zagadek Agathy Christie, a właściwie… dwie opowieści splecione zręcznie w kryminalną metafikcję. ©℗ ***Piotr Gociek***

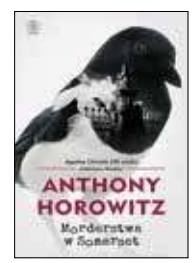

ANTHONY HOROWITZ „MORDERSTWA W SUFFOLK"
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:
„ARAB PRZYSZŁOŚCI"

Niezmiernie smutna, miejscami okrutna, a zarazem przezabawna powieść graficzna, którą francuski rysownik o syryjskich korzeniach utkał z doświadczeń własnej rodziny. Oczami dziecka oglądamy zgubną w skutkach, choć szlachetną w intencjach pogoń za utopią – na początek Abdul-Razak, ojciec narratora, zabiera całą rodzinę do Libii rządzonej przez Muammara Kaddafiego. Potem – z deszczu pod rynnę – do Syrii Hafiza al-Asada. Ale prawdziwej wolności, sprawiedliwości, lepszej przyszłości jakoś nigdzie nie widać. Całość serii liczy pięć tomów i obejmuje lata 1978–1994. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

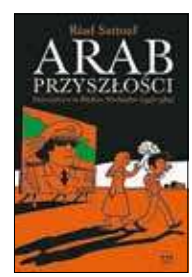

RIAD SATTOUF „ARAB PRZYSZŁOŚCI"
KULTURA GNIEWU 2021

eprasa.pl e77d6b1577

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Powrót muzeum techniki

Cieszę się, że w naszej pierwszej w „Do Rzeczy" podróży po najciekawszych wystawach i wydarzeniach kulturalnych możemy wybrać się do muzeum techniki. A właściwie powrócić tam po pięciu latach. Działające od 1955 r. Muzeum Techniki i Przemysłu (kontynuujące pracę przedwojennego Muzeum Przemysłu i Techniki) znajdowało się w złej sytuacji finansowej, która zakończyła się wypowiedzeniem umowy najmu w Pałacu Kultury i Nauki i postawieniem w 2017 r. prowadzonego przez Federację Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej muzeum w stan likwidacji. Jednak za sprawą porozumienia zawartego z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz miastem Warszawą powołano Narodowe Muzeum Techniki, które otwarto 1 lutego.

Przygotowano dwie stałe ekspozycje: „Historia transportu – morzem, lądem i powietrzem", która pokazuje rozwój środków transportu, oraz „Historia komputerów – liczy się!", która jest nieco inną, lecz także pasjonującą podróżą. ©℗

GDZIE? ***Narodowe Muzeum Techniki, Warszawa***
KIEDY? ***ekspozycje stałe***

FOT. MICHAŁ BOJARA/NMT

FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

SKARBCZYKI DAM

Na wystawie „Drewniane skarbczyki dam. Historia kobiet w meblach zapisana" prześledzić można nie tylko dzieje meblarstwa (najstarszy eksponat pochodzi z XV w.), lecz także zapisaną w nich historię kobiet i ich zmieniającą się rolę w społeczeństwie. „Zauważalna jest zależność pomiędzy pozycją społeczną kobiet a liczbą powstających dla nich sprzętów – mówi Małgorzata Korżel-Kraśna, kurator wystawy. – Najwięcej mebli i przyborników dla pań robiono w XVIII w., kiedy kobiety w hierarchii społecznej po raz pierwszy zaczęły zajmować ważne miejsce". ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 14 kwietnia 2022 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Irlandia ponad wszystko

The Chieftains są zespołem, który nie tylko spopularyzował muzykę irlandzką na całym świecie, lecz także sprawił, że przestała ona być traktowana wyłącznie jako wesołkowaty podkład do skocznych potańcówek.

Sześćdziesiąta rocznica powstania grupy, a także niestety śmierć lidera Paddy'ego Maloneya to powód wydania niniejszej, bardzo sumiennie przygotowanej składanki. Zawiera ona 40 dobrze dobranych nagrań z całego dorobku The Chieftains obejmującego 44 albumy, które zainteresują otwartego na nowe doznania słuchacza, ale niekoniecznie obeznanego z twórczością zespołu. Stylistyka irlandzkiej formacji opierała się w dużej mierze na brzmieniu najróżniejszych piszczałek, na których grał Paddy Moloney. Większość w zestawie stanowią nagrania instrumentalne, które robią autentycznie nieziemskie wrażenie. Wśród nich znajdziemy choćby „The Woman of Irleand", główny temat z filmu Stanleya Kubricka „Barry Lyndon". Jego sukces otworzył przed zespołem drzwi do kariery w Ameryce.

Jednym z elementów twórczości grupy było zapraszanie do sesji nagraniowych popularnych wykonawców. Na albumie usłyszymy m.in. Micka Jaggera, Dianę Krall, Alison Krauss, Sinéad O'Connor, Paola Nutiniego czy Bon Ivera. Jeśli, czytelniku, lubisz piosenki zespołów Clannad, The Pogues, The Corrs czy ewentualnie Enyi, to wiedz, że bez The Chieftains ci wykonawcy nie zyskaliby tak szerokiej popularności. ©℗

★★★★★★
THE CHIEFTAINS
„CHRONICLES: 60 YEARS OF THE CHIEFTAINS"
CLADDAGH

★★★★☆☆
JOHN MAYALL
„THE SUN IS SHINING DOWN"
FORTY BELOW RECORDS

88-letni ojciec brytyjskiego bluesa jest w znakomitej formie. Na jego 60. albumie iskrzy od emocji. Grupa weterana wspierana przez mocarną sekcję dętą i gości (m.in. skrzypaczkę Scarlet Rivierę) wymiata siarczystego, chicagowskiego bluesa jak za najlepszych lat.

★★★★★☆
CAMERON GRAVES
„SEVEN"
MACK AVENUE

Amerykański pianista i wokalista określa swoją muzykę jako „thrash jazz". Na akustycznym fortepianie gra on z furią metalowego wirtuoza. Muzycy z zespołu mają podobne temperamenty i może dlatego 11 utworów trwa zaledwie 34 minuty! Album dla miłośników jazzowej adrenaliny. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. BARTEK WARZECHA

Ile jeszcze dzióbków?

Grzegorz Kondrasiuk

A jednak. Jednak istnieje tu i ówdzie zwykły teatr

Rzadkie to zjawisko, niezwykłe – na mocy paradoksu tzw. dzisiejszych czasów. Niezwykłe, bo oparte na zwykłym w teatrze zjawisku – warsztacie aktorskim. Do tego ufundowane na rzadkiej dziś wierze w to, że teatr powstaje raczej wtedy, gdy się z warsztatu korzysta z pełnym zaufaniem, a nie wtedy, gdy się go pogardliwie odrzuca, jako narzędzie skompromitowane, historyczne.

Taką sztukę uprawia się w Akademii Teatralnej w Warszawie, na specjalności „aktorstwo i wokalistyka", czego dowodem świeży dyplom IV roku, pokazywany w styczniu i lutym w Teatrze Collegium Nobilium. Rzecz zatytułowano „Bliżej chmur. Zaraz spadam", za reżyserię i – co ważne – także za scenariusz (w tym przypadku obejmujący teksty większości piosenek) odpowiada Ewa Konstancja Bułhak. Występuje mocny, wyrównany team, sześć charyzmatycznych aktorek, już niemal w pełnym tego słowa znaczeniu: Zuzanna Galewicz (Patapapaja), Pola Gonciarz (Lola), Anna Grochowska (Pani Komendant), Katarzyna Kanabus (Królowa), Aleksandra Ożóg (Panna Młoda), Ada Szczepaniak (Anioł).

Oto galeria trochę może zmyślonych, może nieco typowych, a może i nieco prawdziwych postaci młodych kobiet i koncept reżyserski wychodzący od pomysłu na miejsce akcji. Jesteśmy tu na dachu wieżowca, gdzie przez chwilę można się zatrzymać, pogapić, podumać nad możliwościami, klęskami, straconymi złudzeniami, wyspowiadać się publiczności. Pomysł prosty, nośny, do tego sprawnie przeprowadzony, z pięknymi, unikającymi dosłowności wizualizacjami (Maria Matylda Wojciechowska), z atrakcyjnym montażem przenikających się planów akcji i nastrojów, w których panuje pełna różnorodność. Przeplatają się konwencje: intymne monologi i liryczne solowe ballady, grupowe choreografie musicalowe, pastisze instagramowych stories i międzywojennego tyngiel-tangla czy nawet… doskonale odśpiewany chorał na cześć chirurgii plastycznej.

Można się domyślać, że Bułhak spędziła ze swoimi aktorkami-śpiewaczkami sporo czasu. W pełni wydobyła talenty i predyspozycje (sześć świetnych, mocnych głosów, duża różnorodność prezencji i ekspresji), sprytnie zamaskowała słabsze strony (jeszcze zbyt naiwne niekiedy aktorstwo, co może wyglądać „szczerze" czy „autentycznie"). Zostawiła im w prezencie i spektakl, i scenariusz zmyślnie wywiedziony z cech ich scenicznych osobowości, własny, z rodzaju tych, w których trudno zrobić dublurę. Dziewczyny bez ekshibicjonizmu odgrywają prawdę o „sobie" (jednak nie idźmy aż tak daleko…), z pewnością jednak udało im się świetnie i prawdziwie opowiedzieć o trudnościach funkcjonowania w świecie, który wszyscy zastaliśmy i z którego regułami nie wszyscy się godzimy. Samotność, poczucie własnej dziwności, panika wynikająca z braku kontroli nad swoim życiem, presja sukcesu połączona z koniecznością zaistnienia w mediach społecznościowych, panika przed zaliczeniem do grona tzw. przegrywów – ot, taki typowy aktualny zestaw tematów dotykających każdego, niezależnie od wieku i płci. „Ile jeszcze dzióbków trzeba zrobić?" – zapytuje się tutaj, a każda opowieść kończy się tak samo. „Te puzzle dawno się rozsypały", osobowość pod presją niebezpiecznie się rozpada, a im szybciej do tego się przyznamy, tym lepiej dla nas samych. Czy nie o tym jest ta historia, łącznie z finałem, w którym poszukuje się niełatwej nadziei? Wygląda więc na to, że scenariusz niebezpiecznie oscyluje na krawędzi banału, ale ta granica nie zostaje przekroczona, więcej nawet – istnieje szansa, by w niektórych historiach, monologach i piosenkach, zapominając o typowości, przejrzeć się na chwilę.

Dyplomy aktorskie – których dramaturgia podlega konieczności równego obdzielenia całej obsady zadaniami na ocenę – dzielą się na te bardziej wymuszone i te pełne swobody. „Bliżej chmur…" to ten drugi, szczęśliwszy przypadek. Tu struktura nie jest balastem, ale wręcz przeciwnie – uwalnia i pozwala przedostać się do subtelniejszych i wyrafinowanych krain. Z ciekawością będę patrzył, co będzie dalej, kiedy IV rok rozpierzchnie się po teatrach. ©℗

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM
„BLIŻEJ CHMUR. ZARAZ SPADAM"
TEKSTY PIOSENEK, SCENARIUSZ I REŻYSERIA: EWA KONSTANCJA BUŁHAK
MUZYKA: OLGA LISIECKA
KIEROWNICTWO MUZYCZNE: URSZULA BORKOWSKA
PREMIERA: 21 STYCZNIA 2021 R.

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

ŁUKASZ WARZECHA: Na jakim etapie jest dzisiaj obóz władzy?

SŁAWOMIR MENTZEN: Wygląda to – proszę wybaczyć dosadność – jak pożar w burdelu. Wszystko się sypie. Prawdopodobnie, gdyby nie podeszły wiek Jarosława Kaczyńskiego, PiS już dawno by się poddał, doprowadziłby do wcześniejszych wyborów i próbował przeczekać ten zły czas. Natomiast Jarosław Kaczyński obawia się, że może już w dobrej formie nie doczekać do kolejnej szansy, która mogłaby przyjść dopiero za cztery lata albo nawet osiem, i dlatego kurczowo trzyma się władzy. Bardzo wysoka inflacja, podwyżki cen prądu, gazu, wywozu śmieci, wzrost stóp procentowych, który sprawia, że ludzie będą płacić coraz więcej za swoje kredyty hipoteczne – ktoś będzie musiał za to wziąć odpowiedzialność.

Po co PiS był teraz w takim razie Polski Ład, skoro przed jego wejściem w życie mnóstwo ekspertów ostrzegało, jak to się skończy?

Powód był czysto wyborczy. Chodziło o to, żeby zmniejszyć opodatkowanie osób najmniej zarabiających, a zwiększyć tych zarabiających więcej. Identyczny cel jak wcześniej przy „500+" albo przy 13. czy 14. emeryturze: dosypać trochę pieniędzy własnemu elektoratowi.

Z „500+" się udało. Więc dlaczego tutaj jest blamaż?

Wypłacenie „500+" jest organizacyjnie proste. Natomiast podniesienie podatków już proste nie jest. Podatek dochodowy jest skomplikowany, ma mnóstwo pułapek i niuansów. Z punktu widzenia celu politycznego Polski Ład był nieźle pomyślany. Gorzej z wykonaniem. Większość pojawiających się od stycznia problemów bierze się z niezłożenia PIT-2. Podatnicy z tego powodu nie skorzystali z wysokiej kwoty wolnej od podatku, za to doliczono im bardzo wysoką składkę zdrowotną. To im się wyrówna przy rozliczeniu rocznym w 2023 r., a rząd na szybko wymyślił, jak ten problem rozwiązać, tak żeby kolejne wypłaty nie były już niższe. Tylko że z politycznego punktu widzenia to bez sensu – żeby osiągnąć efekt, podatnicy powinni dostać więcej od razu. Przecież jeśli ktoś, kto o podatkach w zasadzie nic nie wie, otrzymuje na konto niższą wypłatę niż przedtem, to jest przekonany, że zaczął nagle zarabiać mniej, i czuje się okradziony. Nawet jeśli ostatecznie na tej operacji zyska. Inna sprawa, że ewentualny zwrot w przyszłym roku będzie już mniej wart z powodu galopującej inflacji.

Trzeba chyba przyznać, nawet z punktu widzenia liberała, że są w Polskim Ładzie dobre elementy: znaczące podwyższenie kwoty wolnej dla wszystkich i podniesienie progów podatkowych po ponad dekadzie.

To są bardzo dobre zmiany. Jako Konfederacja od dawna domagaliśmy się podwyższenia kwoty wolnej i progów podatkowych. Natomiast potrzeba było PiS, żeby te dwie kwestie wprowadzić w życie w taki sposób, że wszyscy są wciąż niezadowoleni. Winna jest dziewięcioprocentowa składka zdrowotna, niemożliwa do odliczenia ani od podatku, ani od dochodu. Więc, owszem, mamy 30 tys. zł kwoty wolnej od podatku, ale to 30 tys. nie jest wolne od wynoszącej 9 proc. składki zdrowotnej.

Pan zajmuje się doradztwem podatkowym. Jak pan ocenia wiedzę Polaków na temat systemu fiskalnego?

Ogólnie rzecz biorąc, ta wiedza jest zerowa. Wielu ludzi w ogóle nie wie, że płaci jakiekolwiek podatki. Gorzej natomiast, że o podatkach bardzo mało wiedzą również przedsiębiorcy, nawet prowadzący duże firmy. Szczęście w nieszczęściu, że za sprawą Polskiego Ładu mamy teraz wielką akcję edukacyjną. Jeśli ktoś był małym przedsiębiorcą i rozliczała go nieduża firma księgowa, to płacił 19-procentowy podatek liniowy i nie musiał się przejmować resztą. Zmieniały się najwyżej zasady rozliczania leasingu samochodów albo naliczania

Egzemplarz: 7d6b1577

Ze Sławomirem Mentzenem, wiceprezesem partii KORWiN
rozmawia Łukasz Warzecha

Państwo wrogiem przedsiębiorców

VAT, ale tym zajmowała się księgowość. Teraz już się tak nie da. Przedsiębiorcy zaczęli gorączkowo liczyć, co im się opłaca, i sprawdzać, ile zapłacą na państwową służbę zdrowia, z której i tak nie korzystają. Skutek jest taki, że ci ludzie, którzy nigdy wcześniej nie interesowali się optymalizacją podatków, ruszyli do doradców podatkowych, żeby się dowiedzieć, co z tym można zrobić, i zaczęli zmieniać formę działalności na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, spółkę komandytową albo jeszcze coś innego. I ostatecznie może się okazać, że będą do budżetu wpłacać mniej, niż płacili wcześniej.

Użył pan pojęcia „optymalizacja podatkowa". Niektórzy uważają, że to po prostu oszukiwanie własnego państwa.

Największym wrogiem przedsiębiorców w ciągu ostatnich dwóch lat było właśnie polskie państwo. To ono zakazywało im działalności, nakładało kolejne obciążenia. To rządzący odbierają ludziom lepiej zarabiającym pieniądze, żeby za nie przekupywać własnych wyborców, żeby wygrywać wybory i móc zabierać ludziom jeszcze więcej pieniędzy. Trudno się dziwić, że przedsiębiorcy nie chcą takiej władzy finansować. Optymalizacja nie jest zaś żadnym oszustwem – jest zgodna z prawem. To nie jest uchylanie się od podatków, tylko wykorzystywanie legalnych możliwości zapłacenia podatku niższego. Nikt nie ma obowiązku płacenia podatku w najwyższej możliwej wysokości. To tak jak z wykonaniem pewnego wysiłku, żeby kupić jakiś towar taniej. Może trzeba kawałek się przejść, ale za to się oszczędza. Być może PiS miał intencję, żeby z optymalizacją skończyć – w co nie za bardzo wierzę – ale tak naprawdę otworzył jej nowe możliwości. Każda kolejna komplikacja systemu, każda kolejna ulga – a w Polskim Ładzie ulg jest mnóstwo – sprawia, że możliwości optymalizacyjnych jest więcej.

Z tym że optymalizacja nie jest darmowa. Przecież pan nie pracuje pro bono.

REKLAMA

WOJNA HYBRYDOWA, TAJEMNICZA PANDEMIA, HISTORIE ALTERNATYWNE
PUTIN, HITLER, DOKTOR DOLITTLE, BÓG I DIABEŁ
DOBRA FANTASTYKA W 12 ODSŁONACH

PIOTR GOCIEK

NOWE KSIĄŻKI
JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W DOBRYCH KSIĘGARNIACH INTERNETOWYCH

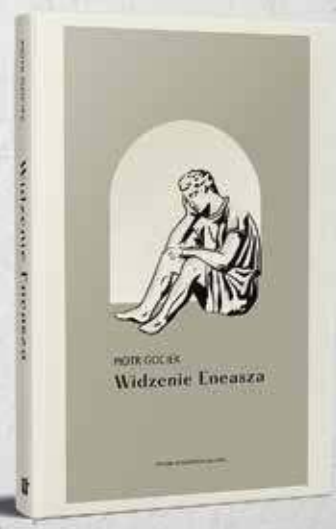

WIERSZE Z LAT 1986-2020

„WIERSZE O OGROMNYM CIĘŻARZE GATUNKOWYM, TAKŻE ODNOSZĄCE SIĘ BEZPOŚREDNIO DO NASZEJ WSPÓŁCZESNOŚCI, REFLEKSJE NAD LEKTURAMI, ZAMYŚLENIA WRĘCZ FILOZOFICZNE. DOMINUJE JEDNAK NIEZWYKŁY A WYCZUWALNY NIEMAL OD PIERWSZEJ STROFY NOSTALGICZNY TON"
KRZYSZTOF MASŁOŃ

ROZSZERZONE WYDANIE KSIĄŻKI NOMINOWANEJ DO NAGRODY IM. JÓZEFA MACKIEWICZA

eprasa.pl e77d6b1577

Załóżmy, że mamy przedsiębiorcę, który zarabia rocznie 10 mln zł – mówimy o dochodzie. Jakiś czas temu wprowadzono obejmującą go daninę solidarnościową w wysokości 4 proc. od sumy powyżej miliona złotych dochodu. Od każdego dodatkowego miliona musi zapłacić 40 tys. zł, czyli w sumie ma do zapłacenia 360 tys. zł. I te 360 tys. zł to dla tego przedsiębiorcy budżet na walkę z państwem. Część to będzie wynagrodzenie doradców podatkowych, część zainwestuje w jakąś strukturę pozwalającą zapłacić niższe podatki, a część będzie na koniec jego zyskiem. On by tego nie robił, gdyby to państwo – nakładając na niego dodatkowe obciążenie – nie dało mu tego budżetu. Jeśli natomiast nie zrobi nic, to na pewno te pieniądze straci. A teraz ten budżet na walkę z fiskusem jeszcze się powiększył, bo ten hipotetyczny przedsiębiorca ma do zapłacenia dodatkowe 900 tys. zł rocznie składki zdrowotnej. To dopiero wielkie pieniądze na walkę z państwem! Jeśli dodać do tego daninę solidarnościową, to robi się z tego ok. miliona złotych, które można zaoszczędzić rocznie za sprawą optymalizacji. A to już naprawdę dużo, opłaca się. Więc nawet jeśli władza zaplanowała sobie w Excelu, że wzrosną jej wpływy budżetowe, to może się rozczarować.

Czy to możliwe, żeby projektodawcy Polskiego Ładu nie zdawali sobie z tego wszystkiego sprawy? Oprócz katastrofy wizerunkowej może się okazać, że zysk budżetu będzie znacznie niższy niż oczekiwano, a jeszcze duże firmy mogą oszczędzić. Więc kto straci?

Mówiłem od miesięcy, że straci na Polskim Ładzie klasa średnia. Ci najmniej zarabiający zyskają w większości raptem po kilkadziesiąt złotych miesięcznie, a najbardziej oszczędzą milionerzy. Bo skoro oni potencjalnie mieliby największe straty, to będą też mieć największy budżet na optymalizację. Ich stać na to, żeby wyższych podatków nie zapłacić. Ale w TVP pokaże się, że bogacze zapłacą więcej, widzowie się ucieszą, zagłosują jak trzeba – i taki był plan. Tyle że rzeczywistość PiS trochę zaskoczyła.

Niektórzy uważają, że przedsiębiorców trzeba docisnąć, bo zawsze będą cwaniakować i najchętniej nie płaciliby podatków wcale. Takie nuty pobrzmiewają w wypowiedziach Jarosława Kaczyńskiego.

To nieprawda. Gdyby system fiskalny w Polsce był stabilniejszy i przejrzystszy, ogromna część chętnie by takie podatki płaciła. Codziennie spotykam się z przedsiębiorcami, którzy mówią mi, że gdyby mieli do zapłacenia po prostu 10 proc., to płaciliby bez mrugnięcia okiem. Ba, są nawet tacy, którzy deklarują, że płaciliby i 19 proc. od dochodu. Ludzie mają świadomość, że trzeba płacić podatki, bo państwo jest ważne i musi mieć za co działać. Ale im więcej jest pieniędzy w budżecie, tym bardziej lekką ręką władza je rozdaje.

Sam Mateusz Morawiecki powiedział kiedyś, że PiS „jest również spadkobiercą myśli socjalistycznej i robotniczej"

Ale przecież dzięki tym pieniądzom słabsi i ubożsi odzyskali godność. Nastąpiła rewolucja godnościowa.

Jeśli ktoś jest uzależniony od świadczeń socjalnych, to nie zwiększa to jego godności. Wręcz przeciwnie. Godność jest wtedy, gdy jesteśmy w stanie sami się utrzymać. Nie widzę tu zatem żadnej rewolucji. Faktem jest natomiast, że wcześniej nikomu nie przyszło do głowy, żeby przekupywać wyborców aż tak ogromnymi pieniędzmi.

Ostatni spis powszechny pokazał, jak bardzo zmniejszyła się grupa osób w wieku produkcyjnym w relacji do grupy osób w wieku poprodukcyjnym. Co to oznacza dla naszej przyszłości?

Coraz więcej będzie emerytów, a coraz mniej osób pracujących i maksimum tej tendencji ma nastąpić za ok. 30 lat. Jeśli nie będzie jakiejś wielkiej zmiany w systemie emerytalnym, to oznacza to, że podatki będą musiały rosnąć, żeby sfinansować renty, emerytury i ochronę zdrowia. Ponieważ pracujący będą musieli płacić coraz wyższe podatki, zaczną emigrować do państw z niższymi podatkami. To będzie błędne koło: coraz wyższe podatki na emerytów – coraz więcej emigrujących, czyli coraz mniej płacących podatki – coraz wyższe podatki obciążające tych, którzy zostali. I nie ma tu właściwie żadnego innego wyjścia poza wpuszczeniem milionów imigrantów, którzy uzupełniliby luki na rynku pracy. Chyba że zmienimy wiek emerytalny i myślę, że to nastąpi niezależnie od tego, kto będzie rządził. Oczywiście żaden polityk nie może teraz tego głośno powiedzieć, bo nikt by na niego nie zagłosował.

Można zadać pytanie, dlaczego tych wszystkich prawidłowości wydaje się nie dostrzegać Mateusz Morawiecki, który przecież był uznawany za przedstawiciela wolnorynkowego myślenia, gdy trafił do rządu.

Mateusz Morawiecki przyszedł z bardzo regulowanego rynku finansów i wielkich korporacji. I dokładnie taką politykę PiS prowadzi: dobrze ma się żyć politykom oraz wielkim korporacjom. Nie widzę w tym nic dziwnego. Poza tym sądzę, że są w tym szczerzy. Że oni naprawdę tęsknią za gospodarką centralnie planowaną i chcieliby nam tutaj urządzić drugi PRL. Uważają, że jeśli ktoś dużo zarabia, to dlatego, że pieniądze ukradł, odziedziczył albo od kogoś dostał. To przecież sam Mateusz Morawiecki powiedział kiedyś, że PiS „jest również spadkobiercą myśli socjalistycznej i robotniczej". Ktoś kiedyś trafnie zauważył, że gdyby za transformację gospodarczą po 1989 r. wziął się Jarosław Kaczyński z PiS, to właściwie nic by się nie zmieniło. Wymieniono by tylko ludzi.

Zwolennicy obecnego kierunku ekonomicznego uważają, że nie kopiują PRL, ale działają zgodnie z zasadami tzw. nowej ekonomii, która zakłada między innymi możliwość zadłużania się bez końca. Może jest w tym trochę racji?

Ta nowa ekonomia pojawiła się po raz pierwszy już w latach 30. XX w. za sprawą Johna Maynarda Keynesa, który był zwolennikiem wpuszczania na rynek pustego pieniądza w celu stymulowania popytu. Skończyło się to bardzo wysoką inflacją i bezrobociem w latach 70. Wtedy doszli do głosu monetaryści, którzy wskazywali, że dług nie powinien być tak wysoki, podatki powinny być niższe, a państwa nie powinno być za wiele w gospodarce. Niestety, nowe pokolenie ekonomistów nie ma tamtych doświadczeń i wraca do tezy o zadłużaniu się bez końca. Tymczasem gdyby dobrobyt można było osiągnąć po prostu dzięki drukowaniu pieniędzy, to już dawno byśmy to wszyscy robili, zamiast ciężko pracować. Na razie mamy powrót wysokiej inflacji właściwie na całym świecie i w związku z tym zwolennicy nowej ekonomii jakby chwilowo zamilkli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Poniedziałek – piątek:

od 7:30 **Polska na dzień dobry**
Poranne rozmowy na dobry początek dnia

od 9:30 **Dzień z Republiką**
Konferencje na żywo, najciekawsze materiały i komentarze

od 15:20 **Republika po południu**
Ciekawi goście i burzliwe dyskusje

od 17:15 **Wolne Głosy**
Komentarze aktualnych wydarzeń

18:30 **Dzisiaj**
Główne wydanie serwisu informacyjnego

REPUBLIKA

Jeszcze więcej **informacji**
Jeszcze więcej **prawdy**
w Telewizji Republika

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl e77d6b1577

Ciągłość państwa czy awantury?

Marek Jurek

„Anatomia władzy" nie kreśli właściwie wprost wizji rządów, których oczekuje po obaleniu władzy Prawa i Sprawiedliwości. Ale kształt tych rządów wydaje się jasny: chodzi o znalezienie dla nowej liberalno-konserwatywnej centroprawicy optymalnego miejsca w obozie liberalnym

Anatomię władzy i nową prawicę", nową książkę mojego przyjaciela Aleksandra Halla, zaczynałem czytać z nadzieją. O jego poprzednią pracę, „Złą zmianę", posprzeczałem się z paroma kolegami z dawnego Ruchu Młodej Polski, ponieważ podzielam główną tezę autora o „rozpadzie politycznej wspólnoty narodu" w ostatnich latach i uważam, że prof. Hall bardzo trafnie proces ten w poprzedniej książce opisał. Miałem więc nadzieję, że „Anatomia władzy i nowa prawica" będzie krokiem w kierunku odbudowy zrujnowanej wspólnoty. Spotkał mnie jednak pewien zawód.

Piszę „pewien", bo być może projekt budowy kolejnej „konserwatywno-liberalnej centroprawicy" pomoże zatrzymać rozpad wojtyliańskiego consensusu, który zapewnił chrześcijański charakter odbudowanej Rzeczypospolitej. W jego zachowaniu dwukrotnie – i za rządów SLD, i potem PO – znaczącą rolę odegrało Polskie Stronnictwo Ludowe. Zwracam na to uwagę, bo consensus (obok porządku konstytucyjnego drugi czynnik trwałości w łatwo zmieniającej się demokracji) jest czymś więcej niż postulowana większość. Żaden Polak, myślący w kategoriach narodowych i państwowych, nie powinien być obojętny na poziom zrozumienia dla dobra wspólnego narodu w partiach, z którymi się nie zgadza i na które nie będzie głosował. Tym niemniej nadzieje na więcej właśnie – perspektywa realizacji po prostu dobra wspólnego narodu i odbudowy jego „politycznej wspólnoty" – oparcia w „Anatomii władzy" nie znajdują.

KONSTYTUCJA TRUDNA DLA WSZYSTKICH

„Zła zmiana", poprzednia książka Aleksandra Halla, miała prawo być antypisowskim pamfletem, bo obiecywała przede wszystkim opis politycznego startu rządów PiS. Oceniała nową władzę i w tym sensie była przestrogą. Po nowej książce oczekiwałem wizji rozwoju Polski formułowanej w perspektywie nieodległych narodowych rozstrzygnięć. Niestety, kluczowym postulatem książki, warunkującym wszystkie pozostałe, jest postulat radykalnych rozliczeń antypisowskich w wypadku zmiany władzy w Polsce. „Naszym celem powinno stać się przywrócenie status quo ante i rozliczenie sprawców zamachu na konstytucyjny ustrój państwa". W tej aprobacie dla postulatu rewanżu autor „Autonomii władzy" w pewnym momencie zaczyna myśleć już nie o status quo ante, ale o kontynuacji wszystkiego, co w ciągu ostatniej dekady widzieliśmy. Najpierw bowiem PO nielegalnie delegowała do Trybunału swoich sędziów-antycypantów (tych „antycypasów", od których zaczął się konflikt o TK, „Anatomia władzy" w ogóle nie wspomina), potem PiS delegował swoich „dublerów". A teraz?

„Wydaje się – pisze Aleksander Hall – że opierając się na konstytucyjnych zapisach, najtrudniej będzie odbudować prawdziwy Trybunał Konstytucyjny". Ta konstytucyjna „trudność odbudowy prawdziwego Trybunału" wynika z tego, że niezależnie od sporu o mandaty dwóch czy trzech sędziów zdecydowana większość z nich ma mandat absolutnie niepodważalny, którego kwestionowanie jest równoznaczne z odmową uznania wyników dwóch wyborów parlamentarnych z siedmiu ostatnich lat. Krótko mówiąc – stanowi otwartą negację porządku demokratycznego. Konstytucyjna konstrukcja Trybunału (dziewięcioletnie mandaty sędziów) zakłada bowiem, że rząd kierujący państwem przez dwie kadencje,

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. ANNA REZULAK/KFP/REPORTER

ALEKSANDER HALL „ANATOMIA WŁADZY I NOWA PRAWICA" ZNAK 2022

dysponujący choćby jednorazową społeczną ratyfikacją swej polityki, może ukształtować solidną większość Trybunału. Potem zaś tak ukształtowany Trybunał może, w ramach porządku konstytucyjnego, odnosząc się do norm konstytucji, chronić najważniejsze zmiany. Tak było przed 2015 r. i tak jest dziś.

„Trudność ustanowienia prawdziwego Trybunału" Aleksandra Halla polega więc i na tym, że nawet w wypadku prób zakwestionowania jego orzecznictwa i korekty (w wypadku spornych miejsc) jego składu Trybunał i tak może w przyszłości – w nowym składzie z większością prawidłowo ukształtowaną w okresie rządów PiS – przeprowadzić sanację wszystkich kwestionowanych wyroków, po prostu może potwierdzić je raz jeszcze. Będzie miał do tego prawo zarówno z punktu widzenia przepisów, jak i logiki konstytucji.

Pośrednio (bo pisząc o planowanej powyborczej rozprawie z Viktorem Orbánem na Węgrzech) ten kłopot opozycji rozwiązuje w „Gazecie Wyborczej" Michał Kokot: „Będą krzyczeć o zamachu stanu, jaki przeprowadza [przejmująca władzę] opozycja, naruszając konstytucję. Kluczowe będzie jednak to, co będzie miała do powiedzenia Komisja Europejska". Aleksander Hall nie formułuje tego w ten sposób, jednak jego żal z powodu trudności spiętrzonych w „konstytucyjnych zapisach" jedynie potwierdza najgorsze prognozy efektów przejęcia władzy przez opozycję.

KONFLIKTY CZASÓW PRZEŁOMU

Profesor Hall – jako bodaj najwybitniejszy w Polsce znawca myśli i polityki gen. de Gaulle'a – doskonale zna Gaullistowską formułę „najpierw Francja, potem państwo, potem prawo". Nie jestem zwolennikiem, a tym bardziej apologetą cezaryzmu, ale w Komisji Swobód Obywatelskich Parlamentu Europejskiego, na posiedzeniu (co w zasadzie było zbiegiem okoliczności), na którym gościli Adam Michnik i Jan Lityński, zacytowałem obficie fragmenty „Permanentnego zamachu stanu", słynnego pamfletu François Mitterranda przeciw początkom V Republiki. Zarzuty stawiane generałowi przez przywódcę francuskiej lewicy brzmiały bardzo podobnie do tych stawianych Prawu i Sprawiedliwości.

Wielokrotnie też w Parlamencie tłumaczyłem, że zakusy radykalnej demokracji przeciw moderującej władzy sądu konstytucyjnego są w państwach demokratycznych czymś normalnym. Taki charakter miały plany zmian w Izbie Lordów za panowania Edwarda VII czy polityka Franklina Delano Roosevelta wobec Sądu Najwyższego. W obu wypadkach moje historyczne sympatie są po stronie konstytucyjnych konserwatystów, przy czym nie chodzi tylko o historię, bo politykę rządów PiS wobec Trybunału Konstytucyjnego od początku krytykowałem. Tym niemniej uważam, że to, co w Unii Europejskiej zarzucano Polsce, nie jest czymś wyjątkowym w demokracji. Przeciwnie, próby spornego prawnie poszerzenia władzy przez rząd często mają miejsce w okresie historycznych przełomów (bo taki charakter miały przecież i brytyjska demokratyzacja przed pierwszą wojną światową, i rządy Nowego Ładu w USA). Warto pamiętać, że tłem rewolty

eprasa.pl e77d6b1577

1968 r. w Niemczech było rozliczanie z nazizmem. Po okupacyjnej denazyfikacji bowiem dopiero pokolenie Niemców wychowane po wojnie chciało się „zmierzyć z przeszłością". Jeszcze później zaczęło się hiszpańskie „rozliczanie z frankizmem", z całym barbarzyństwem tego przedsięwzięcia, pobłogosławionym przez urzędową Europę. Cóż dziwnego w tym, że w Polsce czy na Węgrzech społeczeństwa chcą radykalnych zmian (społecznych właśnie), które nie nastąpiły po oddaniu władzy politycznej przez komunistów?

To pytanie wiele razy stawiałem w Parlamencie Europejskim, na sali plenarnej, ale przede wszystkim w komisjach, gdzie jest trochę więcej szans na autentyczną dyskusję. Z reguły zaczynałem od zastrzeżenia, że oczywiście to prawda, iż rząd nie może wszystkiego tylko dlatego, że wygrał wybory. Ale (wyjaśniałem) opozycja również nie powinna negować oczywistego społecznego mandatu rządu popartego przecież przez miliony wyborców. Mimo tego zastrzeżenia od razu słyszałem: wygrane wybory nie upoważniają do wszystkiego! Mnie do tego nie było trzeba przekonywać, ale koryfeusze lewicowo-liberalnej opinii zachodniej nie mogli zrozumieć, że po pierwsze – wygrane wybory do czegoś jednak upoważniają, a przede wszystkim uprawnione oczekiwania społeczne, które w wyborach zostały wyrażone, zasługują co najmniej na rozważenie i szacunek, a nie na totalną, znieważającą atakowane społeczeństwo negację. Ten prosty demokratyczny postulat przekraczał jednak możliwości poznawcze urzędowych obrońców demokracji.

ALTERNATYWA WYBORCZA CZY POLITYCZNA?

„Anatomia władzy i nowa prawica" kreśli w miarę wyraźnie kontury nowej, postulowanej formacji. W jej centrum znajduje się Polskie Stronnictwo Ludowe, zmieniające się, dzięki przywództwu Władysława Kosiniaka-Kamysza, jednego z najbardziej pozytywnych bohaterów tej książki, w nową ogólnonarodową partię chadecką. Do niej powinni dołączyć liberalni konserwatyści (z książki właściwie wynika, że określenie to może równie dobrze opisywać ich jako konserwatywnych liberałów), tacy jak Kazimierz Ujazdowski czy Ireneusz Raś, formacja Jarosława Gowina i część samorządowców.

Książka nie ukrywa jednak intencji, z jaką projektuje to przedsięwzięcie. Po pierwsze – jest to odpowiedź na wyobcowanie umiarkowanych zwolenników opozycji wewnątrz coraz bardziej skrajnej opozycji. W tym sensie jednak nowy polityczny projekt rozwiązuje ich problemy, nie problemy kraju. Po drugie – chodzi, co gorsza, o rozwiązanie problemu opozycji, która ustawiając się frontem przeciw kulturze narodowej, nawet w warunkach dzisiejszego kryzysu społecznego ma ograniczone szanse na wygraną. Celem jest więc zwiększenie tych szans, wsparcie w walce o władzę tych, od których – w chwilowym wyborczym planie – konserwatywni liberałowie się odcinają. Chodzi o przyciągnięcie do opozycji wyborców, którzy w przeciwnym wypadku na opozycję nie zagłosują.

Mały ustęp „Anatomii władzy" poświęcony premierowi, sugerujący zdolność rzeczywistego dialogu wewnątrz prawicy, to raczej wyjątek potwierdzający nieprzejednanie antypisowski nastrój książki

„Anatomia władzy" nie kreśli właściwie wprost wizji rządów, których oczekuje po obaleniu władzy Prawa i Sprawiedliwości. Ale kształt tych rządów wydaje się jasny: chodzi o znalezienie dla nowej liberalno-konserwatywnej centroprawicy optymalnego miejsca w obozie liberalnym. Ani przez chwilę autor nie rozważa perspektywy odwrotnej: odbudowania porządku politycznego i społecznego poprzez warunkową współpracę z Prawem i Sprawiedliwością. Jedyną bladą sugestią w tym kierunku są zniuansowane uwagi o premierze Mateuszu Morawieckim, o którym prof. Hall pisze, że w lepszych warunkach być może „próbowałby nawiązać cywilizowane stosunki z opozycją", że „miałby ochotę prezentować się jako polityk umiarkowanej prawicy i człowiek dialogu. Na tym chciałby budować swą polityczną przyszłość".

Rzeczy, za które Aleksander Hall może cenić Mateusza Morawieckiego, zupełnie mi nie odpowiadają w polityce premiera: zgoda na uruchomienie „mechanizmu warunkowości" (czyli „nadzoru demokracji") przez Komisję Europejską, aprobata „wspólnotowego" zadłużania Polski, ustawiczne deklaracje poparcia dla budowy armii europejskiej. Choć, owszem, cenię premiera za takie gesty, jak skierowanie do Trybunału Konstytucyjnego genderowej konwencji stambulskiej, czy konkretne kroki, takie jak potępiająca pogardę antypolską deklaracja Morawiecki-Netanjahu czy owocnie rozwijana współpraca europejskiej prawicy, łączenie z uzyskaniem szerokiego poparcia dla polskiego stanowiska w kwestii ukraińskiej na konferencji w Madrycie. Niestety, mały ustęp „Anatomii władzy" poświęcony Mateuszowi Morawieckiemu, sugerujący zdolność rzeczywistego dialogu wewnątrz prawicy, to raczej wyjątek potwierdzający nieprzejednanie antypisowski nastrój książki.

Aleksander Hall trafnie pisze o tym, jak aborcyjny zwrot Platformy Obywatelskiej zmienia charakter opozycji. Ale traktuje to jako „różnicę" niewykluczającą wspólnej walki z rządem. Absolutyzuje bowiem kontrowersje prawne wynikające z radykalizmu rządów PiS. Czy jednak konserwatysta nie powinien widzieć tego odwrotnie (jak zdecydowanie uważam) albo choćby bardziej spójnie (co sugerowałbym mojemu przyjacielowi, Olkowi)? Jeżeli prawo do życia (pierwsze i najoczywistsze z praw, warunkujące korzystanie z pozostałych) może być przedmiotem „kompromisu", dlaczego kompromisu nie można zawrzeć w sprawie Trybunału Konstytucyjnego?

Zakończę wspomnieniem osobistym. Zaraz na początku rządów PiS-owskich, po decyzji o odwołaniu hurtem prawidłowo i nieprawidłowo powołanych sędziów TK, zaprosiłem na naradę kolegów z Zarządu Prawicy Rzeczypospolitej (byłem wtedy jeszcze posłem do Parlamentu Europejskiego i czynnym politykiem), zreferowałem im sytuację i postawiłem proste pytanie: „Zaczyna się rewolucja, to tylko początek, pytanie jest proste: chcecie w tym brać udział czy nie, bo ja nie chcę legitymować awantur, które z tego dla Polski wynikną". Aleksandrowi Hallowi też życzę, by w przyszłości zebrał grono polityków, do których zaadresował swą książkę, i żeby postawił im podobne pytanie, tym razem „o liberalną rewolucję". I żeby odmówił udziału w rewolucyjnym rewanżu i destrukcji opinii prawicowej, bo Polsce potrzeba ciągłości! Politycy myślący w kategoriach narodowych i państwowych o tym zawsze powinni pamiętać, niezależnie od skali niechęci do oponentów czy skali zmian, których oczekują.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

CZY KOŚCIÓŁ POTRZEBUJE REFORMY?

TRAFNA DIAGNOZA STANU WIARY WATYKANU WEDŁUG KARD. MÜLLERA

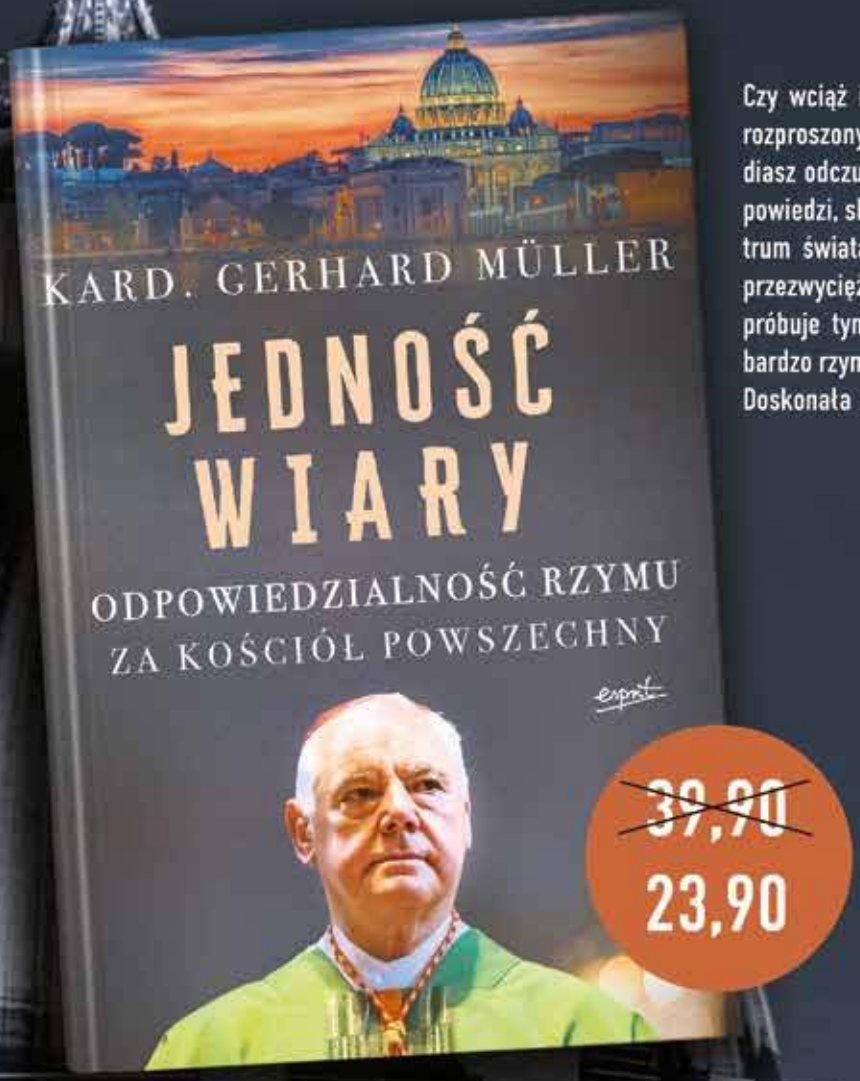

~~39,90~~
23,90

Czy wciąż istnieje jedna wiara katolicka, czy może rozproszony, niespójny, sprzeczny ze sobą rozgardiasz odczuć, sentymentów, opinii? Gdzie szukać odpowiedzi, skoro – można mieć wrażenie – dawne centrum świata duchowego znalazło się w stanie nieprzezwyciężonego kryzysu? Kardynał Gerhard Müller próbuje tym pytaniom stawić czoło. (...) To książka bardzo rzymska i łacińska, a przez to właśnie polska. Doskonała lektura dla tych, którzy szukają prawdy o swoich korzeniach!

Paweł Lisicki
redaktor naczelny „Do Rzeczy"

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy oraz promocje! Zamów książkę na **www.esprit.com.pl** lub telefonicznie: **12 267 05 69**. Darmowa dostawa od 99 zł.

*Kod rabatowy ważny do 1 marca 2022

Odbierz dodatkowy rabat*

5%

na hasło:
DO RZECZY

Po prostu apologeta

ks. Przemysław Artemiuk

Nagroda im. Józefa Mackiewicza, którą otrzymał Paweł Lisicki, skłania mnie do całościowego spojrzenia na apologię uprawianą przez redaktora naczelnego „Do Rzeczy". Bo co do tego, że jego pisarstwo w całej rozciągłości przybiera postać przemyślanej i konsekwentnej apologii, nie mam żadnych wątpliwości

Nie chcę zajmować się wybranymi pracami Pawła Lisickiego. Tym razem spojrzę na pisarstwo redaktora „Do Rzeczy", odnajdując w nim kluczowe cechy jego apologii. Zacznę jednak od kilku wyjaśnień.

CZYM JEST NOWA APOLOGIA?

W środowisku teologów fundamentalnych UKSW w Warszawie od dobrych kilku lat badamy fenomen współczesnej apologii. Nazywamy ją nową, ponieważ po pierwsze, powróciła po półwieczu nieobecności; po drugie, poszerzając obszar aktywności, nie ogranicza się jedynie do obrony chrześcijaństwa, ale pragnie ocalić cywilizację stworzoną; po trzecie, znakomicie rozpoznaje współczesny kontekst; po czwarte, cechuje ją bogactwo form; po piąte, stając wobec nowych pytań, nie uchyla się od odpowiedzi.

Henryk Seweryniak definiuje nową apologię następująco: jest to „dokonywana w aktualnym kontekście czasu intelektualna i praktyczna obrona cywilizacji euroatlantyckiej, ufundowanej na: chrześcijańskiej koncepcji osoby ludzkiej, szacunku dla praw człowieka, uznaniu naturalnej różnicy płci, niepodważalności małżeństwa między kobietą i mężczyzną i stworzonej przez nich rodziny oraz respektowaniu najwyższej wartości życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci". Ja ze swej strony dodam, że nowa apologia podejmuje intelektualną i praktyczną obronę. Jej przedmiotem jest najpierw człowiek, widziany w biblijnej perspektywie stworzenia – grzechu (upadku) – odkupienia przez Chrystusa – danej przez Niego ewangelii życia i zbawienia. Współczesna apologia staje się zatem obroną jego tożsamości, która wyraża się w pamięci historycznej, odpowiedzialności za swoje czyny, nienaruszalności życia oraz kulturze ukazującej drugą przestrzeń.

Obok człowieka kształtującego cywilizację drugim wymiarem nowej apologii jest obrona obecności chrześcijaństwa w świecie. Realizuje się ona w boju o chrześcijańską duszę, uzasadnieniu ewangelicznego katolicyzmu, wykazaniu racjonalności chrześcijaństwa oraz szukaniu przestrzeni dla preewangelizacji.

Trzeci krąg nowej apologii to obrona istotnych treści samej wiary i odparcie zarzutów uderzających wprost. Seweryniak wyróżnia trzy konstytutywne cechy nowej apologii: po pierwsze, broni ona „ogromnego obszaru wyjaśniania i rozumienia świata, człowieka i jego egzystencji"; po drugie, jest odpowiedzią na zmasowany program „nowej lewicy", potężną antyewangelizację i „dyktaturę relatywizmu"; po trzecie, „uprawiają ją przede wszystkim wybitni dziennikarze i publicyści lub naukowcy […] o zacięciu publicystycznym, medialnym, a także dobrze władający piórem lub oswojeni z nowymi mediami politycy konserwatywni". Do takich ludzi z pewnością należy Paweł Lisicki. Kluczowe cechy jego apologii to: kontekstualność, racjonalność, koncentracja chrystologiczna, sakramentalność, werytatywność oraz przywiązanie do Kościoła i jego Tradycji.

KONTEKSTUALNOŚĆ

Nowa apologia dokonuje się w aktualnym czasie i przestrzeni, dlatego rozpoznanie kontekstu chrześcijaństwa okazuje się niezbędnym warunkiem jej skutecznego działania. Lisicki celnie diagnozuje ducha obecnych czasów, odczytując wiodące idee i intelektualne prądy. Zwraca szczególną uwagę na wszelkie działania, które w sposób jawny lub zakamuflowany przyjmują antychrześcijańską postać. W swoich tekstach staje w opozycji do dyktatury politycznej poprawności, która niejednokrotnie ujawnia się w działaniach instytucji narzucających wolę laickiej mniejszości. Nie zgadza się na dekonstrukcję podstawowych pojęć i wartości chrześcijańskich, występuje w ich obronie, uzasadniając wyższość chrześcijaństwa nad filozofią ponowoczesną. Wskazuje także na trwałość i niezmienność katolicyzmu, wobec którego podejmowane są próby rozmywania lub dyskredytacji.

eprasa.pl e77d6b1577

Dostrzega także ekspansywność agresywnego sekularyzmu, który ujawnia się w próbach budowania społeczeństw bez Boga, państw całkowicie zeświecczonych i pozbawionych jakichkolwiek odniesień do chrześcijaństwa. W żywej wspólnocie wiary widzi ratunek dla świata odrzucającego sacrum.

RACJONALNOŚĆ

Obrona rozumu znajduje szczególne miejsce w pismach Pawła Lisickiego. Stając w obronie racjonalności, w pierwszej kolejności postrzega ją jako element konstytutywny ludzkiej tożsamości, który w sposób zasadniczy kształtuje człowieka. Broniąc rozumu, nie tylko występuje przeciw irracjonalizmowi czy fideizmowi, ale akcentując racjonalność, ukazuje, iż człowiek jest w stanie odkryć fenomen swojego istnienia, jego głębię i skończoność. Dzięki rozumowi, jak sugerował Pascal, można ujrzeć zarówno własną wielkość, jak i nędzę. To racjonalność istnienia każe współczesnym apologetom bronić daru życia, od chwili poczęcia do naturalnej śmierci. W końcu rozum skłania do pytań fundamentalnych oraz poszukiwania głębi, którą jest Bóg.

KONCENTRACJA CHRYSTOLOGICZNA

Obrona Mistrza z Nazaretu to kluczowy motyw apologii Lisickiego. Wskazuje on na historyczność Jezusa i Jego boską godność, a także, odrzucając ideologiczne klisze sięgające czasów oświecenia, powtarzane dzisiaj przez nowych ateistów, przekonuje, iż Chrystus jest niezmiennie wiarygodnym Nauczycielem i duchowym Przewodnikiem, któremu można zawierzyć swoje życie i Go naśladować. Redaktor naczelny „Do Rzeczy", podejmując apologię Jezusa, wypracowuje argumentację historyczno-teologiczną. Szukając odpowiedzi na pytanie dotyczące śmierci Jezusa, rekonstruuje najpierw wydarzenia pasyjne. Szczegółowo odtwarza ostatnie dni Chrystusa w szerokiej perspektywie historycznej. Wykazuje się przy tym zarówno doskonałą znajomością literatury przedmiotu, jak i interpretacją źródeł. Pytanie o sprawców śmierci Mistrza z Nazaretu staje się przyczyną rozbudowanej narracji, która służy uzasadnieniu Jego historyczności. Poszukiwania teologiczne znamionuje z kolei pytanie o moment narodzin kultu Jezusa.

Wypracowując uzasadnienie boskości, Lisicki analizuje najpierw koncepcje krytyczne. Zwraca przy tym uwagę na obecne w nich błędne założenia i – co za tym idzie – chybione wnioski. Następnie prezentuje myśl współczesnych biblistów, odtwarzających proces narodzin kultu Jezusa. W końcu wypracowuje własną argumentację, ukazując autorską koncepcję deifikacji Mistrza z Nazaretu.

SAKRAMENTALNOŚĆ

Oznacza odwołanie się do symbolu/tradycji, przywracanie należnego mu miejsca, ukazywanie jego aktualności i ponadczasowości. Lisicki, zwracając uwagę na amnezję charakteryzującą czasy obecne, wskazuje na obecność i znaczenie pamięci. Dzięki niej człowiek wraca do symbolu/tradycji i na nowo odkrywa jego dynamikę. Symbol, dając do myślenia, sprawia równocześnie, że radykalne zerwanie z przeszłością jawi się jako zgubne. Nowożytna modernizacja cechująca się niepamięcią, nie przyniosła ludzkości zapowiadanego szczęścia. Redaktor naczelny „Do Rzeczy", dokonując apoteozy historycznej pamięci, podkreśla, że tylko sięgając do tradycji i inspirując się nią, można osiągnąć podmiotową dojrzałość. Amnezja nie posiada bowiem mocy wyzwolenia.

WERYTATYWNOŚĆ

Dążenie do prawdy ujawnia się w apologii Lisickiego w dwojaki sposób. Najpierw w spojrzeniu na rodzimą przeszłość. Imperatyw prawdy staje się niezbędnym warunkiem budowania odpowiedzialności. Tylko rozliczenie czasów minionych, wyjście z cienia przeszłości, poddanie się oczyszczającemu działaniu veritatis splendor pozwoli w sposób wolny spojrzeć na doświadczenie komunistycznej niewoli, a równocześnie odsłoni zdeformowane oblicze demokracji i niebezpieczne europejskie bezdroża, pełne ponowoczesnych manowców. Werytatywność pozwala również dostrzec wyłaniającą się z europejskiego dyskursu całkiem nową ideologię. Określa się ją jako alethofobię, która nie jest jedynie lękiem przed prawdą. Występując przeciwko religii, ideologia ta przyjmuje postać hybrydową, to znaczy łączy strategie dawne, na przykład bierze oświeceniowe klisze, a równocześnie posługując się polityczną poprawnością, zwalcza wszelkie przejawy religijności, a w szczególności chrześcijaństwo (zwłaszcza katolicyzm). Jako ideologia, co jest paradoksem, występuje przeciwko ideologicznym inklinacjom religii, a przy tym dąży do stworzenia nowego człowieka, pozbawionego wszelkich więzi, zarówno wertykalnych (Bóg – człowiek), jak i horyzontalnych (człowiek – człowiek). Współcześni apologeci, także Paweł Lisicki, broniąc prawdy, odsłaniają zarówno jej potrzebę w kontekście kształtowania odpowiedzialności, jak i lęk przed nią, cechujący ponowoczesny liberalizm, przybierający postać alethofobii.

OBRONA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Jest dla wielu spośród współczesnych apologetów, również dla redaktora naczelnego „Do Rzeczy", istotną przestrzenią apologii, która nie rodzi się w oderwaniu od wspólnoty eklezjalnej, ale w jej sercu. Kościół jest w pierwszej kolejności źródłem wiary, miejscem duchowego wzrostu, przestrzenią, w której spotykają Boga i bliźniego. Ten osobisty wymiar nadaje kierunek ich działaniom. Obrona Kościoła staje się najpierw apologią ad intra. Chodzi tutaj o szczególny rodzaj uzasadnienia, które będzie zarazem zaproszeniem i prezentacją wnętrza eklezjalnej budowli. George Weigel nazywa to podróżą do środka, która za punkt wyjścia ma nie zewnętrzny ogląd katedry, ale poznawanie tajników kryjących się za ścianami. Metafora odkrywania wnętrza świątyni to formułowanie argumentacji ad intra, obrona istoty Kościoła dla samego siebie, szukanie niezbędnych racji, by można było budować własną pewność wiary. Redaktor naczelny „Do Rzeczy" podejmuje również apologię ad extra, która oznacza obronę Kościoła wobec zewnętrznych zarzutów. Ich rozpoznanie, charakterystyka to pierwszy i istotny rys obronnej argumentacji. Formułowanie własnych racji stanowi kolejny krok. Myśląc o obronie Kościoła, nie można zapomnieć o jego Tradycji. Ten element wyraźnie wybrzmiewa w apologii Pawła Lisickiego.

Apologia uprawiana przez redaktora naczelnego „Do Rzeczy" jest logiczna, odważna i niepoprawna politycznie. Lisicki, niczym biblijny Daniel, broniąc katolickiej wiary i cywilizacji ufundowanej na chrześcijaństwie, niejednokrotnie wchodzi do jaskini lwów. Nie boi się jednak konsekwencji swojej działalności. Wie bowiem, że nie o jego rację tutaj chodzi, ale o „sprawę, którą reprezentuje i z powodu której istnieje".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem na Wydziale Teologicznym UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.

eprasa.pl e77d6b1577

Chińscy mediatorzy

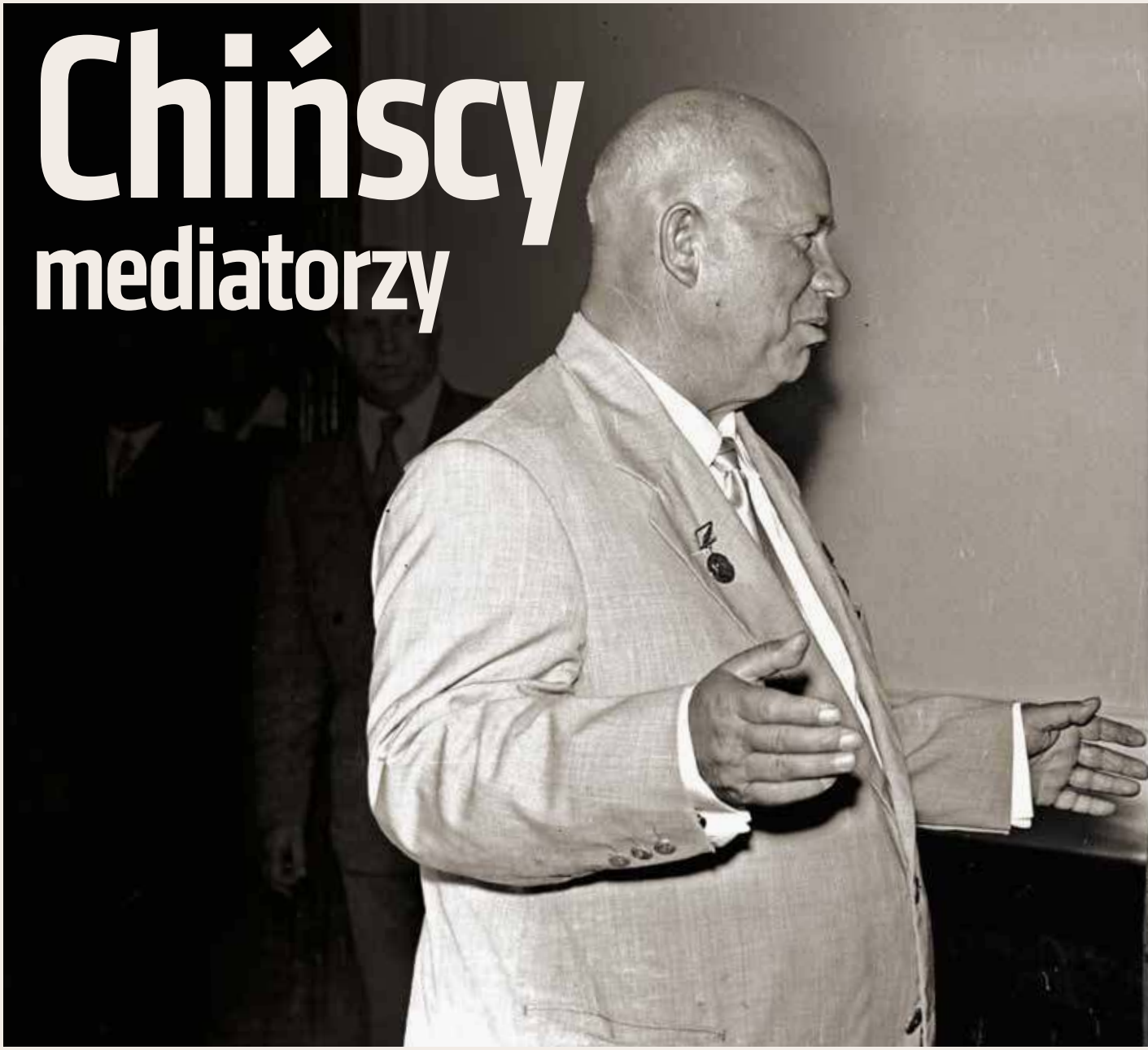

Sebastian Ligarski

W sprawie napięcia na linii Rosja – Zachód przewija się wątek działań dyplomatycznych podejmowanych przez Chiny. Warto zatem wspomnieć o zaangażowaniu Chin w rozwiązania innego konfliktu, do którego doszło w Polsce w październiku 1956 r.

W październiku 1956 r. Władysława Gomułkę interesowało tylko jedno stanowisko – I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Po latach odsunięcia od władzy, zamknięcia w Miedzeszynie, w więzieniu należącym do Departamentu X MBP, gdzie próbowano zmontować przeciwko niemu proces, wracał do bieżącej polityki, rozgrywając politycznie dwie partyjne frakcje w łonie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – natolińczyków (przeciwnicy reform) oraz puławian (zwolennicy reform) – które na gruzach postalinowskiej i pobierutowskiej Polski walczyły o władzę. Gomułka zdawał sobie sprawę, że aby cel osiągnąć, musi nie tylko umiejętnie zdobyć sobie przychylność koterii, lecz także nade wszystko zyskać akceptację Moskwy. A ta nie była chętna do stawiania na niego.

Historyk, Robert Spałek, pisał o stosunkach Gomułki z Sowietami: „W kontaktach z Sowietami Gomułka chciał i musiał lawirować. Po stokroć składał publicznie różnego rodzaju werbalne hołdy, aż do znudzenia powoływał się na przyjaźń polsko-sowiecką, ale w kuluarach wywalczył autonomię partii. Uzyskał samodzielność w prowadzeniu polityki wewnętrznej i respektowaną przez Moskwę niezależność

eprasa.pl e77d6b1577

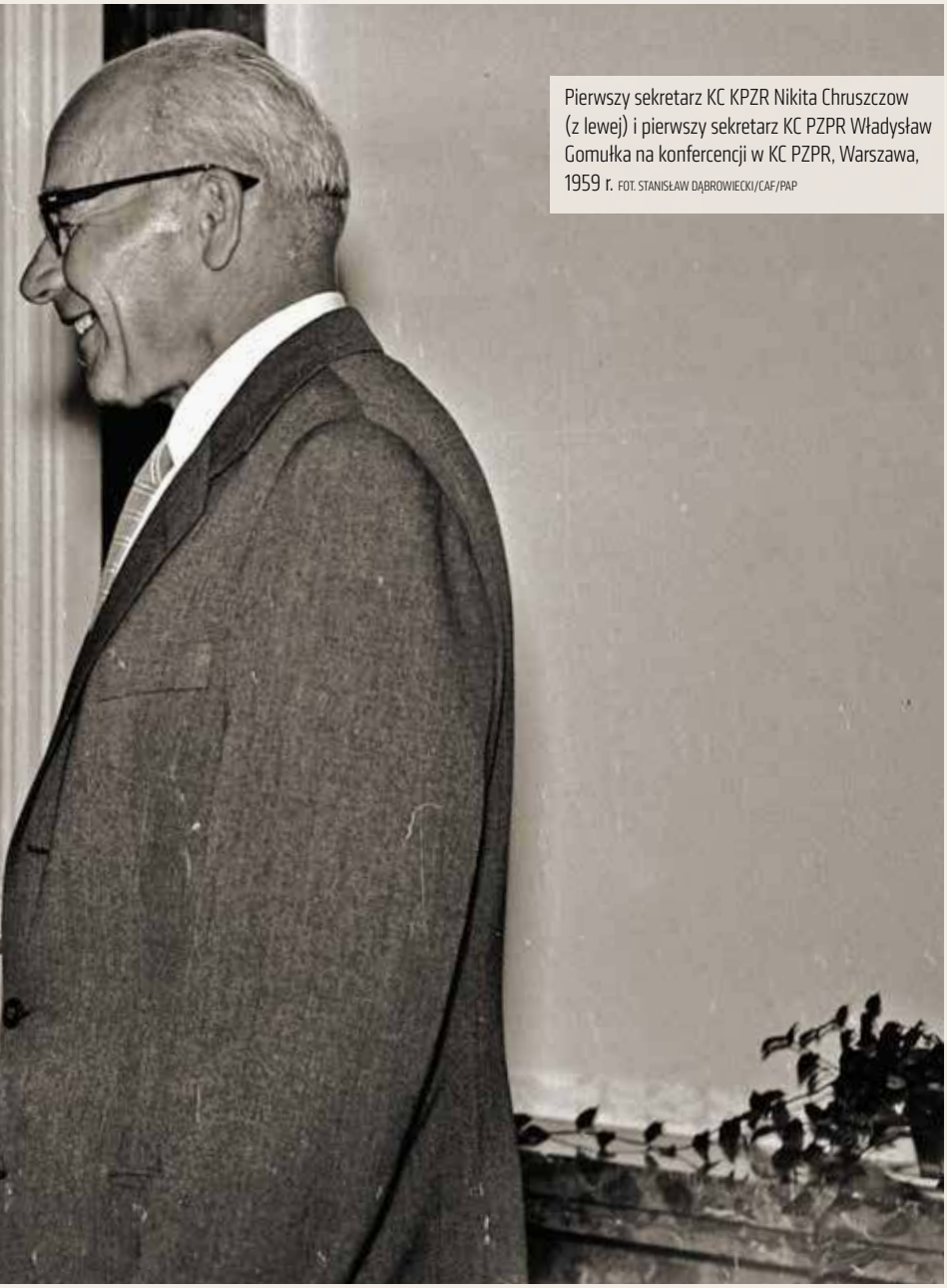

Pierwszy sekretarz KC KPZR Nikita Chruszczow (z lewej) i pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka na konfercencji w KC PZPR, Warszawa, 1959 r. FOT. STANISŁAW DĄBROWIECKI/CAF/PAP

kadrową. Inna rzecz, że per saldo polityka »Wiesława« nieodmiennie była zbieżna z interesami sowieckimi. Wymagał on od Moskwy zrozumienia kilku składowych polskiej specyfiki narodowej – niechcianych, ale koniecznych dla rozwoju państwa i utrzymania władzy. […] I jeszcze jedno. Gomułka nie przyzwalał na obcesowy nacisk Sowietów na siebie. Zapowiedział to zaraz po powrocie do władzy: »Jeżeli decyzje mają być podejmowane pod groźbą użycia siły, to ja się nie nadaję«".

CHRUSZCZOW Z GOMUŁKĄ

19 października 1956 r. doszło do słynnego spotkania Władysława Gomułki i Nikity Chruszczowa w Warszawie, najpierw na lotnisku Okęcie, a następnie w Belwederze. Pełna emocjonalnych sformułowań, krytycznych sytuacji rozmowa odbywała się w tle antysowieckiego nastawienia społeczeństwa oraz dwóch sowieckich jednostek zmierzających do Warszawy z Dolnego Śląska i ze Szczecina. Konstanty Rokossowski, sowiecki marszałek Polski, wydał rozkaz przegrupowania jednostek polskich w Warszawie. Sytuacja groziła wybuchem niekontrolowanych walk i interwencją sowiecką.

Chruszczow zarzucił rządzącym, że chcą oderwać ich od swoich wojsk w Niemczech Zachodnich oraz usunąć z Biura Politycznego popieranych przez Moskwę m.in. Rokossowskiego, Zenona Nowaka, Franciszka Mazura i Franciszka Jóźwiaka. Padło też nazwisko Edwarda Gierka. Sowieci byli przekonani, że Gomułka próbuje postawić ich przed faktami dokonanymi, co oznaczało w konsekwencji brutalną ingerencję w sprawy polskie, czyli inwazję wojsk sowieckich. Chruszczow zarzucał, że członkowie Biura Politycznego KC PZPR chcą popsuć przyjaźń z ZSRS, i twierdził, że nie powinni tego robić, tym bardziej że – jak mówił Chruszczow – „Nigdy nie wtrącaliśmy się do waszych spraw", na co Gomułka ripostował: „Chodzi o to, że skoro nie wtrącaliście się, to niech wszystko zostanie po staremu i teraz też się nie wtrącajcie". Ponadto I sekretarz KC KPZR oskarżył Gomułkę o zaognianie sytuacji i nieuzasadnione podniesienie sprawy przyjazdu sowieckiej delegacji jako ingerencji w polskie sprawy. Gomułka jednoznacznie stwierdził, że jest to ingerencja, Chruszczow zaś ponownie oskarżył Gomułkę o wiarołomstwo, stwierdzając, że z jednej strony mówi on o przyjaźni, a z drugiej podburza naród przeciwko ZSRS. Jak pisał po latach Roman Zambrowski, w tym momencie „Gomułka stracił panowanie nas sobą, zapomniał się i przeszedł na język polski, mówił szybko, jak w transie, w kącikach ust wystąpiła mu piana, ktoś zaczął tłumaczyć, ale nie nadążał. Chruszczow bezradnie mu się przyglądał, daremnie prosząc, aby przeszedł na rosyjski. Wreszcie ogłoszona została która przerwa".

Po przerwie kontynuowano ostrą polemikę, w której Gomułka zaatakował nieżyjącego Bolesława Bieruta, którego bronili Chruszczow i Wiaczesław Mołotow. W dalszej części tej niezwykle emocjonalnej i pełnej wzajemnej niechęci rozmowy obie strony przerzucały się argumentami dotyczącymi wydarzeń w Polsce. W końcu Chruszczow skapitulował. Choć żadnego formalnego porozumienia nie zawarto, to delegacja sowiecka opuściła Belweder ok. godz. 1 w nocy i rano 20 października 1956 r. odleciała do Moskwy. Informacji z Chin jeszcze nie było.

Chińczycy wiedzę o tym, co działo się w Polsce, czerpali głównie z dwóch źródeł – z raportów chińskiej ambasady oraz od dziennikarzy agencji Xinhua (Nowe Chiny). Jak wynika z badań dwóch chińskich historyków, Shena Zhihua i Li Denhui, Chińczycy jeszcze 20 października 1956 r. nie

eprasa.pl e77d6b1577

zdawali sobie sprawy z tego, że Chruszczow groził Polsce interwencją zbrojną, choć już 19 października ambasada ChRL informowała swoje ministerstwo spraw zagranicznych o niespodziewanej wizycie członków sowieckiego politbiura w Warszawie, napiętej sytuacji oraz pogłoskach o maszerujących na Warszawę dywizjach sowieckich z NRD i ze Śląska. Rzeczywiście 19 października na ulicach Warszawy pracownicy ambasady chińskiej zaobserwowali niesione przez progomułkowskich demonstrantów transparenty z napisami: „Mamy poparcie Mao Zedonga". Jak pisali Shena Zhihua i Li Denhui, problem nie leżał w tym, że przesłane do Pekinu informacje były niesprawdzone, „lecz w tym, że MSZ ChRL otrzymało tę depeszę 20 października o godz. 17.20, a odszyfrowało ją dopiero następnego dnia rano". Wynikało z tego, że gdy Chruszczow opuszczał Polskę i wstrzymywał sowiecką armię, w Chinach Mao nie miał jeszcze pojęcia o tym, co się dzieje w Polsce i jakie decyzje podejmują polscy i sowieccy przywódcy.

Kolejne telegramy wysyłały do Chin agencja Xinhua i ambasada w miarę zdobywania informacji, m.in. od ambasadora sowieckiego w Polsce Pantalejmona K. Ponomarenki. Co ciekawe, analizy przesyłane do Mao nie wspominały o grożącej Polsce interwencji. Chiński przywódca miał się o tym dowiedzieć z depesz zachodnich agencji prasowych, które w alarmistycznym tonie informowały swoich mocodawców i opinię publiczną o toczącej się w Polsce rebelii, o otoczeniu Warszawy przez wojska sowieckie oraz groźbie byłego już I sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba o zerwaniu wszystkich rozmów z Sowietami, co miało skłonić Chruszczowa do podjęcia decyzji o wstrzymaniu interwencji. Zatem 20 października, w momencie, gdy Mao Zedong zapoznawał się z informacjami napływającymi różnymi drogami z Polski, Chruszczow na razie zrezygnował z interwencji zbrojnej, natomiast szykował spotkanie z przywódcami bratnich krajów w Moskwie, w tym z delegacją Komunistycznej Partii Chin. Oficjalne zaproszenie wysłano 21 października, a samo spotkanie miało się odbyć dwa dni później. Chruszczow skłaniał się ku rezygnacji z interwencji, zachowaniu wstrzemięźliwości i czekaniu, a Wiaczesław Mołotow namawiał do akcji zbrojnej w Polsce.

ROLA ROZJEMCY

Chińczycy zachowywali spokój, starając się odgrywać rolę rozjemcy i wskazywać obu państwom drogę do uniknięcia zdecydowanych rozstrzygnięć. Metodą była mediacja, osiągnięcie kompromisu i jednomyślności przez państwa komunistyczne. Celem – powstrzymanie hegemoni ZSRS i ustanowienie równowagi pomiędzy dwoma komunistycznymi mocarstwami. Chińskie władze starały się wskazać drogę rozwiązania konfliktu, z jednej strony krytykując ZSRS za „wielkomocarstwowy szowinizm", z drugiej wskazując KC PZPR wzięcie pod uwagę całokształtu sytuacji. Delegacja chińska miała polecieć na spotkanie, rozmawiać z oboma stronami konfliktu, ale osobno. Trójstronnych rozmów nie zamierzano prowadzić. O decyzjach chińskich władz Mao Zedong poinformował w osobistej rozmowie ambasadora ZSRS w Chinach Pawła Judina. Jak pisali Shena Zhihua i Li Denhui, Mao Zedong stwierdził, że wyglądało na to, iż Polacy nie zamierzali wycofywać się z obozu socjalistycznego, nie mniej byli zdecydowani na przeprowadzenie stosownych zmian w swoim Biurze Politycznym.

Przywódca Chin miał spytać Judina, co ZSRS zamierzał w tej sytuacji czynić, i nie czekając na odpowiedź, sam stwierdził, że są dwa wyjścia z tej sytuacji – miękkie i twarde. Pierwsze oznaczało perswazję, drugie – interwencję zbrojną. Jeśli perswazja by zawiodła, to pozostałyby jeszcze ustępstwa i Mao Zedong jednoznacznie stwierdził w czasie tej rozmowy, że Chiny optują za tym rozwiązaniem. Judin natychmiast poinformował Moskwę o stanowisku Chin. Co ciekawe, z punktu widzenia prowadzenia dyplomacji wysyłane do Chin alarmistyczne oceny sytuacji w Polsce po 21 października przez ambasadora Wang Bignanga oraz oceny agencji Xinhua diametralnie się od siebie różniły, co spowodowało reakcję chińskiego MSZ, które przyznało rację… agencji i uczuliło ambasadora, aby przekazywał „obiektywną i wszechstronną ocenę sytuacji". 23 października Chruszczow zatelefonował do Gomułki i poinformował go, że uznaje wyniki VIII Plenum KC PZPR, a przybyłą do Moskwy delegację chińską – że zaakceptował wybór Gomułki i dalsze zmiany w polskim kierownictwie.

CHIŃSKIE SPOTKANIA

Do Moskwy przylecieli Liu Shaoqi i Deng Xiaoping z jasnymi wytycznymi od Mao. Co prawda, podczas rozmów uznano, że usunięcie z Biura Politycznego Rokossowskiego było niepotrzebną zemstą, lecz kierunek działań polskich władz obie strony akceptowały, upewniając się, że nie było mowy o złamaniu jedności obozu socjalistycznego.

27 października Mao i Zhou Enlai spotkali się z ambasadorem Polski w Chinach Stanisławem Kirylukiem i wyartykułowali mu swój pogląd na stosunki polsko-sowieckie. Uznając raz jeszcze przywództwo Gomułki, jednoznacznie dali do zrozumienia, że żądania wycofania wojsk sowieckich z Polski byłyby zbyt daleko idącym postulatem i mogłyby zachęcić inne kraje do stawiania podobnych żądań, a to mogłoby rozbić jedność obozu socjalistycznego. Nietrudno było w tych rozmowach dostrzec już echa wydarzeń na Węgrzech.

Dwa dni później Mao Zedong jeszcze bardziej zradykalizował swoje poglądy i sugerował Chruszczowowi, aby ten w sposób równouprawniony traktował kraje sojusznicze, dał im więcej swobody, zasugerował opuszczenie przez wojska sowieckie tych państw w przyszłości, co spowodowałoby zacieśnienie więzów pomiędzy ZSRS i KPCh. Chruszczow miał przystać w końcu na te propozycję i 30 października 1956 r. obie strony wydały wspólny komunikat na temat stosunków w obozie komunistycznym, w tym rezygnacji z ingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw, ich równouprawnienia i samodzielnego decydowania w kwestiach ekonomicznych i organizacyjnych. Już kilka dni później to oświadczenie straciło na aktualności w związku z interwencją sowiecką na Węgrzech. KPZR i KPCh nie miały żadnych rozbieżności w postrzeganiu tej sprawy: według nich na Węgrzech doszło do kontrrewolucji, a ją można było zdławić tylko siłą.

O rozmowach pomiędzy Chińczykami a Sowietami Gomułka dowiedział się – jak wspomniałem – 23 października. Dzień później stanął przed prawie półmilionowym tłumem w Warszawie i wygłosił, jak to określił Andrzej Werblan, „przemówienie narodowe", Chińczycy zaś odebrali to jako „niezwykłą mądrość". Był bohaterem, nadzieją na reformę systemu. A ona właśnie się skończyła wraz z jego słowami: „Do roboty, towarzysze! Dość wiecowania, czas do pracy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.

eprasa.pl e77d6b1577

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

ARDENY '44 – SENSACYJNY WYWIAD Z WETERANEM US ARMY

Soraya Kuklińska – **Kłusownicy z Waffen-SS w Warszawie**
Piotr Zychowicz – **Tajemnica śmierci Dirlewangera**
Arkadiusz Karbowiak – **Płonąca stodoła w Chatyniu**
Mikołaj Iwanow – **Bierut kontra Gomułka**
Sławomir Koper – **Kobiety Papcia Chmiela**
Javier Olivera Ravasi – **Rzeź katolików w Meksyku**
Jacek Bartosiak – **Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Terror wielkich korporacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e77d6b1577

Piotr Semka

„Chłopak o płomiennym spojrzeniu”

25 stycznia 2022 r. zmarł Przemysław Górny. Działacz antykomunistyczny i założyciel Ligi Narodowo-Demokratycznej. Dożył sędziwego wieku 89 lat. Należał do tych uczestników oporu wobec PRL, których szczyt aktywności przypadł na lata 50. i 60. Potem przez długi czas był postacią zapomnianą

Przemysław Górny w okresie studiów na UW, koniec lat 50. FOT. IPN

Należał do tzw. pokolenia młodszych braci. Byli to ludzie urodzeni między 1930 a 1933 r., którzy w czasie okupacji mieli od 10 do 14 lat i z racji wieku nie mogli uczestniczyć w walce z okupantem niemieckim. A jednocześnie byli już na tyle dojrzali, by rozumieć dramat, który przeżywała wówczas Polska miażdżona najpierw przez hitlerowców, a potem stalinowców.

Urodził się w Warszawie w rodzinie robotnika Zakładów Metalowych „Szpotański i Spółka” w Kaczym Dole, wówczas jeszcze poza granicami Warszawy. Ojciec był aktywnym działaczem narodowych organizacji robotniczych, w związku z czym w czasie wojny w naturalny sposób trafił do konspiracji Narodowej Organizacji Wojskowej. Aresztowany przez gestapo zginął w 1944 r. w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Syn szczęśliwie przetrwał nalot gestapowców na mieszkanie i początkowo trafił do domu dziecka. Tam odnalazła go matka, która samotnie wychowywała go po wojnie w skrajnie ciężkich warunkach.

Gdy był w liceum, za wielokrotne demonstracje przeciwko narzuconemu systemowi miał spore kłopoty. Zmieniał szkoły, na szczęście pomogła mu pasja sportowa. Zaczął trenować boks i w 1951 r. zdobył tytuł młodzieżowego wicemistrza Polski w tej dyscyplinie. W tamtych czasach sukcesy sportowe bardzo ułatwiały przyjęcie na studia i w 1954 r. został przyjęty na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Odmówił jednak wstąpienia do Związku Młodzieży Polskiej, co znów spowodowało polityczne kłopoty. Przez pewien czas władze Uniwersytetu Warszawskiego rozważały nawet wyrzucenie go ze studiów, ale uratowało go wstawiennictwo prof. Stanisława Ehrlicha. Jak mówi historyk Wojciech Muszyński: „Profesor Ehrlich w dość sprytny sposób wyciągał młodego studenta: perswadował hunwejbinom z ZMP, że, owszem, Górny jest reakcją, ale »jeden endek może być«”.

Z WIECU NA WIEC

Interwencja Ehrlicha pomogła przetrwać najgorszą fazę stalinizmu na uczelniach. Przemysław Górny był w tym czasie aktywny w Zrzeszeniu Studentów Polskich i kręgach duszpasterstwa akademickiego. Nic dziwnego, że to on podczas wydarzeń października 1956 r. był współorganizatorem powitania prymasa Stefana Wyszyńskiego na dziedzińcu Pałacu Prymasowskiego przy ul. Miodowej w Warszawie.

Już wcześniej, latem 1956 r., Przemysław Górny był jednym ze współorgani-

eprasa.pl e77d6b1577

zatorów Związku Młodych Demokratów. ZMD pełnił wówczas funkcję podobną do tej, którą w latach 1980–1981 odegrało Niezależne Zrzeszenie Studentów, i był jednym z katalizatorów Października '56. Organizacja przeżywała swój rozkwit w czasie gorącego października i wtedy Górny poznał osobiście Jacka Kuronia. Jedna z ówczesnych studentek Uniwersytetu Warszawskiego zapamiętała go w tamtych tygodniach jako „chłopaka o płomiennym spojrzeniu, pędzącego z jednego wiecu na drugi".

Z czasem ZMD zgromadził parę osób, które później zaznaczyły się w działaniach na rzecz niezależnych środowisk od komunistycznej władzy, takich jak późniejszy opozycjonista mec. Karol Głogowski z Łodzi czy prof. Ryszard Bender, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Pisarz Marek Nowakowski, aktywny uczestnik tamtych wydarzeń, wspominał po latach: „Najsilniejszą osobowością z tego grona »niepokornych« był Przemek Górny, który już w gimnazjum organizował niepodległościowe kółka młodzieży i zaczynając studia na Uniwersytecie Warszawskim, był wytrawnym, doświadczonym konspiratorem. W październiku 1956 r. zakładał Związek Młodzieży Demokratycznej, przemawiał na studenckich mityngach i zasłynął jako płomienny mówca. Była w nim wiara, odwaga. Polemizował z naprawiaczami socjalizmu, przedstawiając program niepodległej demokracji. Słuchaliśmy go z aprobatą, oklaskiwaliśmy. Na pewno czegoś nie pozwalał nam zapomnieć, dzięki niemu coś w naszych głowach tliło się i nigdy nie zgasło".

Gdy tylko skończyła się październikowa gorączka polityczna, ZMD został poddany powolnemu osaczaniu przez SB. Zaczęły się przesłuchania, próby nacisków, coraz więcej działaczy odsuwało się od bieżącej aktywnej działalności. Górny i jego koledzy z ZMD próbowali jeszcze podczepić swoją organizację pod formalnie niezależne od PZPR tzw. sojusznicze Stronnictwo Demokratyczne. Jednak – jak się rychło okazało – SB przejęła patronat nad młodzieżową organizacją po to jedynie, by całą organizację zlikwidować. Górny należał do tych ludzi, którymi SB zaczęła się interesować. Takie same problemy miał Lechosław Goździk – gwiazda październikowych wieców w fabryce FSO na Żeraniu.

Górny nadal studiował, ale już bardzo uważał, by nie afiszować się z politycznym aktywizmem. Nie znaczy to, że poniechał czynnej walki z komunizmem. Impulsem do kolejnej fazy działalności był pobyt latem 1957 r. w klasztorze na Wiktorówkach koło Rusinowej Polany, gdzie centralną postacią tego środowiska był marianin o. Leon Szeliga. Zjeżdżało tam wielu wypuszczonych z więzień działaczy Stronnictwa Narodowego, m.in. Wiesław Chrzanowski, Leon Mirecki i tzw. Młodzi, czyli Marian Barański czy Józef Kossecki. Górny przez pewien czas wahał się pomiędzy wybraniem powołania zakonnego a działalnością konspiracyjną. Jednak w toku dyskusji na Rusinowej Polanie z Kosseckim i Barańskim pojawiła się idea zorganizowania konspiracyjnej grupy nawiązującej do tradycji narodowej.

FERMENT W EPOCE ZASTOJU

W końcu 1957 r. powstaje Liga Narodowo-Demokratyczna. Jej założycielami są młodzi ludzie, którzy chcą nawiązywać do tradycji endeckiej. Oprócz Górnego tworzą ją m.in. Henryk Goryszewski, Henryk Klata, Marek Barański, wspomniany już Józef Kossecki i Janusz Krzyżewski, późniejszy ekonomista, członek Rady Polityki Pieniężnej. Pierwszym szefem Ligi był Walenty Majdański. Liga zaczęła skupiać młodzież z Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej. W swoim programie pisali: „Naszym zadaniem jest: a) kształtowanie kadry działaczy politycznych, zdolnych do samodzielnego realizowania programu Ligi w każdych warunkach, w jakich się znaleźli, b) rozbudowa sieci organizacyjnej opartej na kolejnych stopniach hierarchii, c) studia nad sytuacją polityczną oraz praca nad dostosowaniem polskiej myśli politycznej do zmienionych warunków, d) stopniowe przenikanie do wszystkich organizacji jawnie działających i do aparatu wojskowego".

Działalność Ligi przypadła na okres nazywany często małą stabilizacją. Społeczeństwo po koszmarze stalinizmu pozytywnie przyjęło koniec masowego terroru, a młode pokolenie bądź uległo konformizmowi, bądź uciekało w dość banalne rozrywki i aspirowało do prześnego konsumeryzmu w granicach, które oferowała rzeczywistość PRL. Na tym tle Liga Narodowo-Demokratyczna była prawdziwym ewenementem. W jej programie znalazł się zapis: „Będziemy dążyć do odrodzenia moralnego narodu przez zwalczanie neomaltuzjanizmu, pijaństwa, seksualizmu, nieuczciwości, prywaty i nieodpowiedzialności. Poprawę bytu narodu należy uzyskać przez zmianę ustroju gospodarczego i politycznego. [...] Cywilizacja polska zgodnie z nauką Feliksa Konecznego musi być cywilizacją łacińską".

Młodzi konspiratorzy wzorowali się na pierwszej Lidze Narodowej z lat 1893–1928, która zbudowana była na zasadzie kolejnych stopni wtajemniczenia. W praktyce struktura LND zbudowana była na sześciu–siedmiu osobach – założycielach, z których każdy zakładał własne grupy autonomiczne nieznające się wzajemnie. Planowali wydawanie własnego, drukowanego w konspiracji pisma. Wbrew jednak dość wyraźnym zaleceniom, aby aktywiści LND nie podejmowali jawnych wystąpień, Przemysław Górny zwrócił na siebie uwagę, przemawiając do warszawiaków, którzy gorąco witali wiceprezydenta USA Richarda Nixona w czasie jego wizyty w Warszawie w sierpniu 1959 r. Czy wtedy zaczęła się jego inwigilacja?

W maju 1960 r. agenci SB rozbili spotkanie aktywu kierowniczego Ligi i aresztowali wszystkich liderów – Górnego, Goryszewskiego, Klatę i Krzyżewskiego. O zlikwidowaniu LND informował wówczas nawet paryski dziennik „Le Monde". Górny w trakcie przetrzymywania na Rakowieckiej był bity.

Henryk Klata, poddawany śledztwu razem z Górnym, wspominał: „Przemek po każdym wezwaniu na przesłuchanie pluł krwią po ciosach esbeków. Odmawiał odpowiedzi na pytanie i tym doprowadzał bezpieczniaków do ślepej furii".

W maju 1961 r. doszło do procesu LND, nienagłaśnianego przez władze PRL zainteresowane utrzymywaniem klimatu „małej stabilizacji". Zarzut to stworzenie nielegalnej organizacji, która miała mieć na celu obalenie ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Proces ujawnił, że choć większość zatrzymanych milczała, to władze wiedziały niemal wszystko. Historyk Wojciech Muszyński wyjaśnia: „W czasie śledztwa Kossecki się załamał i wszystkich wydał. Postawa Kosseckiego była tak oburzająca, że nawet prowadzący proces sędzia, dawny AK-owiec, który wydawał wyrok, dał nauczkę Kosseckiemu. Zaliczył wszystkim zatrzymanym okres aresztu na poczet dwuletnich wyroków, a jedynie w wypadku Kosseckiego wymierzy wyrok wyższy o pół roku, aby ten sobie jeszcze trochę posiedział".

NA CELOWNIKU SB

Górny opuścił więzienie, ale nie mógł znaleźć żadnej pracy. Wynajął się do doraźnych niskopłatnych robót. Roznosił renty

eprasa.pl e77d6b1577

i telegramy, a także próbował sił jako przewodnik turystyczny po Warszawie. Ale SB cały czas miała go na celowniku. Gdy tylko udało mu się znaleźć nową posadę, pojawiali się „smutni panowie" z SB i trzeba było szukać kolejnej pracy. W 1964 r. doszło do słynnego napadu na furgonetkę PKO w okolicy Domu pod Orłami w Warszawie. Proces ten zbiegł się z listem Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego do partii. Górny znalazł się wśród setek osób, które zostały aresztowane z okazji tych dwóch wydarzeń. Śledczy wiedząc, że znał on dobrze Kuronia, zachęcali go, by w jakiś sposób powiązał Kuronia z napadem na bank. Gdy Górny odmówił, próbowano zachęcić go do współpracy, podkreślając, że Kuroń ma żydowskie pochodzenie. Gdy ten dalej odmawiał, dziwili się, że on, narodowiec, trzyma z Żydami. W końcu, gdy Górny nie dał się złamać, bezpieka zrezygnowała, ale miał już wtedy za sobą sześć miesięcy pobytu w areszcie.

Kuroń zachował lojalność Górnego w pamięci. Po latach wspominał: „Ciekawe, że o ile poglądy głoszone przez Przemka Górnego wywoływały moją żywą niechęć, o tyle sam Przemek, jego odwaga, żarliwość, i to połatane ubranie budziły moją prawdziwą sympatię. Polemizowaliśmy później ze sobą w czasie różnych dyskusji publicznych i polubiłem go, mam wrażenie, z wzajemnością. Przemek był człowiekiem walki. [...] Po 1965 roku siedzieliśmy kiedyś na Mokotowie w sąsiednich celach. Próbowano go wówczas przesłuchać na okoliczność znajomości ze mną i Karolem (śledztwo dotyczyło »Listu otwartego«). Odmówił wyjaśnień [...]".

W styczniu 1966 r. Przemysław Górny wysłał list do Giedroycia z prośbą o pomoc finansową na rzecz rozpoczęcia kolejnej konspiracji i stworzenia ośrodka opozycyjnego o charakterze narodowym na emigracji. Do dziś nie wiadomo, czy osoba, której przekazano list, zdradziła czy też bez jej udziału znaleziono list na granicy. Górny został zatrzymany w styczniu 1966 r. pod zarzutem prób reaktywacji Związku Młodzieży Demokratycznej. Skazany na karę dwóch i pół roku więzienia w listopadzie 1967 r. został warunkowo zwolniony z zakładu karnego.

Dwa dni później uległ wypadkowi samochodowemu. Ciężko przechodził leczenie. Ułatwiło to komunistycznym władzom usunięcie go ze studiów. Na szczęście po upadku Gomułki i nadejściu Edwarda Gierka udało mu się wznowić studia na UW i uzyskać absolutorium

Demonstracja poparcia dla prymasa Wyszyńskiego po jego powrocie z internowania, listopad 1956 r. FOT. FILMOTEKA NARODOWA

Przemsław Górny, koniec lat 60. FOT. IPN

na Wydziale Prawa. Ale nadszedł wtedy kryzys osobowościowy. Po roku 1970 zaczął się najmroczniejszy epizod życia Górnego. Zbliżył się do ludzi egzystujących na granicy prawa, zatracił się w życiu „z dnia na dzień". Historyk Wojciech Muszyński mówi: „Górny wpadł w złe towarzystwo. Dziś można przypuszczać, że stał się współuczestnikiem planowania jakiegoś włamania. Bardzo ciężko stwierdzić, czy był to efekt związania się Górnego z niewłaściwymi ludźmi czy też była to jakaś prowokacja bezpieki. Faktem było, że wyszedł z więzienia w końcu lat 70.".

Aleksander Hall, który jako działacz opozycyjnego Ruchu Młodej Polski od 1978 r. odwiedzał Warszawę i mieszkanie Wiesława Chrzanowskiego, wspomina, że nazwisko Górnego było wymieniane wtedy z dużą dozą szacunku: „Pamiętam, że Przemysław Górny był człowiekiem, o którym Wiesław Chrzanowski wyrażał się z dużym szacunkiem. Pamiętam jego słowa: »Górny – niezwykle odważny typ ideowca«". Wiesław Chrzanowski sam był ofiarą rewizji, które przeprowadzano w 1961 r. w związku ze śledztwem przeciwko Lidze Narodowo-Demokratycznej. Historyk Jacek Bartyzel, także aktywny wtedy w RMP, pamięta opinie, że Górny przed aresztowaniem uznawał napady i włamania za jakąś formę ekspropriacji, „robinhoodyzmu".

Przez lata 80., po zwolnieniu z więzienia, Górny żył na rencie, trzymając się na uboczu polityki. W 1990 r., mieszkając na Pradze-Południe w dość ubogiej dzielnicy, opiekował się dziećmi z marginesu społecznego. Żył na granicy nędzy. W 1991 r. Jacek Kuroń, wówczas minister pracy, załatwił mu emeryturę specjalną. W lutym 1992 r. został zrehabilitowany podczas procesu, który unieważnił wyroki na członków Ligi Narodowo-Demokratycznej. Spóźnione podziękowanie od Rzeczypospolitej dla konspiratora szarej epoki rządów Władysława Gomułki przyszło w 2006 r. Lech Kaczyński udekorował Przemysława Górnego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

W czasie jednej z debat w Muzeum Powstania Warszawskiego Seweryn Blumsztajn wicenaczelny „Gazety Wyborczej" postawił tezę, że prawica atakuje lewą stronę dawnej opozycji, gdyż zazdrości jej tego, że to kontestatorzy, którzy wyłonili się z myśli marksistowskiej, byli inicjatorami opozycyjnych wystąpień. Tego typu stwierdzenia wynikały z faktu, że takie inicjatywy jak Liga Narodowo-Demokratyczna działały w warunkach ścisłej konspiracji. LND była pierwszą konserwatywną konspiracją po stalinowskiej nocy. Po prostu o takich inicjatywach niewiele widziano. Dziś, dzięki otwarciu archiwów, wiemy nieporównanie więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Geografia i potęga

Stosunki między państwami determinują dwa kluczowe czynniki – potęga i geografia. Ten drugi czynnik jest często ignorowany przez polskich przywódców. W momencie kryzysów międzynarodowych często dla naszego narodu kończy się to w sposób tragiczny.

„Przywódcy uwięzieni są przez teren, który kontrolują – pisze Tim Marshall. – Jego ukształtowanie ogranicza wybory i miejsce do podejmowania działań. Tereny, które zamieszkujemy, od zawsze decydowały o naszych losach. Decydowały o wojnach, polityce, wykreowały mocarstwa, wpłynęły na społeczny rozwój ludności zasiedlającej niemal każde miejsce na ziemi. Wybory przywódców będą zawsze do pewnego stopnia podyktowane przez rzeki, góry, pustynie, jeziora i morza".

Dlatego właśnie Marshall swoją głośną książkę zatytułował „Więźniowie geografii". W książkach tych brytyjski autor przedstawił główne założenia geopolityki światowej. Ukazał, w jaki sposób geografia wpływa na politykę mocarstw: USA, Rosji, Wielkiej Brytanii, Chin, Japonii i krajów Europy Zachodniej. Przedstawił najważniejsze światowe punkty zapalne i tereny rywalizacji.

Jeden z ciekawszych rozdziałów dotyczy Rosji i jej długofalowej strategii. Polski czytelnik rzadko ma okazję zapoznania się z perspektywą naszego wschodniego sąsiada. Marshall pokazuje również, że kraje kontynentalne mają zupełnie inne interesy niż kraje oceaniczne. Tej podstawowej reguły nie potrafili pojąć ani Beck, ani Sikorski, ani Mikołajczyk.

Wniosek z książki jest jasny. Nawet największe supermocarstwa – takie jak Stany Zjednoczone – nie mogą prowadzić polityki wbrew geografii. Najnowocześniejsze technologie i potęga wojskowa USA mogą co najwyżej jedynie załagodzić twarde reguły ustanowione przez Boga i naturę.

To ważna wskazówka dla polskich przywódców, którzy teraz – w dobie kryzysu – muszą podejmować decyzje kluczowe dla przyszłości naszego państwa. Zanim to zrobicie, panowie, przyjrzyjcie się dobrze mapie! Nie popełniajcie błędów waszych poprzedników! ©℗

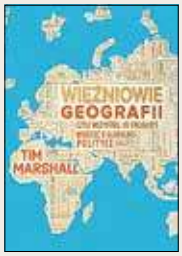

★★★★★★
TIM MARSHALL
„WIĘŹNIOWIE GEOGRAFII"
ZYSK I S-KA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Prawdziwa twarz Skrzetuskiego

Kto z nas nie emocjonował się losami Skrzetuskiego, Zagłoby czy Wołodyjowskiego? Kto nie uronił łzy nad tragedią Podbipięty, który w Zbarażu wypełnił ślub złożony w młodości, a zaraz potem zginął bohaterską śmiercią? Przed oczami bezwiednie stają obrazy z filmu Hoffmana (premiera 12 lutego 1999 r.) lub wyobrażenia z czasów lektury Sienkiewicza.

Armia kozacko-tatarska miała ogromną przewagę nad Polakami i Litwinami. Oblężenie trwało sześć tygodni i obrońcy stopniowo ograniczali obszar obozu warownego. Nie pomogło spalenie kozackich wież oblężniczych, napastnicy sypali wały przewyższające umocnienia obrońców i zasypywali załogę pociskami. Coraz trudniej było poruszać się w obrębie twierdzy i można podejrzewać, że wyłącznie obawa przed rzezią powstrzymywała dowództwo polskie przed kapitulacją. Kilkakrotnie podejmowano próby skontaktowania się z wojskami królewskimi zbliżającymi się od zachodu, jednak wysłannicy wpadali w ręce kozackie i ginęli w męczarniach. Powodzeniem zakończyła się wreszcie misja prowadzona niezależnie przez dwóch wysłanników: Krzysztofa Stapkowskiego i Mikołaja Skrzetuskiego. Można się tylko domyślać, że gdyby Sienkiewicz trafił w kronikach na nazwisko pierwszego z nich, to inaczej nazywałby się główny bohater „Ogniem i mieczem"...

Warto bliżej się przyjrzeć pierwowzorowi bohatera spod Zbaraża. Mikołaj (a nie Jan) Skrzetuski był szlachcicem z Wielkopolski, który większość życia spędził na Ukrainie. W odróżnieniu od swego literackiego odpowiednika prowadził awanturnicze życie, często wchodząc w konflikt z prawem. Najstarsze zachowane informacje na jego temat pochodzą z wyroku sądowego, kiedy to przyszły bohater porąbał szablą jakiegoś szlachcica i porzucił go, nie udzielając pomocy. Podczas wojen sprawował się jednak znakomicie i szybko awansował, co jednak w niczym nie zmieniło jego charakteru. Seryjnie zbierał w sądach kary infamii i banicji, które zgodnie z obyczajami Rzeczypospolitej pozostawały wyłącznie na papierze. Oskarżano go o gwałty i rabunki we wsiach szlacheckich, napady na dwory, zabójstwa niżej urodzonych. W 1667 r. dokonał zajazdu na posiadłość atrakcyjnej i zamożnej wdowy w Wielkopolsce, którą w ten sposób chciał zmusić do małżeństwa! Pierwowzór bohatera Sienkiewicza w niczym zatem nie przypominał „Jezusa Chrystusa w roli oficera jazdy", jak złośliwie podsumował postać Skrzetuskiego Bolesław Prus. Nie zmienia to jednak tego, że pod Zbarażem zasłużył się ogromnie. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Olivier Bault

Politycy uciekają od Marine Le Pen do zyskującego popularność Érica Zemmoura. Le Pen ma też kłopot ze sfinansowaniem kampanii, podczas gdy lider nowej partii Rekonkwista zebrał już miliony euro

Éric Zemmour ma coraz więcej zwolenników i pieniędzy na wybory FOT. TWITTER/ERIC ZEMMOUR

Zemmour kontra

Po szczycie europejskich partii konserwatywnych w Madrycie 29 stycznia, tuż przed odlotem Francuzów do Paryża, doszło do niecodziennej kłótni w ekipie towarzyszącej Marine Le Pen. Rzeczniczka prasowa Zjednoczenia Narodowego miała wypalić do europosła Nicolasa Baya, wiceprzewodniczącego grupy Tożsamość i Demokracja w Parlamencie Europejskim: „Jakie są twoje wartości, Nicolas? Lojalność? Wynoś się, zamiast jeść z koryta tak długo, jak to możliwe!". W relacji francuskich mediów Bay miał odciąć się koleżance: „Nie pytam cię o zdanie, zajmij się swoją pracą, to już będzie coś. Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz. Po prostu się zamknij".

Powodem ostrej kłótni była odpowiedź, której europoseł udzielił tego samego dnia rano dziennikarzowi stacji BFM TV. Ten pytał, czy Bay może zapewnić, że „cokolwiek się stanie", będzie stał u boku Marine Le Pen do 10 kwietnia, czyli do dnia, w którym ma się odbyć pierwsza tura wyborów prezydenckich we Francji. Europoseł nie wypowiedział się jednoznacznie. I to rozwścieczyło Marine Le Pen oraz jej najbliższych współpracowników.

LE PEN TRACI LUDZI

Kontekstem tej kłótni jest fala odejść ważnych partyjnych działaczy z obozu Marine Le Pen. Przeszli na stronę jej głównego konkurenta w pierwszej turze, prawicowego publicysty i eseisty Érica Zemmoura. A Bay pełni funkcję rzecznika kampanii prezydenckiej Marine Le Pen. Awantura na lotnisku skończyła się dramatycznym apelem Le Pen do działaczy partii – poprosiła, by ci, którzy chcą odejść, zrobili to teraz, a nie zwlekali do ostatniej chwili. Jej zdaniem takie zachowanie byłoby nieuczciwe wobec wyborców.

Kogo miała na myśli? W kuluarach mówiło się właśnie od kilku dni o możliwości odejścia wiceprzewodniczącego grupy Tożsamość i Demokracja, uważanego za głównego przedstawiciela konserwatywnego katolickiego skrzydła partii założonej przez ojca Marine Le Pen pod nazwą Front Narodowy.

Wcześniej do Zemmoura przeszło już dwóch innych ważnych polityków ze Zjednoczenia Narodowego – przewodniczący delegacji RN w Parlamencie Europejskim Jérôme Rivière oraz bardzo medialny adwokat i europoseł Gilbert Collard. Ten ostatni, tak jak Nicolas Bay, został w lipcu 2020 r. usunięty z komisji partii nadzorującej mianowania kandydatów w wyborach. Był krytyczny wobec oddalania się partii od swoich prawicowych, konserwatywnych fundamentów. Podobnie uzasadnił swoją decyzję Rivière – twierdził, że partia Le Pen przestała przeciwstawiać się ustawom spełniającym kolejne postulaty lobby LGBT.

W połowie lipca do Zemmoura dołączył często obecny w mediach Jean Messiha. To z pochodzenia egipski Kopt, znany ze swoich bezkompromisowych wypowiedzi na temat radykalnego islamu i zagrożeń związanych z masową imigracją. Messiha odszedł z partii Marine Le Pen nieco ponad rok temu, krytykując liderkę RN za zbytnią polityczną poprawność w tej dziedzinie (czego nie można z kolei zarzucić Zemmourowi).

Najbardziej bolesne dla Marine Le Pen były jednak wypowiedzi jej siostrzenicy Marion Maréchal, uważanej do niedawna za potencjalną kandydatkę francuskich konserwatystów w następnych lub kolejnych wyborach prezydenckich. W ostatnich dniach stycznia oznajmiła ona w rozmowach z dziennikarzami, że rozważa powrót do polityki, z którą pożegnała się w 2017 r., będąc w ideowym konflikcie z kierownictwem partii ciotki. Jednocześnie zapowiedziała, że nie poprze na pewno kandydatury tej ostatniej, a co do Érica Zemmoura jeszcze się zastanawia. „Spójność, wizja, strategia skłaniają mnie ku Éricowi Zemmourowi, to jest pewne. Ale jest jeszcze kwestia rodzinna" – przyznała Marion Maréchal, tłumacząc się ze swoich rozterek. I wyjaśniała: „Jeśli poprę Érica, to nie tylko po to, by na chwilę zaistnieć: to oznacza powrót do polityki [...]. To prawdziwy życiowy wybór, trudna decyzja".

Przejście Nicolasa Baya i Marion Maréchal do Zemmoura z całą pewnością

eprasa.pl e77d6b1577

Marine Le Pen musi uporać się z odpływem polityków własnej partii FOT. MLAFRANCE.FR

Le Pen

oznaczałoby odpływ konserwatywnego skrzydła RN i przypieczętowałoby utratę tego elektoratu w związku z polityką „normalizacji" i ewolucji w kierunku centrum prowadzoną od lat przez Marine Le Pen i jej najbliższe otoczenie.

„Éric Zemmour walczy o zniknięcie kordonu sanitarnego między tzw. republikańską prawicą a nami – powiedziała Maréchal. – Marine Le Pen nigdy nie była za zniknięciem tej linii podziału. Ona chce być tylko po właściwej stronie".

Na te słowa wprost z Madrytu zareagowała Le Pen (dzień przed zajściem z rzeczniczką jej kampanii): „To jest bolesne, brutalne, trudne dla mnie. Człowiek nigdy tak naprawdę się tego nie spodziewa".

ZEMMOUR POPULARNIEJSZY NIŻ WIDAĆ?

Jeszcze pod koniec ubiegłego roku siostrzenica Marine Le Pen nawoływała do zjednoczenia się pod wspólnym sztandarem wartości konserwatywnych i patriotycznych oraz twierdziła, że poprze tego kandydata, który będzie miał największe szanse dostać się do drugiej tury – czy to będzie Zemmour czy Le Pen. Dzisiaj uznaje, że do zjednoczenia obu obozów nie dojdzie, i choć sondaże dają jej ciotce większe szanse, to jest pod wrażeniem kampanii Zemmoura, który ideowo jest jej bliższy. Zauważa też, że „nawet u szczytu swojej chwały i dynamiki Front Narodowy nigdy nie miał więcej niż 90 tys. członków", podczas gdy partia Rekonkwista Érica Zemmoura miała już ponad 85 tys. członków w połowie stycznia, czyli zaledwie kilka tygodni po utworzeniu.

Sondażami nie przejmuje się za bardzo Jean-Frédéric Poisson, lider chrześcijańsko-demokratycznej partii Via – La Voix du Peuple. Minęły ponad dwa lata od momentu, gdy zapowiadał w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy", że w wyborach 2022 r. konserwatywna prawica we Francji będzie miała swojego wspólnego kandydata. Poisson, jako pierwszy z liczących się polityków po prawej stronie, wyraził na samym początku grudnia swoje poparcie dla kandydatury prawicowego publicysty, rezygnując jednocześnie z własnego startu. Dwa lata temu przewidywał, że konserwatyści ze Zjednoczenia Narodowego oraz z centroprawicowej partii Republikanie (LR) będą się przyłączać licznie do kandydata spoza struktur partyjnych. I tak jego zdaniem się dzisiaj dzieje, gdyż poza wymienionymi wyżej znanymi postaciami oraz takimi osobistościami centroprawicy jak Guillaume Peltier (wiceprzewodniczący LR do grudnia ubiegłego roku, a od początku stycznia rzecznik kampanii Érica Zemmoura i wiceprzewodniczący jego partii) już teraz zaczyna przyłączać się do niego „wielu mniej znanych członków partyjnych, lokalnych działaczy na stanowiskach kierowniczych, zastępców burmistrzów, radnych na szczeblu departamentów i regionów czy ludzi pełniących różne funkcje partyjne".

A poza tym, według Poissona, sondaże nie oddają rzeczywistej popularności Zemmoura, na dowód czego wskazuje na ogromny sukces jego wieców, przyciągających tysiące entuzjastycznych zwolenników. Wskazuje też, że Zemmour jest absolutnym numerem jeden w sieciach społecznościowych oraz przyciąga najliczniejszą widownię przy niemal każdym występie w telewizji.

Zemmour nie ma też problemu ze zbieraniem pieniędzy na prowadzenie kampanii wyborczej (może dzięki bardziej liberalnemu niż Marine Le Pen programowi gospodarczemu). Miesiąc po ogłoszeniu kandydatury uzbierał aż 9 mln euro ze składek członkowskich partii Rekonkwista oraz z darowizn.

– Wielu darczyńców kampanii Nicolasa Sarkozy'ego w 2007 r., a także byłych bogatych zwolenników Emmanuela Macrona i François Fillona w 2017 r. zdecydowało się nam pomóc – mówi szef akcji zbierania funduszy w sztabie wyborczym Zemmoura.

Tymczasem Marine Le Pen nie może liczyć na napływ nowych członków, wpłacających składkę roczną w obecnej kampanii wyborczej, ani na bogatych darczyńców i – jak pisała jeszcze niedawno prasa francuska – musi prowadzić swoją kampanię bez grosza. Dopiero 28 stycznia RN ogłosiło, że otrzymało pożyczkę w wysokości 10,6 mln euro na prowadzenie kampanii wyborczej od pewnego „europejskiego banku". Zwrot wydatków z budżetu państwa jest zagwarantowany, jeśli kandydat przekroczy próg 5 proc. głosów. Lecz choć Marine Le Pen uzyskuje w sondażach wynik na poziomie 15–17 proc. (mniej więcej tyle samo co kandydatka centroprawicy Valérie Pécresse i parę punktów więcej niż Éric Zemmour), to z powodów polityczno-ideologicznych, a może i z obawy przed nieprzyjemnościami ze strony władz żaden bank francuski nie chce udzielać pożyczek na jej kampanie wyborcze.

Poza problemem z odpływem części liderów jej partii do Zemmoura córka Jeana-Marie Le Pena musi jednak, podobnie jak rywal, pokonać jeszcze jedną przeszkodę, zanim stanie do wyborów przeciw urzędującemu prezydentowi. Zgodnie z francuskim prawem, aby startować w wyborach prezydenckich, należy zapewnić sobie poparcie 500 polityków wśród merów, parlamentarzystów i radnych na szczeblu regionów i departamentów. Po raz pierwszy, odkąd startuje w wyborach prezydenckich (to trzecia jej próba), Marine Le Pen nie ma tu większych powodów do obaw. Podobnie zresztą jak Éric Zemmour. Nie do pomyślenia byłaby sytuacja, w której dwóch polityków, sumujących ok. 30 proc. głosów w sondażach dotyczących pierwszej tury, nie zostałoby dopuszczonych do wyborów. W interesie centroprawicowej partii LR, mającej w swoich szeregach tysiące osób uprawnionych do udzielania takiego poparcia, jest start obu kandydatów. Tylko w takiej konfiguracji ich własna kandydatka ma jakąkolwiek szansę stanąć w drugiej turze przeciwko Macronowi. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

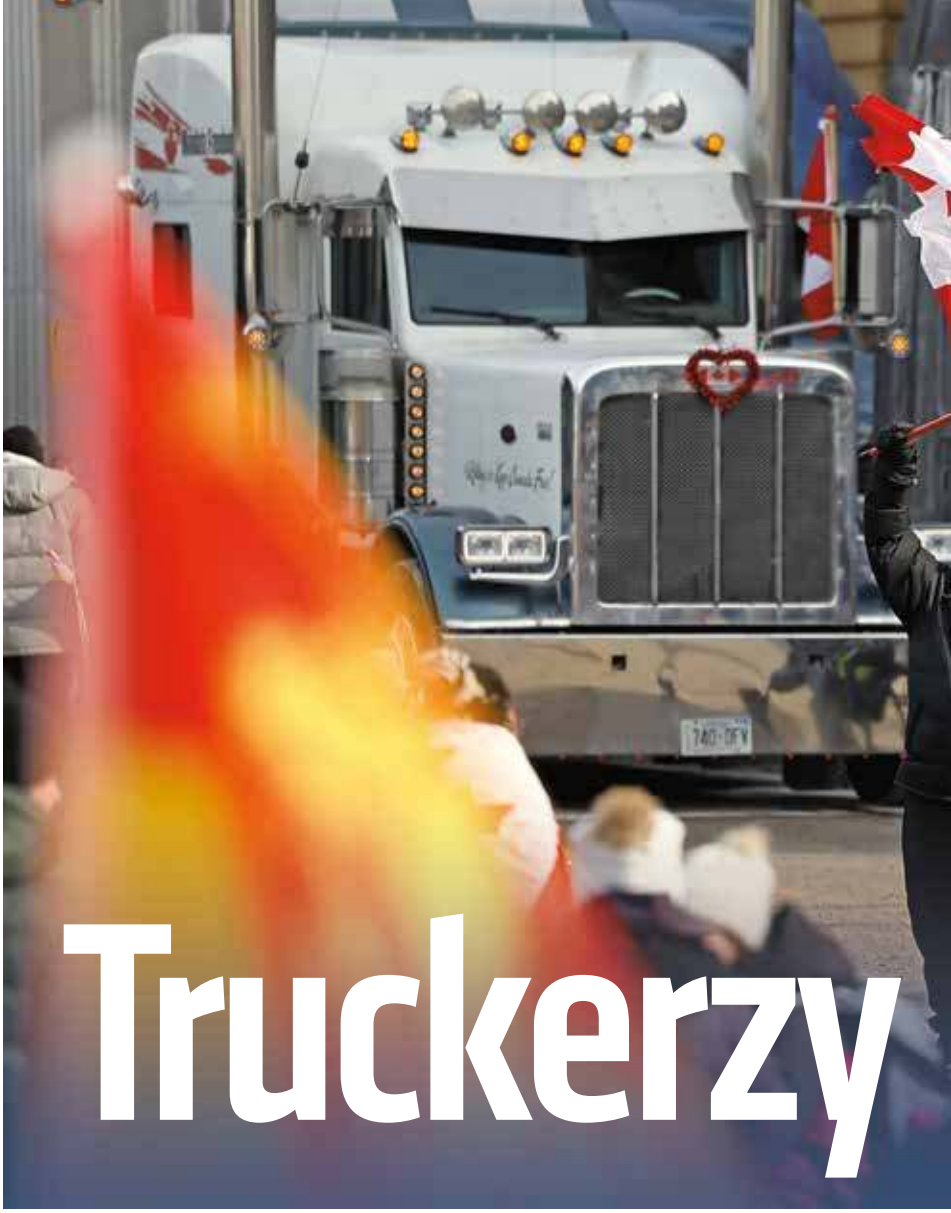

Truckerzy

Piotr Włoczyk

Spektakularny protest kierowców ciężarówek zaczął się od wprowadzenia obowiązku szczepień, ale szybko przeistoczył się w coś znacznie szerszego – generalny bunt wobec ultrarestrykcyjnej polityki rządu Justina Trudeau

Jako były nauczyciel jestem przerażony zagrożeniami natury psychologicznej i edukacyjnej, które zupełnie niepotrzebnie tworzy się wokół naszych dzieci. Szkoły co chwilę muszą przechodzić w tryb „zdalny", rząd zmusza wszystkich do przyjmowania kolejnych dawek szczepionki, kadra nauczycielska i uczniowie muszą nosić maski, które nic nie dają pod kątem ograniczania transmisji wirusa, natomiast szkodzą prawidłowemu rozwojowi społecznemu dzieci – mówi „Do Rzeczy" Randy Briand, emerytowany nauczyciel z Ottawy, który w poprzedni weekend dołączył do wielkiego protestu kierowców ciężarówek. Jak podkreśla, coraz bardziej restrykcyjna polityka kanadyjskiego rządu w obliczu wariantu Omikron, którego nie sposób powstrzymać, spowodowała, że protest, który rozpoczął się jako branżowa demonstracja kierowców zmuszanych do szczepienia, przeistoczył się w szeroki ruch sprzeciwu wobec tak prowadzonej walki z koronawirusem.

Już w październiku zeszłego roku rząd Justina Trudeau zarządził obowiązkowe szczepienia wszystkich pracowników sfery publicznej, a także załóg samolotowych i obsługi pociągów. Tysiące pracowników, którzy odmówili zaszczepienia, zostało wysłanych na urlopy lub wyleciało z pracy.

– Jako weteran kanadyjskich sił zbrojnych uważam za ponury żart sytuację, gdy ten sam kraj, dla którego byłem gotów poświęcić życie, dziś wyrzuca żołnierzy ze służby tylko dlatego, że chcą chronić autonomię swoich ciał. Dziś kanadyjski rząd nie pozwoli żołnierzowi w służbie czynnej lub weteranowi pójść na piwo do restauracji albo wejść do teatru czy polecieć do innego miasta w Kanadzie, jeżeli nie okaże on dowodu szczepienia. Proszę się więc nie dziwić, że tyle osób protestuje, skoro to nie ma żadnego uzasadnienia w nauce – zaszczepieni zarażają tak samo jak niezaszczepieni. Dlaczego więc ten rząd w tak zamordystyczny sposób dzieli społeczeństwo? – mówi Randy Briand.

BLOKADA STOLICY

Freedom Convoy 2022, czyli spektakularny – bardzo głośny i kolorowy – protest kierowców kanadyjskich ciężarówek, rozpoczął się od wprowadzenia przez kanadyjski rząd obowiązku szczepień dla tych spośród nich, którzy przekraczają granicę z Ameryką. Od połowy stycznia niezaszczepieni kierowcy muszą odbywać kwarantannę po przekroczeniu granicy. Ponieważ tydzień później rząd Joe Bidena wprowadził identyczny przepis, kierowcy ciężarówek kursujących na trasie Kanada – USA odmawiający przyjęcia szczepionki przeciw COVID-19 praktycznie nie mogą pracować. W związku z tym tysiące z nich ruszyło na Ottawę. I choć protest nabrał charakteru masowego, to jednak trudno mówić, że większość kanadyjskich kierowców ciężarówek popiera postulaty Freedom Convoy 2022. Z danych Canadian Trucking Alliance, największego stowarzyszenia kanadyjskich przewoźników, wynika bowiem, że 90 proc. kierowców jest zaszczepionych (oznacza to, że grupa ta jest zaszczepiona ponadprzeciętnie – ok. 77 proc. dorosłej populacji Kanady jest już po dwóch dawkach).

– To nie jest protest przeciwników szczepień przeciw COVID, lecz wkurzonych ludzi, którzy czują, że zagrożone są ich swobody obywatelskie, a te gwarantuje Karta praw i wolności z 1982 r., będąca częścią konstytucji, z której Kanadyjczycy są dumni. To nie jest protest prawicowy, ludzie protestują niezależnie od orientacji politycznej – komentuje dr hab. Magdalena Krysińska-Kałużna, znawczyni kanadyjskiej polityki. Jak tłumaczy ekspertka, w kanadyjskich firmach wobec ogromnej

eprasa.pl e77d6b1577

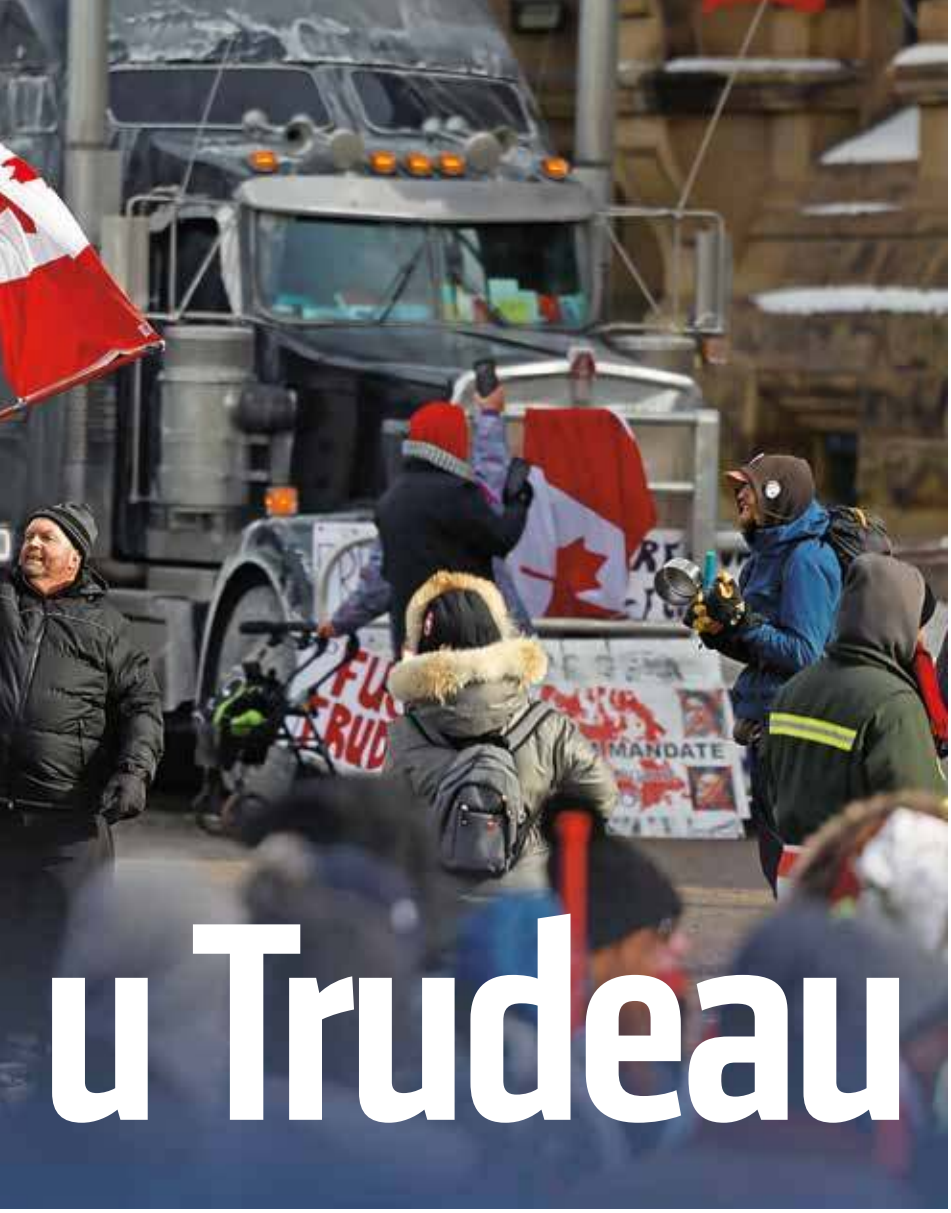

u Trudeau

FOT. BLAIR GABLE / REUTERS / FORUM

fali zakażeń wariantem Omikron do pracy muszą coraz częściej przychodzić zarażeni koronawirusem zaszczepieni pracownicy, ponieważ w innym przypadku doszłoby do paraliżu ich przedsiębiorstw. W takiej sytuacji nakładanie kolejnych restrykcji na kierowców ciężarówek, którzy są niezbędni wobec pojawiających się braków podstawowych towarów, wydaje się wielu Kanadyjczykom absurdalnym pomysłem.

Kierowcom ciężarówek w trasie z leżącej nad Pacyfikiem Kolumbii Brytyjskiej aż do Ottawy (ponad 4 tys. km) towarzyszyły tysiące kierowców „zwykłych" aut, którzy zaopatrzeni w kanadyjskie flagi i antyrządowe transparenty w zeszły weekend runęli na stolicę kraju. Choć nawet liberalno-lewicowe media przyznawały, że protesty w Ottawie były w ogromnej mierze pokojowe, to jednak wyróżniano w tych mediach przede wszystkim skandaliczne wydarzenia, które były dziełem garstki osób.

W kilku miejscach w morzu kanadyjskich flag wypatrzono swastykę, a ktoś wtargnął do noclegowni dla bezdomnych i zażądał wydania jedzenia. Jeszcze ktoś inny tańczył na Grobie Nieznanego Żołnierza. Każdy, kto widział relacje z Marszu Niepodległości w mediach nieprzychylnych prawicy, doskonale rozumie, jak to działa.

Mimo że nawet stołeczna policja przyznała, iż nie ma dużo pracy przy incydentach prowokowanych przez niektórych demonstrantów, premier Trudeau zdecydował się użyć wobec protestujących najcięższych słów. „Nie będziemy negocjowali z rasistami, wandalami i osobami obrażającymi pamięć o naszych weteranach" – stwierdził Trudeau generalnie na temat postulatów demonstrantów, nie robiąc rozróżnienia na spokojny tłum i garstkę osób zachowujących się w sposób skandaliczny. Premier Kanady dodał, że protestujący to „mniejszość z marginesu".

Co ciekawe, Justin Trudeu wielokrotnie wypowiadał się w sposób bardzo pozytywny na temat protestów ruchu Black Lives Matter, choć były one dalece bardziej agresywne niż to, co widzieliśmy w ostatnich dnia na ulicach stolicy Kanady. Traf chciał, że akurat w trakcie protestu kierowców ciężarówek Trudeau ogłosił, iż musi się izolować, ponieważ zaraził się koronawirusem (pomimo przyjęcia trzeciej dawki szczepionki). Premier Kanady w izolacji przebywał poza swoją oficjalną rezydencją, mimo to zanim jeszcze kierowcy ciężarówek na dobre zjechali się do Ottawy, ochrona Justina Trudeau postanowiła ewakuować go stamtąd w „bezpieczne miejsce".

TRUMP Z TRUCKERAMI

O ile ze strony kanadyjskich władz centralnych truckerzy nie mogą liczyć na zrozumienie, o tyle część władz prowincjonalnych (oczywiście prawicowych) popiera postulaty, z którymi pojechali oni do Ottawy. Konserwatywny premier Saskatchewan Scott Moe powitał przejeżdżającą przez jego prowincję kawalkadę ciężarówek i zapowiedział, że w niedługim czasie jego rząd zniesie obowiązek legitymowania się paszportami covidowymi.

W protest po stronie truckerów zaangażował się m.in. Brian Peckford, były premier prowincji Nowa Fundlandia i Labrador. Ten konserwatywny polityk był jednym z autorów wspomnianej wyżej Karty praw i wolności z 1982 r. i dziś pozywa władze federalne za dyskryminację niezaszczepionych Kanadyjczyków, co ma być jego zdaniem sprzeczne z zapisami tego dokumentu.

Freedom Convoy 2022 wsparł również potężny sojusznik z drugiej strony granicy – Donald Trump. Były amerykański prezydent powiedział, że truckerzy „robią więcej, by bronić amerykańskiej wolności, niż większość naszych przywódców".

Jak może się dalej potoczyć protest truckerów? „Ten protest zaczął już żyć własnym życiem" – uważa Jay Hill, konserwatywny polityk z prowincji Alberta. „Większość ludzi, którzy dołączyli do konwoju ciężarówek, stwierdziła, że po prostu ma już dość. Ci ludzie przekroczyli próg frustracji tymi ciągłymi lockdownami i restrykcjami. Chcą, żeby rząd federalny usłyszał w końcu, jak głośno krzyczą »Dość już tego!«. Kilka dni harmidru w stolicy Kanady w wykonaniu tysięcy wielkich amerykańskich ciężarówek było bez wątpienia najlepszym sposobem na przekazanie tej wiadomości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Czy czeka nas wulkaniczna zima?

Andrzej T. Solecki

15 stycznia nastąpiła gwałtowna erupcja wulkanu Hunga Tonga-Hunga Ha'apai. Czy wpłynie ona na klimat planety?

W pierwszych dniach stycznia 2022 r. egzotyczne królestwo Tonga znalazło się w centrum uwagi światowych mediów. Ten wyspiarski kraj, położony w połowie drogi pomiędzy Nową Zelandią a Hawajami, ma nieszczęście znajdować się w obrębie tzw. Pacyficznego Pierścienia Ognia. Pierścień ten to zespół łuków wysp wulkanicznych i rowów oceanicznych otaczający basen Oceanu Spokojnego od zachodu, północy i wschodu. Rozciąga się on od Nowej Zelandii poprzez Nową Gwineę, Filipiny, Japonię, Kamczatkę i od Alaski wzdłuż zachodniego wybrzeża obu Ameryk aż do południowych krańców Chile. W obrębie tej strefy występują liczne aktywne wulkany i częste trzęsienia ziemi. Jest to jednocześnie strefa niezwykle bogata w złoża złota, srebra i miedzi, uformowane w wyniku działania magmy wydobywającej się z wnętrza naszej planety i po osiągnięciu jej powierzchni rozlewającej się na zboczach wulkanów jako tzw. lawa wulkaniczna.

Skład chemiczny tej magmy i jej stosunkowo wysoka lepkość sprzyjają uwięzieniu znacznej ilości gazów. Z tego powodu nawet w warunkach lądowych wulkany, którymi wydostaje się ona na powierzchnię, wybuchają w sposób niezwykle gwałtowny. Jednym z nich jest Mount St. Helens, którego erupcja 18 maja 1980 r. wyzwoliła energię równoważną ok. 24 megatonom trotylu, czyli 1,6 tys. razy większą niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

BESTIA WYCHODZĄCA Z MORZA

W przypadku erupcji podwodnych dochodzi do tzw. erupcji freatycznej, dodatkowo napędzanej przez ciśnienie pary wodnej, powstającej w wyniku kontaktu z gorącą magmą. Erupcje freatyczne są szczególnie spektakularne, gdy mają miejsce na tyle płytko, że chmury popiołów i gazów wulkanicznych wydostają się nad powierzchnię morza.

Nazwa wulkanu Hunga Tonga-Hunga Ha'apai, którego erupcja nastąpiła 15 stycznia, pochodzi od dwóch niezamieszkanych wysp. Wyspy te to północny i wschodni fragment krawędzi kaldery wulkanu o rozmiarach 2 x 4 km, skrytej 150 m pod poziomem morza.

Podstawa wulkanu Hunga Tonga-Hunga Ha'apai znajduje się na głębokości 2000 m i ma średnicę ok. 20 km. Istnieje fragmentaryczny zapis geologiczny przeszłej aktywności tego wulkanu. Tufy osadzone na położonej ok. 65 km na południe głównej wyspie królestwa Tongatapu korelowane są przez zespół Shane'a Cronina z osadami spływu piroklastycznego na Hunga Ha'apai datowanego na lata 1040–1180. Biorąc pod uwagę granice błędu datowania, badacze ci uważają, że globalne ochłodzenie o 1 st. C w roku 1108 mogło być związane właśnie z tą erupcją. Powołują się oni na badania zawartości popiołów wulkanicznych w rdzeniach lodowych z Grenlandii i Antarktydy, opublikowane w roku 2015 w „Nature" przez zespół Michaela Sigla, wskazujące na niezidentyfikowaną erupcję w strefie tropikalnej, której pyły wulkaniczne dotarły zarówno do południowej, jak i północnej czapy lodowej naszej planety. W anglosaksońskiej kronice z opactwa Peterborough w roku 1110 opisywane są wyjątkowo ciemne zaćmienia Księżyca, spowodowane najprawdopodobniej obecnością pyłu wulkanicznego w stratosferze naszej planety.

Erupcja Hunga Tonga-Hunga Ha'apai w latach 2014–2015 stworzyła nową kalderę łączącą dwie wyspy Hunga, tworząc połączoną wyspę o długości ok. 5 km. Zespół Shane'a Cronina zbadał ten teren w roku 2016 i odkrył „ukrytą kalderę" na głębokości 150 m pod falami oceanu.

Ostatnia erupcja wulkanu Hunga Tonga-Hunga Ha'apai rozpoczęła się 20 grudnia 2021 r. W dniach 28–29 grudnia smugi gazu, pary i popiołu uniosły się do wysokości ponad 12 km. Zabarwiona woda i unoszący się na wodzie pumeks były widoczne wokół wyspy 30 grudnia. Rankiem 31 grudnia pióropusze popiołu, pary i gazu osiągały 3 km, a kłęby pary

eprasa.pl e77d6b1577

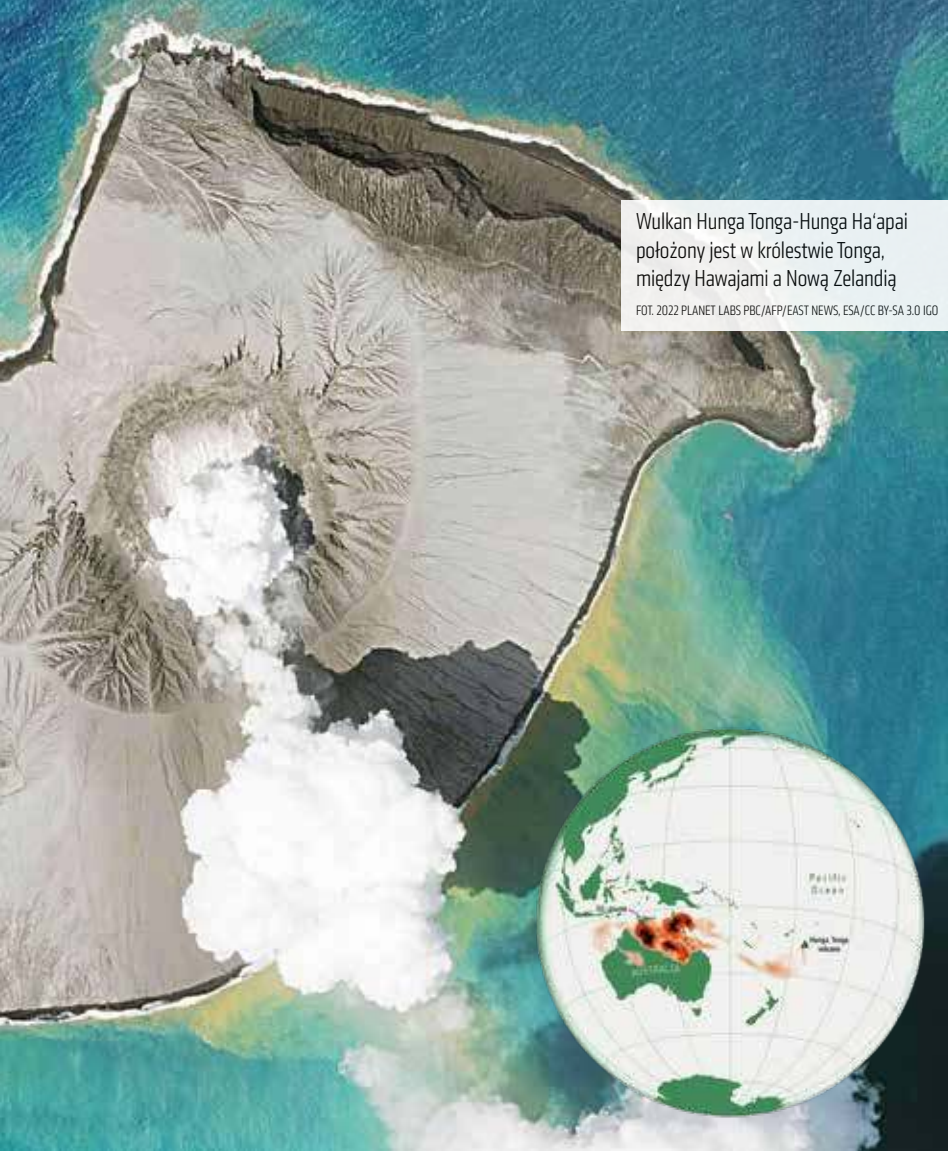

Wulkan Hunga Tonga-Hunga Ha'apai położony jest w królestwie Tonga, między Hawajami a Nową Zelandią

FOT. 2022 PLANET LABS PBC/AFP/EAST NEWS, ESA/CC BY-SA 3.0 IGO

i gazów wulkanicznych osiągnęły wysokość do 18 km.

15 stycznia nastąpiła gwałtowna erupcja. Zgodnie z danymi z satelity Calipso część popiołu i gazu mogła dotrzeć na wysokość 39,7 km. Dane z misji Copernicus Sentinel-5P pokazały w dniu 18 stycznia rozległą chmurę dwutlenku siarki przesłaniającą północną Australię, w odległości ponad 7 tys. km na zachód od miejsca erupcji.

CZY ZMIENI SIĘ KLIMAT?

Należy pamiętać, że w przeszłości erupcje wulkaniczne były przyczyną znaczących zaburzeń klimatycznych.

Uwolnione w latach 1783–1785, w trakcie długotrwałej erupcji wulkanu Laki na Islandii, 120 mln ton dwutlenku siarki spowodowało spadek temperatury na półkuli północnej o ok. 1 st. C. W wyniku głodu zmarła jedna czwarta ludności Islandii. Szacuje się, że 20 tys. Brytyjczyków zmarło na skutek zatrucia gazami. Następujące po erupcji anomalie pogodowe przyczyniły się do nieurodzaju, głodu i ubóstwa, które były jedną z przyczyn rewolucji francuskiej.

Podobnie erupcja indonezyjskiego wulkanu Tambora z dnia 10 kwietnia 1815 r., którego stopniowo słabnąca aktywność trwała jeszcze przez kolejne trzy lata, spowodowała anomalię klimatyczną zwaną „Rok bez lata". Była to najsilniejsza erupcja odnotowana w historii ludzkości odpowiadająca 33 Gt trotylu, czyli ponad 2 mln bomb takich jak zrzucona na Hiroszimę. Jej pióropusz sięgnął wysokości 43 km i wyrzucił dziesiątki milionów ton dwutlenku siarki oraz ok. 200 km sześc. pyłów do atmosfery. W czerwcu tegoż roku w USA spadł śnieg i uderzyła fala mrozów. W Europie w wyniku nieurodzaju zapanował głód i zamieszki wybuchły we Francji i w Hiszpanii. Wyjątkowo trudna sytuacja była w Szwajcarii, gdzie w pensjonacie Villa Diodati wynajętym przez najbardziej znanego brytyjskiego poetę epoki romantyzmu, Lorda Byrona, spędzali czas Mary Wollstonecraft Godwin z przyszłym mężem, brytyjskim poetą Shelleyem, oraz John Polidori (osobisty lekarz Byrona). Ponieważ pogoda była okropna, Byron zaproponował, aby umilić sobie czas pisaniem historii o duchach. Mary napisała wtedy książkę o Frankensteinie, a Byron szkic „A Fragment", który zainspirował jego lekarza, Polidoriego, do stworzenia pierwszej książki o wampirach.

Erupcja wulkanu Krakatau w roku 1883, odpowiadająca eksplozji 200 Mt trotylu, była kilkanaście razy słabsza od wybuchu Tambora. Słyszalna była w odległości prawie 5 tys. km, a fala uderzeniowa w atmosferze odnotowana przez barografy w ciągu pięciu dni wielokrotnie okrążała Ziemię. Fala tsunami dochodziła do 46 m. Wulkan wyrzucił w powietrze ok. 25 km sześc. popiołów na rekordową wysokość sięgającą 80 km. Jest to kolejna erupcja, która wpłynęła na klimat i wiązana jest z czterema latami wyjątkowo chłodnymi i zimą roku 1887/1888, w trakcie której wystąpiły potężne zamiecie śnieżne. W tym przypadku należy jednak przyznać, że chłodna anomalia klimatyczna rozpoczęła się już przed erupcją Krakatau. Wpływ tej erupcji mógł doprowadzić do jej dłuższego i bardziej intensywnego trwania. Erupcja ta również miała wpływ na kulturę, gdyż pył wulkaniczny wyrzucony do stratosfery powodował w skali globalnej czerwone zachody słońca, uwiecznione między innymi na obrazie „Krzyk" namalowanym przez norweskiego ekspresjonistę Muncha.

Erupcja Mount Pinatubo w 1991 r. na Filipinach, w trakcie której do atmosfery zostało uwolnionych 17 mln t dwutlenku siarki, obniżyła temperaturę na półkuli północnej o 0,5–0,6 st. C na ok. dwa–trzy lata.

W chwili obecnej trudno jest ocenić, jaki wpływ na pogodę w nadchodzącym roku i kolejnych latach będzie miała erupcja w królestwie Tonga. Zdaniem Briana Toona z University of Colorado pomimo ekstremalnej wysokości pióropusza eksplozji Hunga Tonga-Hunga Ha'apai nie powinien wystąpić znaczący wpływ na klimat, gdyż obserwacje satelitarne wskazują, że wprowadziła ona do górnych warstw atmosfery tylko ok. 400 tys. ton dwutlenku siarki. Nie mamy jednak pewności, czy podobnie jak w przypadku wulkanu Laki nie będzie ona kontynuowana przez wiele kolejnych miesięcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi w Instytucie Nauk Geologicznych na Uniwersytecie Wrocławskim.

eprasa.pl e77d6b1577

Medalowe zmagania za murem

Agnieszka Niewińska

Sztuczny śnieg jak mąka i roboty gotujące posiłki. Obecni na zimowych igrzyskach olimpijskich w Pekinie nie kryją, że czują się, jakby wylądowali na Księżycu

Razem dla wspólnej przyszłości" – to oficjalne hasło zimowych igrzysk olimpijskich w Pekinie, które rozpoczęły się w chińskiej stolicy 4 lutego. Tyle że na tych igrzyskach nic nie jest tak ważne jak unikanie bycia razem. I nie chodzi tylko o sportowców, dla których jednym z największych zmartwień jest to, czy dotrwają do dnia rywalizacji bez zarażenia się koronawirusem. W izolacji są całe igrzyska, odbywają się za murem, a sportowcy, ich ekipy czy dziennikarze nie mają prawa zza tego muru wyjść i nawet minąć się na ulicy ze zwykłymi Chińczykami.

GRUBA KSIĄŻKA Z ZASADAMI

Jak zwycięzcy mogą czuć się ci, którym w ogóle udało się postawić stopę na chińskiej ziemi. Aby móc w Pekinie wylądować, trzeba było spełnić wiele wymogów sanitarnych. Jeśli nie jest się w pełni zaszczepionym, to po przylocie do Chin obowiązuje kwarantanna, aż 21-dniowa. Książka z zasadami, których trzeba przestrzegać w Pekinie, wysłana przez organizatorów IO liczy przeszło 80 stron.

Ekipa techniczna agencji AFP, dzięki której zdjęcia, depesze i przekazy wideo z igrzysk pójdą w świat, drobiazgowo opisała swoje przygotowania i pierwsze kroki w Chinach, dokąd dotarła już w styczniu. Czternaście dni przed wylotem musieli codziennie mierzyć temperaturę i odnotowywać ją w specjalnej aplikacji. Konieczne były testy na COVID-19 – na 96 godzin i 72 przed wylotem – i to w laboratorium mającym certyfikat chińskiej ambasady. Były też zalecenia, by w dniu bez wymazu w laboratorium wykonywać testy z apteki. Do tego na dwa tygodnie przed wylotem musieli ograniczyć kontakty z ludźmi, nie pojawiać się w miejscach zatłoczonych. – Po 30 grudnia w ogóle nie wychodziłem z domu. Zrobiłem zakupy przed Nowym Rokiem. Izolowałem się, żeby nie zagrozić przygotowaniom do podróży służbowej – opowiadał Karim Menasria, koordynator techniczny ekipy AFP.

Na lotnisku, gdzie lądują sportowcy, ich ekipy czy obsługujące imprezę media, panuje ścisła izolacja. Nikt z przylatujących na olimpiadę nie ma szansy spotkania z mieszkańcami. Wysiadając z samolotu, można spotkać tylko przypominające duchy postacie w białych kombinezonach ochronnych, najczęściej schowane za pleksiglasem. – Właśnie przylecieliśmy do Pekinu, czuję się, jakbyśmy byli na Księżycu. Trochę to onieśmielające – skomentował François-Xavier Marit z AFP.

Jeśli test na COVID po przylocie jest negatywny, to można przekroczyć próg lotniska i ruszyć do olimpijskiej wioski czy wyznaczonego, autoryzowanego hotelu. Ale tylko specjalnym olimpijskim transportem. Ci, którzy przyjechali na olimpiadę, mogą znajdować się jedynie w obrębie tzw. zamkniętej pętli nazywanej także koronabańką. To kilka połączonych ze sobą stref olimpijskich. Między nimi można się poruszać wyłącznie specjalnym transportem. Podobnie podróżując do miejscowości poza Pekinem – oddalonego o 80 km od stolicy Yanqing,

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. ADOBE STOCK

gdzie znajduje się m.in. tor dla bobsleistów czy saneczkarzy, i do leżącego ok. 200 km od Pekinu Zhangjiakou, m.in. ze skoczniami narciarskimi, z trasami dla snowboardzistów czy biathlonistów. Można tam dojechać koleją wielkich prędkości (osobne wagony dla uczestniczących w IO i zamknięte perony na dworcach) lub specjalnymi busami. Dla tych ostatnich przewidziano osobne pasy na autostradach, a Chińczyków przestrzeżono, że w razie wypadku czy kolizji pojazdu olimpijskiego nie można się do niego zbliżać. Pomocy mają udzielać specjalne „olimpijskie" jednostki ratunkowe.

Wśród obecnych na IO zasady dotyczące przemieszczania się uchodzą za jedne z bardziej absurdalnych. Korespondent TVP Sport Michał Chmielewski pokazał na Twitterze film. Widać na nim, że ekipa dziennikarzy stoi na przystanku, co najwyżej 100 metrów od hotelu, ale nie może do niego dotrzeć pieszo. Musi czekać 50 minut na specjalny autobus. „Za murem, odgrodzone, jakby w innym świecie – takie są na razie igrzyska w Pekinie" – napisał w swojej korespondencji dla TVP Sport Chmielewski. „Dwa światy – ten olimpijski i lokalny – oddzielono kilometrami płotów, siatek, barierek i ogrodzeń. Oddzielono je tajnymi agentami w dziwnych czarnych płaszczach – niby-asystentami wolontariuszy. Oddzielono pleksiglasem, który w autobusach i shuttle carach nie ma ani jednej dziurki, przez którą można by zapytać o drogę" – opisywał olimpijską rzeczywistość.

Organizatorzy igrzysk musieli zmierzyć się nie tylko z pandemią czy brakiem śniegu, lecz także z dyplomatycznym bojkotem

Zasady dystansu na IO utrudniły sportowcom treningi. Z tego powodu polscy łyżwiarze figurowi do Pekinu polecą dopiero 7 lutego, bo w Chinach praktycznie nie mogliby trenować przed występami. – Na igrzyskach są tylko oficjalne treningi. Najczęściej jeden albo dwa dziennie po pół godziny. Dostęp do muzyki jest jednorazowy – tłumaczyła PAP Sylwia Nowak-Trębacka, trenerka polskich łyżwiarzy figurowych, dodając, że dla polskiej pary tanecznej – Natalii Kaliszek i Maksyma Spodyrieva – trening bez muzyki jest po prostu nieefektywny. – To będą smutne i przedziwne igrzyska – podsumowała Nowak-Trębacka.

HAMBURGER Z SUFITU

Świat obiegły nie tylko zdjęcia płotów oddzielających Pekińskie ulice od obiektów sportowych, takich jak choćby słynny stadion Ptasie Gniazdo. Furorę robią chińskie roboty, które w celu ograniczenia do minimum ryzyka rozprzestrzeniania się COVID-19 zastąpiły kucharzy czy kelnerów. Roboty przygotowują sałatki, składają hamburgery, dostarczają talerze – z sufitu prosto na stolik (oczywiście odgrodzony od innych stolików pleksiglasem). Roboty serwują kawę i herbatę, objeżdżają wielkie powierzchnie olimpijskich obiektów, prowadząc dezynfekcję.

To, że w strefie olimpijskiej codziennie trzeba się poddawać testom na COVID, nikogo nie dziwi. Wielu jednak zaskoczyły specjalne rekomendacje dotyczące kibicowania. Publiczność na trybunach będzie wyselekcjonowana (nie było sprzedaży biletów, zawody będą mogły oglądać osoby z zaproszeniami, m.in. zaproszeni oficjele czy żołnierze), a do dozwolonych form dopingowania zawodników należy klaskanie. Okrzyki czy uściski wśród kibiców są wzbronione, o czym przypominają panele informacyjne na trybunach. Za to organizatorzy nie zrezygnowali z dystrybucji olimpijskich prezerwatyw. Konrad Niedźwiedzki, szef polskiej misji olimpijskiej na IO, napisał na Twitterze, że został wezwany przez organizatorów do odebrania całego plecaka prezerwatyw dla polskich olimpijczyków. „W tych czasach chyba wszystkie nie zejdą" – żartował Niedźwiedzki.

Igrzyska w Pekinie są pierwszymi, w których sportowcy będą rywalizować wyłącznie na sztucznym śniegu. W Yanqing czy Zhangjiakou w ciągu roku jest zaledwie kilka śnieżnych dni. Chiński rząd już w połowie listopada ubiegłego roku informował, że zaczyna naśnieżanie w Yanqing. Na IO 300 armatek wyprodukowało 1,2 mln metrów sześciennych śniegu, zużywając przeszło 220 mln litrów wody. To spotkało się z krytyką ekologów, bo tereny, na których rozgrywają się igrzyska, są ubogie w zasoby wody. Nie wszystkim chiński śnieg przypadł do gustu. – Tutaj śnieg jest suchy jak mąka – oceniła nasza alpejka Maryna Gąsienica-Daniel. – Organizatorzy muszą wlać więcej wody do śniegu, żeby upodobnił się do europejskiego – wyjaśniała.

POKAZ SIŁY

Organizatorzy IO musieli zmierzyć się nie tylko z pandemią czy brakiem śniegu, lecz także z dyplomatycznym bojkotem. Stany Zjednoczone w grudniu ogłosiły, że żadni przedstawiciele władz państwowych w Pekinie się nie pojawią ze względu na trwające w Chinach ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości w regionie Sinciang oraz inne przypadki łamania praw człowieka. Do bojkotu włączyły się m.in. Australia, Wielka Brytania, Kanada, Litwa czy Estonia.

Zdaje się jednak, że Chiny niespecjalnie przejmują się politycznym bojkotem. Skupiły się na pokazaniu międzynarodowej opinii publicznej, że są potęgą, która potrafi przeprowadzić igrzyska olimpijskie w warunkach szerzącej się epidemii i z wykorzystaniem najnowszych technologii. A odcięcie uczestników IO od prawdziwych Chin ze względów epidemicznych wydaje się być władzom Państwa Środka całkiem na rękę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. GETTY IMAGES

WHOOPI GOLDBERG OCENZUROWANA

Znana amerykańska aktorka została zawieszona w programie „The View" telewizji ABC News. Przestała być prowadzącą, bo w trakcie dyskusji o wycofaniu z jednej ze szkół w Tennessee komiksu o Holokauście („Maus. Opowieść ocalałego") pozwoliła sobie uznać, że w programowym zabijaniu Żydów przez Niemców nie chodziło o rasę, „tylko o nieludzkość jednego człowieka wobec drugiego", i że Holokaust dotyczył „dwóch grup białych ludzi". Dała więc do zrozumienia, że jej zdaniem kwestie rasowe dotyczą wyłącznie czarnoskórych.

NIEMCY RUSZYLI DO POLSKI

Rozwija się nowa gałąź niemieckiej turystyki. Paliwowa. Odkąd rząd w Polsce obniżył podatek paliwowy z 23 do 8 proc., niemieccy kierowcy ruszyli tankować za granicę. W Słubicach zaobserwowano dużo większą liczbę klientów, a niemieckie tabloidy ostrzegały wręcz o korkach na granicy z tego powodu. Niemieccy właściciele stacji benzynowych narzekają, ale niemieccy kierowcy patrzą głównie na własne portfele – na jednym tankowaniu baku ok. 50 litrów mogą obecnie oszczędzić 25 euro.

ROZBIORĄ MOST DLA BEZOSA

Zabytkowy most Koningshaven w Rotterdamie zostanie częściowo zdemontowany. Ponieważ w położonym niedaleko Alblasserdam zbudowano jacht dla bogatego właściciela Amazona. Warty 485 mln dol. jacht jest tak wielki, że nie zmieści się pod mostem – a to jedyna droga ze stoczni do morza. Mieszkańcy są wściekli, bo po remoncie w 2017 r. lokalne władze obiecały, że nigdy więcej mostu nie rozbiorą.

ODSIADYWAŁ WYROK ZA BLIŹNIAKA

Po strzelaninie w Chicago w 2005 r. Kevin Dugar został zatrzymany za zabójstwo. Skazano go na 54 lata więzienia. I do tej pory siedział. Cały czas utrzymując, że jest niewinny. Teraz został właśnie wypuszczony na wolność, bo jego brat bliźniak po latach przyznał się do zbrodni. Wcześniej sąd nie dawał wiary tym wyjaśnieniom, ale w końcu zdecydowano się na ponowny proces. Orzeczono, że Dugar będzie na ponowną rozprawę czekał na wolności.

ZAKAZANE PSY W NORWEGII

Sąd Okręgowy w Oslo uznał, że w Norwegii nie będzie można hodować dwóch ras psów. Chodzi o buldogi angielskie i psy odmiany cavalier king charles spaniel – czyli rasy brachycefaliczne, z krótkimi pyskami. Zdaniem sądu hodowanie takich psów narusza ustawę o dobrostanie zwierząt, ponieważ psy z krótkimi pyskami bardzo często mają kłopoty z oddychaniem, a ich właściciele mogą tego nie zauważać. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Intymne przekonanie

Od 1 stycznia każdy Szwajcar może zmienić płeć za pomocą prostej i taniej procedury administracyjnej. Wystarczy 10 minut, 75 franków (ok. 330 zł) oraz „intymne przekonanie", że tak naprawdę jest się mężczyzną lub kobietą. Nowe przepisy już poprawiły jakość życia pewnego dżentelmena z kantonu Lucerna. Jako mężczyzna musiałby on pracować do ukończenia 65. roku życia. Ponieważ poczuł się on emerytką, to już 5 stycznia wyłożył pieniądze na stosowną opłatę, złożył wniosek i błyskawicznie stał się kobietą uprawnioną do przejścia na emeryturę już w wieku 64 lat.

Niektórzy mogliby podejrzewać prowokację lub wręcz próbę oszustwa, ale przecież nikt nie chciałby dyskryminować w ten sposób starszej pani, która Bóg jeden raczy wiedzieć, ile lat musiała męczyć się wizją „męskiej" emerytury. Zresztą już samo dopytywanie chętnych do zmiany płci o prawdziwe przyczyny ich decyzji pachnie obrzydliwą transfobią. Tysiące młodych kobiet uwięzionych w męskich ciałach mogą wkrótce masowo odkrywać prawdę o sobie, np. inspirowane wezwaniem do odbycia obowiązkowej służby wojskowej. W końcu po paru latach mogą zawsze zmienić „intymne przekonanie", porzucić słabą płeć i wrócić do bycia samcem.

Osobiście czekam, aż szwajcarska praworządność dotrze wreszcie nad Wisłę. W głębi serca od dziecka czuję się bowiem bogatym rentierem na emeryturze, dyskryminowanym zarówno przez ZUS, który wciąż ageistowsko patrzy tylko na PESEL, jak i przez banki, które nie chcą się zgodzić z mym „dyskretnym przekonaniem", że gdzieś u nich w skarbcach mam ulokowane 100 mln zł. Pisząc ten felieton, uświadomiłem sobie, że jednak czuję się szwajcarską rentierką, a te 100 mln to na pewno jest we frankach… ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

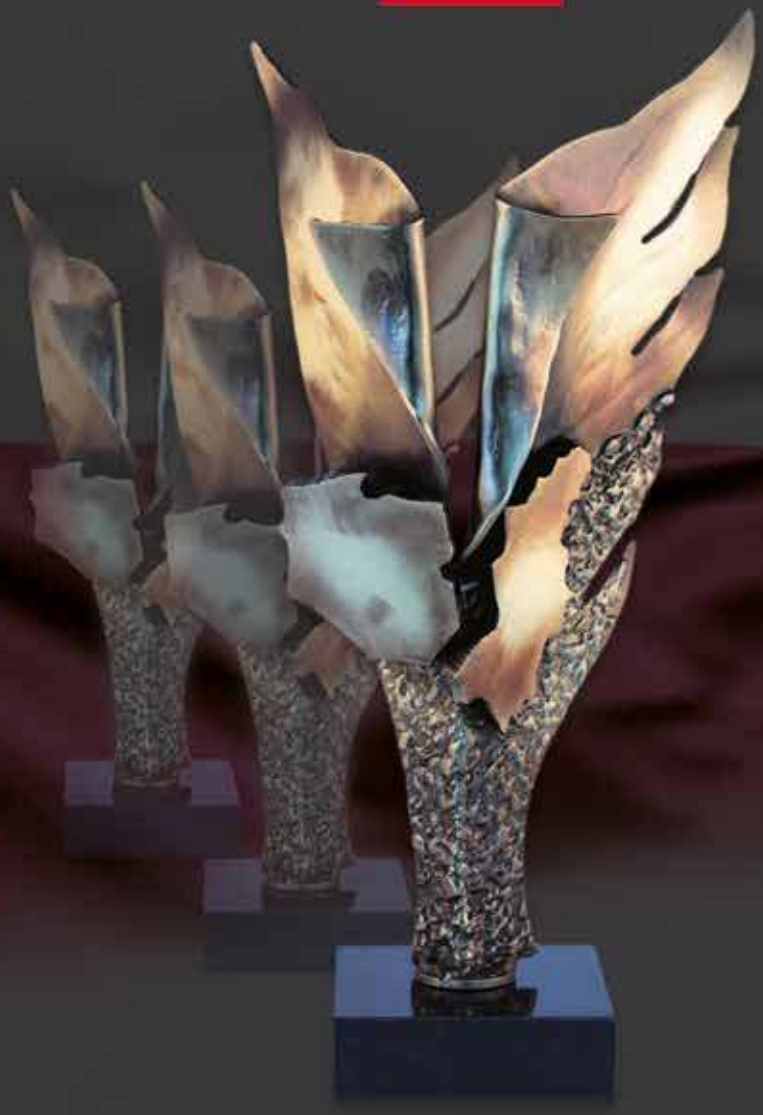

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl e77d6b1577

Nowa Rada na burzliwe

Jakub Wozinski

Nowych członków Rady Polityki Pieniężnej czeka z pewnością dużo bardziej wymagająca kadencja niż ich poprzedników

O osobach zasiadających w RPP mówi się zazwyczaj najwięcej, gdy obejmują urząd. Później ich nazwiska rzadko przebijają się do nagłówków serwisów informacyjnych. Tak przynajmniej było w ostatnich latach, gdy począwszy od 2015 r., stopa referencyjna NBP utrzymywała się na niezmienionym poziomie. Poprzednia dekada upłynęła pod znakiem gospodarczej stabilizacji, która właśnie w ostatnich miesiącach się skończyła. Gdy na początku 2016 r. wybierano członków RPP na minioną kadencję, oficjalne dane wskazywały wręcz na deflację. Dziś inflacja wzrosła już do poziomu 8,6 proc., a na świecie trwa wielkie poruszenie związane z tym, jak zareagować na piętrzące się trudności. Dobrą ilustrację tego stanowi fakt, że Chiny ostrzegły niedawno władze amerykańskiej Rezerwy Federalnej przed podnoszeniem stóp. Państwo rządzone przez Xi Jinpinga obawia się, że Amerykanie „wciskając hamulec", pogorszą napiętą w wielu obszarach sytuację chińskiej gospodarki.

CO Z TĄ INFLACJĄ?

W Polsce i innych państwach regionu podwyższanie stóp procentowych już się rozpoczęło, a od października Rada Polityki Pieniężnej czyniła to już czterokrotnie. Wszystko wskazuje przy tym na to, że to jeszcze nie koniec, a nowych członków czeka okres bardzo intensywnego namysłu. Jeszcze sześć lat temu kandydaci na przesłuchaniach przed sejmową Komisją Finansów skupiali się m.in. na tym, jak pobudzić w Polsce wzrost gospodarczy, dziś tematem numer jeden jest wciąż niezwalniająca inflacja. Można dziś śmiało założyć, że wysoka inflacja zdominuje także większą część ich kadencji.

Gwoli przypomnienia, zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem po trzech kandydatów do Rady Polityki Pieniężnej zgłasza w Polsce Sejm, Senat i prezydent. Najszybciej kwestię nowych członków rozwiązał kontrolowany przez opozycję Senat, który na miejsce kończących swoją kadencję Jerzego Kropiwnickiego i Eugeniusza Gatnara powołał Ludwika Koteckiego i Przemysława Litwiniuka. Trzecią osobę wyższa izba parlamentu powoła dopiero w listopadzie, gdy wygaśnie kadencja Rafała Sury. Obecnie najpoważniejszą kandydatką do objęcia po nim posady jest ekonomistka z Uniwersytetu Warszawskiego Joanna Tyrowicz, która została zgłoszona przez Polskę 2050 Szymona Hołowni. Do tej pory dała się poznać jako zdecydowany krytyk polityki NBP i zwolennik podniesienia stóp. Jej zdaniem obecne problemy z inflacją wynikają m.in. z tego, że płace rosną szybciej niż wydajność pracy.

Od 25 stycznia Rada nie składa się już więc tylko z członków rekomendowanych przez obóz rządzący, co oczywiście nie zmienia diametralnie układu sił, choć z pewnością wniesie nieco fermentu w jej obrady. Ludwik Kotecki, którego kandydaturę zgłosiła Koalicja Obywatelska, już od dawna krytykuje luźną politykę pieniężną NBP i fiskalną rządu. Obecnie jednoznacznie opowiada się za dalszym podniesieniem stóp. Na jego krytyce luźnej polityki fiskalnej cieniem kładą się lata, w których sam był wiceministrem finansów (2008–2012), a później głównym ekonomistą tegoż resortu (2012–2015). Deficyt budżetowy osiągał wówczas w wybranych latach rekordowe wartości, które przebił dopiero pandemiczny 2020 r. Kotecki nie należy przy tym z pewnością do ekonomistów, którzy uwierzyli w to, że weszliśmy w nowy paradygmat polityki fiskalnej i pieniężnej, który umożliwia

eprasa.pl e77d6b1577

FOT. NBP

nieliczenie się z podstawowymi prawidłami ekonomii.

Członkiem RPP zgłoszonym przez Polskie Stronnictwo Ludowe jest natomiast Przemysław Litwiniuk z Instytutu Ekonomii i Finansów Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. W latach 2014–2018 pełnił funkcję przewodniczącego Sejmiku Województwa Lubelskiego. Litwiniuk wyraża przekonanie, że podniesienie stóp dokonało się co najmniej z rocznym opóźnieniem, a obecnie zdaje się wciąż dostrzegać przestrzeń do dalszej korekty w górę. Jego zdaniem działania Rady Polityki Pieniężnej w zwalczaniu wysokiej inflacji mogą być skuteczne jedynie wówczas, gdy będą koordynowane z rządem. Sugeruje tym samym, że rząd musi m.in. ograniczyć oferowanie pieniądza przeznaczonego na konsumpcję i skupić się na inwestycjach. Niechętna transferom socjalnym praktykowanym przez obecną ekipę rządzącą jest także wspomniana już Joanna Tyrowicz, która w Radzie powinna pojawić się pod koniec roku.

NIEOCZEKIWANA ZWOLENNICZKA EURO

Obaj zatwierdzeni przez Senat opozycyjni członkowie RPP są zwolennikami przystąpienia Polski do strefy euro. W ich ocenie nie nastąpi to oczywiście w najbliższym czasie, gdyż Polska nie spełnia wymaganych warunków, lecz w dłuższej perspektywie widzieliby w realizacji tego scenariusza spore korzyści wynikające m.in. z minimalizacji ryzyka kursowego. Nieoczekiwanie w sposób pozytywny na temat przystąpienia do unii walutowej wypowiedziała się natomiast kandydatka do Rady z ramienia PiS, Elżbieta Ostrowska. Jej zdaniem „Wejście do strefy euro miałoby dużo pozytywnych rezultatów", a swoją opinię argumentowała m.in. ułatwieniami w turystyce czy niższymi kosztami transakcyjnymi. Ostrowskiej nie będzie jednak dane przełożyć swoich poglądów na działania w ramach RPP, gdyż ostatecznie zrezygnowała z ubiegania się o posadę.

Na ten moment jedynym kandydatem na członka Rady mianowanym przez Sejm pozostaje przewodniczący sejmowej Komisji Finansów Wiesław Janczyk. W RPP zajmie jedno z miejsc zwolnionych 9 lutego przez Grażynę Ancyparowicz i Eryka Łona. Wcześniej Janczyk w latach 2016–2018 pełnił funkcję wiceministra finansów. Kandydat rekomendowany przez PiS dał się do tej pory poznać jako zwolennik taniego pieniądza i entuzjasta dotychczasowego kursu polityki monetarnej. Jego zdaniem przełożyło się to przede wszystkim na imponująco niskie bezrobocie, stanowiące dla Polski prawdziwą chlubę. Sugeruje przy tym, że powinno się postawić silniej niż dotąd na osoby przedsiębiorcze. W odróżnieniu od Elżbiety Ostrowskiej Wiesław Janczyk jest zwolennikiem zachowania niezależności walutowej, gdyż umożliwia ona prowadzenie bardziej skutecznej polityki pieniężnej.

Na czele Rady Polityki Pieniężnej stoi prezes Narodowego Banku Polskiego, który wielokrotnie dawał do zrozumienia, że za jego kadencji Polska nie przyjmie euro. Trudno się więc spodziewać, aby rekomendowani przez Zjednoczoną Prawicę kandydaci reprezentowali diametralnie inne stanowisko w tej kwestii niż Adam Glapiński. To niewątpliwie dobrze, gdyż w czasie gospodarczych zawirowań suwerenność walutowa pozostaje niezwykle ważnym atutem.

Nazwiska trzeciego kandydata powoływanego przez Sejm, który zastąpi żegnającego się z Radą 30 marca Jerzego Żyżyńskiego, do tej pory nie poznaliśmy, podobnie jak nie wiadomo jeszcze, kto uzyska rekomendację zamiast Elżbiety Ostrowskiej. Jeszcze więcej znaków zapytania pojawia się na liście potencjalnych kandydatów rekomendowanych przez prezydenta. W tym roku Andrzej Duda będzie mógł zgłosić dwóch członków RPP, choć na razie trudno nawet wskazać potencjalne nazwiska.

ŚWIAT NA ROZDROŻU

Jak łatwo zauważyć, w ciągu obecnego roku Rada Polityki Pieniężnej wymieni łącznie ośmiu członków, w tym aż siedmiu w pierwszych miesiącach roku. Do tej pory zatwierdzonych zostało zaledwie dwoje z nich, co pokazuje, jak bardzo jeszcze może zmienić się układ sił, jeśli chodzi o zapatrywania na kurs polityki pieniężnej. Jak jednak można się spodziewać, przewagę uzyskają tzw. gołębie, czyli zwolennicy utrzymywania możliwie niskich stóp. Rzecz jasna, nowi członkowie Rady z pewnością nie powstrzymają się przed ewentualnymi kolejnymi podwyżkami, lecz forsowany przez obóz rządzący program gospodarczy, którego wyrazem jest choćby Polski Ład, pozwala zakładać, że do prestiżowego ciała dobierani będą ekonomiści, których poglądy współgrają z dotychczasową polityką NBP i rządu, nawet pomimo ostatnich zawirowań.

Kierunek, który obierze nowy skład Rady, będzie w sporej mierze zależał od tego, w którą stronę podążą najpotężniejsze państwa na świecie. Od ok. 30 lat stopy procentowe na całym świecie nieustannie spadały, a inflacja pozostawała na niskim poziomie. Ta epoka właśnie się kończy. „Będziemy działać adekwatnie do tego, co będzie dyktować rynek, co będą robiły inne kraje, jaka będzie sytuacja, jakie będą odczyty bieżące" – przekonywał przed Komisją Finansów Wiesław Janczyk. I rzeczywiście, RPP będzie musiała pilnie przyglądać się sytuacji w regionie i na świecie, gdyż pomimo życzeniowego myślenia wielu ekonomistów dalsze zacieśnienie polityki pieniężnej wydaje się tylko kwestią czasu.

Niepokojące wydaje się w szczególności to, że szefowie najważniejszych na świecie banków centralnych tak długo zaprzeczali problemowi wysokiej inflacji. W przypadku szefowej EBC Christine Lagarde nadal trudno powiedzieć, czy w pełni dostrzegła zarysowujące się na horyzoncie niebezpieczeństwo. Prezes Glapiński przyznał, że obecna inflacja nie jest przejściowa, dopiero pod koniec ubiegłego roku. Byłoby więc dobrze, aby nowy skład Rady pomógł szefowi NBP zachowywać bardziej realistyczną ocenę sytuacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

Jacek Przybylski

Emerytura dla nastolatków?

Pixie Curtis ma 10 lat i tak wielki majątek, że już jako 15-latka będzie mogła przejść na emeryturę. O finansową przyszłość nie boi się też Dadvan Yousuf – jako dziecko sprzedał wszystkie zabawki i za bezcen kupił kryptowalutę. Żyłę złota odkrył również przypadkowo 22-letni Sultan Ghozali, tworząc tokeny NFT

Pixie Curtis to bohaterka tabloidów, gazet i portali na całym świecie. I trudno się dziwić, skoro 10-latka zarabia miesięcznie więcej niż setka dorosłych zatrudniona na etatach. Bogate dziecko mieszka w Australii i prowadzi dwie firmy. Pierwsza z nich – Pixie's Fidgets – zajmuje się produkcją zabawek dla dzieci. Różowe latające wróżki (po 160 zł za niewielkie opakowanie), laleczka z tygrysem, figurki niespodzianki, czy też przypominające folię bąbelkową silikonowe torebki, piórniki, kalkulatory, okładki na zeszyty etc. stały się przedmiotem pożądania milionów maluchów na całym świecie. Jak poinformował Business Insider, gdy firma weszła na rynek, wszystkie zabawki wyprzedały się w ciągu zaledwie 48 godzin.

Druga firma dziewczynki – założona w marcu Pixie Bows – prowadzi sprzedaż kokard do włosów. Takich samych, jakich używa słynna 10-latka. Nowy pomysł na biznes znów okazał się trafem w dziesiątkę. Założona w marcu 2021 r. firma już w pierwszym miesiącu działalności przyniosła dochód o równowartości ponad 0,5 mln zł.

Dziesięciolatka jest twarzą obu z nich. Interesów dogląda zaś jest matka – Roxy Jacenko – z zawodu specjalistka od public relations. To właśnie ona zapowiedziała światowym mediom, że jeśli Pixie stwierdzi w którymś momencie, że praca już ją męczy i nie będzie zainteresowana prowadzeniem swoich firm, to w wieku 15 lat będzie mogła zakończyć karierę zawodową i zostać najmłodszą emerytką świata. Roxy Jacenko pilnuje również, aby o dziewczynce stale było głośno. W mediach społecznościowych co i rusz ukazują się więc kolejne zdjęcia, pokazu-

Pixie Curtis jest twarzą dwóch firm produkujących zabawki i kokardy do włosów FOT. © 2022 PIXIE'S PIX

eprasa.pl e77d6b1577

jące, że młoda multimilionerka ma czas nie tylko na testowanie kolejnych modeli zabawek, lecz także na naukę, zabawę z rówieśnikami czy podniebne loty pierwszą klasą.

Matka chwali się też wspaniałymi marzeniami swojego topowego produktu, przepraszam, swojej córki. Nie, oczywiście, że nie chodzi o wielką prawdziwą miłość, wspaniałych przyjaciół czy zdrowie dla dziadków. – Ma wiele marzeń, wśród których jest dom na plaży oraz SUV marki Lamborghini, będzie więc musiała popracować nieco dłużej i ciężej, aby to osiągnąć, ale jest na dobrej drodze – opowiadała portalowi news.com.au Roxy Jacenko.

Oczywiście, aby dzieci na świecie mogły jej zazdrościć, 10-latka już jeździ luksusowym mercedesem o wartości ponad 750 tys. zł, oczywiście z osobistym szoferem. A aby o Pixie pamiętały wielkonakładowe tabloidy, dziewczynka od małego pozuje do zdjęć z wielkim kieliszkiem przy basenie i w akrylowych paznokciach. Na Instagramie można też śledzić jej wizyty u kosmetyczki oraz zakupowe szaleństwa, podczas których mama pomaga jej w wyborze najbardziej seksownych szpilek.

Roxy Jacenko założyła już również firmę swojemu drugiemu produktowi: siedmioletniemu synowi o imieniu Hunter. Przy odrobinie szczęścia i medialnego rozgłosu może się więc okazać, że chłopak prześcignie siostrę i na emeryturę przejdzie, jeszcze zanim na urodzinowym torcie pojawi się dwucyfrowa liczba świeczek.

FORTUNA ZA ZABAWKI

Uciekać z domu – z powodu wojny, a nie matki – musiał Dadvan Yousuf. Jako trzylatek w roku 2003 razem z rodzicami opuścił targany zbrojnymi walkami Irak. Rodzina osiedliła się w Szwajcarii, ale klepała biedę. Jedenastoletni chłopak postanowił zaś zarobić pieniądze na operację pozostającej w Iraku babci. Sprzedał więc wszystkie swoje zabawki – od puzzli i Pokemonów do konsoli Nintendo i gier wideo. Zarobił 250 franków szwajcarskich (ok. 1,1 tys. zł). Pieniędzy do Iraku nie dało się jednak ot tak przelać i wypłacić w bankomacie. Nastolatek zaczął więc szukać w Internecie informacji o sposobach przekazywania gotówki i natrafił na bitcoina.

– Pierwszy raz w życiu przeczytałem o bitcoinie. Ludzie mówili, że to będzie rewolucja, która zmieni świat – opowiada 21-letni Dadvan Yousuf, cytowany przez brytyjski tabloid „The Sun".

Poprosił ojca o pomoc w zakupie raczkującego wówczas dopiero bitcoina. Ten odradzał mu jednak wymianę prawdziwych pieniędzy na wirtualną walutę. Po kilku dniach negocjacji na linii ojciec – syn Dadvan dostał jednak kartę kredytową i zgodę na kupno 10 bitcoinów po 15 euro za sztukę. Szybko dowiedział się, jak działa portfel kryptowalutowy. Zgodnie z prawem, choć był niepełnoletni, mógł również nie tylko kupować bitcoiny, lecz także nimi handlować. Obrót kryptowalutą szedł nastolatkowi na tyle dobrze, że po roku kupił już tysiąc bitcoinów o wartości 11,2 tys. euro. (równowartość 51 tys. zł). Chociaż handel na tym rynku obarczony jest gigantycznym ryzykiem, to młody imigrant wciąż miał szczęście, więc w 2016 r. postanowił zaryzykować i kupić inną kryptowalutę: za 134 tys. euro kupił 16 tys. jednostek Ethereum. Dzięki tej transakcji milionerem stał się już w wieku 17 lat, zdobywając tytuł najmłodszego milionera w Szwajcarii, który samodzielnie doszedł do swojego majątku. Dadvan Yousuf zamieszkał w pięciogwiazdkowym hotelu i założył fundację, która zapewnia chętnym bezpłatną edukację finansową.

MILIARDY PRZED TRZYDZIESTKĄ

Pieniądze, które zarobił jako dziecko Dadvan Yousuf, robią wrażenie, ale i tak wyglądają nader skromnie w porównaniu ze stanem kont najmłodszych miliarderów świata. Prawdziwą fortunę na kryptowalutach zbił Sam Bankman-Fried, znany na całym świecie również po prostu jako SBF. Amerykański biznesmen 6 marca skończy 30 lat, a już w ubiegłym roku trafił na listę najbogatszych miliarderów przed czterdziestką. Magazyn „Forbes" wycenia jego majątek na 22,5 mld dol., czyli równowartość 90 mld zł z groszami (a nieco dokładniej: 90 mld i 390 mln zł). Jak wyobrazić sobie taki majątek? Otóż przynajmniej teoretycznie SBF mógłby kazać postawić sobie kilkadziesiąt prywatnych elektrowni atomowych, zbudować setki kilometrów prywatnych autostrad, a i tak starczyłoby mu pieniędzy na luksusowe wille, luksusowe auta i własny jacht. Oczywiście każdy superbogacz wie, że są dwa najszczęśliwsze dni w życiu miliardera: pierwszy, gdy kupi sobie swój pierwszy własny jacht, i drugi – gdy go wreszcie sprzeda.

Polaków, których majątek przed czterdziestką byłby wart miliardy dolarów, próżno szukać. Grono młodych polskich milionerów jest już jednak spore, przez co, aby dostać się na opublikowaną w listopadzie ubiegłego roku listę 40 najbogatszych Polaków przed „czterdziestką" magazynu „Wprost", trzeba mieć minimum 53 mln zł, czyli o 5 mln zł więcej niż rok wcześniej. Wśród młodych krezusów są m.in. przedsiębiorcy oraz znani sportowcy, choć topowych piłkarzy takich jak Wojciech Szczęsny czy Grzegorz Krychowiak przegonił np. Karol „Friz" Wiśniewski, a więc 25-letni influencer znany z tego, że jest znany. Majątek założyciela słynnej Ekipy Holding – zarabiającej głównie na skutecznej monetyzacji działalności grupy na YouTube oraz sprzedaży ubrań i gadżetów z logo Ekipatonosi – szacowany jest na ok. 200 mln zł. Wycena Ekipy Holding przewyższa zaś kapitalizację wielu spółek notowanych na warszawskiej giełdzie papierów wartościowych.

MILION Z NFT

Przez zupełny przypadek do grona milionerów dołączył również 22-letni Sultan Gustaf Al Ghozali. Mieszkający w Indonezji student informatyki postanowił sprawdzić, ile jest w stanie zarobić na zdjęciach samego siebie, które robił dzień w dzień przez pięć lat z rzędu. Początkowo chciał z nich zrobić filmik na zakończenie studiów. Na początku obecnego roku dla żartu zamienił jednak tysiąc zdjęć w tokeny NFT (unikalne certyfikaty autentyczności danego fizycznego lub cyfrowego przedmiotu, oparte na systemie blockchain), wystawił je na sprzedaż i… błyskawicznie stał się sławny. Jego zdjęcia kupił m.in. indonezyjski celebryta Arnold Poernomo, więc ceny NFT z wizerunkiem studenta poszybowały w górę tak bardzo, że po trzech dniach Sultan Gustaf Al Ghozali obudził się już jako milioner. Cała kolekcja zdjęć zwana „Ghozali Everyday" jest zaś wyceniana na rynku na równowartość mniej więcej 4,5 mln zł. Cena niektórych ujęć – sprzedawanych początkowo przez nieznanego dotąd studenta za równowartość 12 zł za zdjęcie – przekroczyła 16 tys. zł. Wycena najdroższego zdjęcia z kolekcji „Ghozali Everyday", a więc ujęcia z numerem 311, przekroczyła natomiast wartość 25 tys. zł.

Wygląda więc na to, że czasem warto słuchać tych truizmów głoszonych przez guru od sukcesów wszelakich i zamiast pracować dużo, pracować po prostu mądrze. A przy tym mieć mnóstwo szczęścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e77d6b1577

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jastrząb Glapiński? Oby

Nigdy nie jest za późno, by z drapieżnego gołębia – drapieżnego dla podupadającego złotego – przeistoczyć się w opiekuńczego jastrzębia – opiekuńczego dla naszego złotego, który oby dzięki temu wreszcie otrząsnął się z zapaści i wzmocnił, przy okazji jak najszybciej (a nie za 10 lat) przepędzając z Polski rozszalałą inflację.

A taka właśnie nadzieja – na przemianę z drapieżnego gołębia w opiekuńczego jastrzębia – rodzi się we mnie, może zresztą rodzi się przedwcześnie i w sposób nieuzasadniony, gdy słucham ostatnich wypowiedzi prezesa NBP i zarazem przewodniczącego Rady Polityki Pieniężnej Adama Glapińskiego. Takich jak ta: „Stopy procentowe w Polsce powinny wzrosnąć mocniej, niż obecnie oczekuje rynek, biorąc pod uwagę ostatnie dane makro" – wypowiedzi przytoczonej przez agencję Bloomberg, która przy okazji zaznaczyła, że Glapiński dodał, iż będzie przekonywał RPP do konieczności wydłużenia cyklu podwyżek stóp. Wszelako, rzecz jasna, jedna wypowiedź czy dwie jeszcze opiekuńczego jastrzębia z drapieżnego gołębia nie czynią.

Co gorsza – co gorsza dla złotego i Polaków poniewieranych przez inflację o nieznanej u nas od 20 lat wysokości – nawet jeśliby cudownie przemieniony z gołębia w jastrzębia Glapiński dotrzymał słowa i zaczął apelować do RPP o zdecydowane zacieśnienie polityki monetarnej, to może się okazać, że stoi przed nim niezwykle trudne zadanie. Obecna Rada, zdominowana przez drapieżnie nastawione do złotego gołębie, rozszarpujące go przez długi czas (choć ostatnio, pod presją opinii publicznej, nieco mniej), po nominacjach nowych członków RPP wcale nie musi zmienić swego oblicza na sprzyjające prowadzeniu takiej polityki wobec złotego, która pozwoli mu odzyskać wigor i będzie ostro dusić inflację.

Albowiem niestety, obserwując przymiarki Senatu, Sejmu i prezydenta RP do wymiany własnych reprezentantów w RPP (każda z tych instytucji deleguje po trzy osoby, a obradom Rady przewodniczy – jako dziesiąty – prezes NBP), wcale nie wydaje się pewne, że idą lepsze czasy – z dużo niższą inflacją i więcej wartym na rynku walut złotym, do którego rynki odzyskałyby zaufanie.

W każdym razie pośród dotychczas nowo nominowanych członków RPP jedynie wybrany przez Senat Ludwik Kotecki wypowiada się na ten temat w sposób tak zdecydowany, że dający nadzieję – m.in. w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną": „W 2021 r. okazało się, że NBP ma kilka celów. To niedopuszczalne. Nie można jednym pociskiem zastrzelić ośmiu wron. W ustawie i konstytucji napisano, że RPP ma dbać o niską i stabilną inflację i że ma do tego jeden instrument: stopy procentowe".

A jastrząb Kotecki z oby jastrzębiem Glapińskim (prezydent RP złożył do Sejmu wniosek o drugą kadencję na fotelu szefa NBP dla niego) to w tej sytuacji nawet na dobry początek za mało. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Imponderabilia

Konsekwencje tak nieprzemyślanych działań jak lockdowny, absurdalnie zarządzana kwarantanna czy Polski Ład pojawiają się nie tylko w sferach bezpośrednio ich dotyczących, lecz także w trudno czasem uchwytnej sferze międzyludzkich relacji, emocji, wzajemnego nastawienia.

Ludzie muszą sobie pomagać, żeby przetrwać w nieprzyjaznym środowisku urzędników i przepisów. Wszyscy to rozumieli

Napisała do mnie w ostatni dzień stycznia czytelniczka, przedsiębiorca. Branży i regionu z oczywistych powodów nie wymieniam. Czytelniczka pisze: „Pewnie Pan wie, że czasami na fakturach są błędy, też w dokumentach magazynowych czy transportowych. Przez wiele lat bywało tak, że wystarczyła krótka informacja o podmianie ceny, pozycji czy produktu i można było to [zmianę w dokumentach u drugiej strony umowy] zrobić bezproblemowo, bo przecież nikt nie zamyka miesiąca od razu, ale jeszcze przez wiele tygodni jest on w systemie komputerowym otwarty". Tak, to nie jest całkowicie legalna praktyka, ale jeśli ma się zaufanego i tego samego od lat partnera biznesowego, to nie robił on zwykle problemów. Ludzie muszą sobie pomagać, żeby przetrwać w nieprzyjaznym środowisku urzędników i przepisów. Wszyscy to rozumieli.

Taka sytuacja właśnie zdarzyła się mojej czytelniczce – trzeba było 31 stycznia poprosić stałego biznesowego partnera o drobną zmianę w dokumentacji z powodu niezamierzonego błędu. Pierwsza poproszona osoba oznajmiła, że się boi, co będzie, jeśli ktoś się zorientuje, że zmieniła paragon po wystawieniu. Druga była zajęta i musiałaby to zrobić już po północy w nowym miesiącu, a w Polskim Ładzie to już nic nie wiadomo, więc lepiej nie. Trzecia osoba natomiast wykrzyczała do telefonu, że ma już wszystkiego dość, niczego nie będzie zmieniać i myśli o zamknięciu firmy.

Moja czytelniczka pisze: „Czyli skończyło się ludzkie traktowanie, które może czasami łamało przepisy, ale było po prostu wzajemną pomocą. [...] Tej osobie już przestało zależeć – na pieniądzach, na reputacji, na prowadzeniu samej firmy".

To są tzw. imponderabilia – czynniki bardzo ważne, których nie da się policzyć w Excelu. A zdaje się, że nasza władza tylko Excelem umie się posługiwać. A i to, jak się okazuje, nie zawsze. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Nowa ustawa deweloperska – jakie zmiany przyniesie nabywcom oraz deweloperom?

Anna Mojsiuk

W dniu 1 lipca 2022 r. ma wejść w życie ustawa o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego oraz o Deweloperskim Funduszu Gwarancyjnym. Zastąpi ona treść dotychczasowej ustawy z dnia 16 września 2011 r. o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego. Wszystkie przedsięwzięcia deweloperskie, których sprzedaż rozpocznie się po terminie wejścia w życie nowej ustawy, będą musiały być realizowane zgodnie z jej treścią. Te przedsięwzięcia, które zostaną rozpoczęte przez deweloperów przed wejściem w życie nowej ustawy, będą mogły być realizowane według obecnie obowiązujących przepisów do końca czerwca 2024 r. Czego zatem spodziewać się po nowej regulacji?

Potrzeba nowelizacji ustawy wynikała w dużej mierze z tego, że wielokrotnie podnoszono, iż zapisy „starej" ustawy są nieprecyzyjne, ogólne, odbiegające od rzeczywistości, przez co ustawa była kulejąca i nie spełniała oczekiwań, zgodnie z którymi została uchwalona. W ciągu ostatnich lat trwały prace nad wprowadzeniem nowej ulepszonej regulacji wraz z uwzględnieniem zwiększenia ochrony praw nabywcy. Nowa ustawa deweloperska budzi wiele kontrowersji i wątpliwości. Największe zmiany dotyczą deweloperów oraz banków, które przez narzucone regulacje i nowe instytucje determinują zwiększoną ilość pracy i obowiązków.

DFG

Jedną z najistotniejszych zmian jest utworzenie DFG, czyli Deweloperskiego Funduszu Gwarancyjnego. W kryzysowych sytuacjach, takich jak upadłość dewelopera lub banku, nabywcy otrzymają zwrot wpłaconych środków. Oprócz tego podstawą do wypłaty z DFG mają być także niektóre z działań dewelopera, np. kiedy nie wywiązuje się on ze swoich ustawowych obowiązków. Składka na DFG będzie wynosić 1 proc. przy otwartym rachunku powierniczym lub 0,1 proc. przy zamkniętym rachunku powierniczym. Deweloper zobowiązany jest do odprowadzania bezzwrotnej składki, co w praktyce spowoduje wzrost cen nieruchomości. Dodatkowo funkcjonowanie funduszu zwiększy liczbę obowiązków banku, m.in. poprzez ewidencję wpłat, co również znajdzie przełożenie w cenie.

UMOWA REZERWACYJNA

Kolejną istotną regulacją jest unormowanie instytucji umowy rezerwacyjnej. Dotychczas strony umowy miały pełną swobodę w ich zawieraniu. Nowa ustawa wprowadza obowiązek zawarcia umowy rezerwacyjnej na piśmie, pod rygorem nieważności, z maksymalną wysokością opłaty rezerwacyjnej, która nie może przekraczać 1 proc. ceny nieruchomości. Zasadniczo dotychczas wysokość opłaty rezerwacyjnej oscylowała najczęściej w granicach 3–7 proc. Co więcej, na dewelopera narzucone zostały dodatkowe obowiązki. Zobowiązany jest on m.in. do przekazania prospektu informacyjnego przed podpisaniem umowy rezerwacyjnej. W praktyce oznacza to więc, że deweloper nie będzie mógł rozpocząć procesu rezerwacji lokali przed podpisaniem umowy na rachunki powiernicze.

WADA ISTOTNA I NIEISTOTNA

Niewątpliwie ważnym aspektem jest również odbiór lokalu od dewelopera. W tym zakresie ustawodawca też wprowadził nowe regulacje, obok tych już obowiązujących. Nowa ustawa daje nabywcom prawo do odmowy obioru lokalu w przypadku stwierdzenia wad istotnych. Czym jest więc wada istotna? Niestety, nie znajdziemy nigdzie definicji legalnej tego pojęcia, tak więc wyobrazić sobie można, jak ogromne problemy interpretacyjne to spowoduje. Jeśli deweloper uzna wadę za istotną, będzie on zobowiązany do jej usunięcia w terminie 30 dni od momentu podpisania protokołu. W przypadku niemożności usunięcia wady w tym terminie, deweloper wskazać musi dodatkowy termin. Po jego upływie nabywca wskazuje deweloperowi termin. W przypadku, gdy deweloper ponownie nie wypełni swoich obowiązków – nabywca ma prawo do odstąpienia od umowy. Podobnie procedura wygląda w przypadku wady nieistotnej, lecz tutaj, po niedotrzymaniu obowiązku usunięcia wady przez dewelopera – nabywca ma prawo do usunięcia wady na koszt dewelopera. Regulacja ta może wywołać sporo problemów, choćby przez wzgląd na to, że nabywca samodzielnie ingeruje w budynek, a co więcej – deweloper nie ma kontroli nad kosztem prac. Celem tych regulacji miało być przyspieszenie usuwania wad, natomiast spodziewać się można, że okażą się one niebezpieczne dla deweloperów.

Śmiało stwierdzić można, że nowe przepisy wpłyną na całą branżę nieruchomości, a ponadto pośrednio dotkną wszystkie podmioty zaangażowane w proces budowy. Zmiany odczują również nabywcy, ponieważ m.in. poprzez wprowadzenie zwiększonej kontroli banku i DFG wzrosną koszty realizacji przedsięwzięcia deweloperskiego. Można się spodziewać, że część z tych kosztów zostanie przeniesiona na nabywcę. Nowa ustawa budzi więc liczne wątpliwości i kontrowersje, natomiast z ostateczną oceną regulacji wstrzymać się należy do momentu jej wejścia w życie i praktycznego zastosowania. Wiadomo już jednak, że niedoprecyzowane zapisy generować będą niepotrzebne spory sądowe. Tak więc, czy został spełniony główny cel nowelizacji?

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl e77d6b1577

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI OPPO ENCO FREE 2

Niewielka waga, nowoczesne wzornictwo, niezła jakość dźwięku i zaskakująco dobry system redukcji hałasu jak na tę półkę cenową – to największe zalety dokanałowych słuchawek chińskiej firmy Oppo, które plasują się pośrodku między tanim modelem Enco Air a rewelacyjnym, ale już dość drogim Enco X.

Minimalistyczny design sprawia, że niewielkie białe słuchawki – ważące zaledwie 10 g – mogą się podobać. Są przy tym wygodne nawet przy wielogodzinnym użytkowaniu i na tyle dobrze wyprofilowane, że stabilnie trzymają się uszu nawet podczas gwałtowniejszych ruchów głową. Nieźle, choć jak dla mnie zbyt połyskliwie wygląda również białe etui będące jednocześnie ładowarką i powerbankiem dla bezprzewodowych słuchawek.

Dzięki obsłudze technologii Bluetooth 5.2 bezprzewodowe słuchawki szybko łączą się z telefonem czy laptopem i utrzymują stabilne połączenie. Bardzo dobrze działa też sterowanie dotykowe, pozwalające nie tylko na przełączanie utworów czy regulację głośności, lecz także nawet – przy połączeniu ze smartfonami Oppo – szybkie zrobienie zdjęcia (wystarczy dwukrotnie dotknąć białą „łodygę" słuchawki).

Enco Free 2 zostały stworzone we współpracy z Hi-Fi Dynaudio, brzmią więc bardzo dobrze, choć gorzej niż droższe Enco X. Bas jest mocny, niskie tony jednak nie dominują, dzięki czemu wokale i średnie tony są dobrze słyszalne, a brzmienie, choć dynamiczne, jest pełne detali. Jakość dźwięku jest w miarę przyzwoita również podczas rozmów telefonicznych, choć przy wietrznej pogodzie rozmówcy mogą już skarżyć się na wyraźnie słyszalne odgłosy wiatru. To, co w tym modelu robi jednak największe wrażenie, to system redukcji hałasu (ANC) – jak na tę półkę cenową stoi on na dość wysokim poziomie i skutecznie wycisza np. odgłosy ruchliwej ulicy czy szum w tramwaju.

Na pochwałę zasługują też zastosowane w słuchawkach i etui baterie. Testowane słuchawki długo wytrzymują na jednym ładowaniu (ok. czterech–pięciu godzin z włączonym trybem ANC, do których można dodać ok. 20 godzin dzięki energii zmagazynowanej w błyszczącym futerale) i szybko się ładują (uzupełnienie energii „do pełna" trwa ok. 1,5 godziny). Testowany model nie oferuje jednak możliwości ładowania bezprzewodowego.

Inne wady? Rozczarowuje ograniczona liczba kodeków. Obsługiwane są tylko podstawowe – AAC oraz SBC – choć droższy o ok. 150 zł model Enco X oferuje już wsparcie np. dla wysokiej jakości kodeka LHDC. Szkoda też, że testowany model nie obsługuje popularnego kodeka aptX. Druga wada: przeciętna odporność na pył i wodę. Oznaczenie IP54 oznacza, że słuchawki są więc odporne na niewielką ilość bryzgającej wody, ale ani na chwilę nie powinny zanurzyć się w kałuży czy basenie. Konkurenci w podobnej cenie oferują już chociaż IP55. Brakuje również możliwości sparowania słuchawek z więcej niż jednym urządzeniem jednocześnie.

Mimo tych minusów Enco Free 2 to nie tylko zdecydowanie lepszy model niż Enco Air, lecz także jedne z najlepszych słuchawek z aktywną redukcją hałasu w klasie do 500 zł. Podczas zimowych wyprzedaży trzeba za nie zapłacić ok. 490 zł. ©℗

Jacek Przybylski

HUAWEI KONTRATAKUJE

P50 Pro i P50 Pocket. To nowe smartfony firmy Huawei, która mimo utrudnień ze strony władz USA pokazuje, że Chińczycy wciąż trzymają się mocno. Pierwszy z nich, P50 Pro, to model dla miłośników cyfrowych zdjęć. Podwójny moduł fotograficzny, optyka Huawei XD, matryca o wielkości 50 MP w aparacie głównym oraz technologia True-Chroma mają ułatwić robienie świetnych zdjęć. Z kolei P50 Pocket to pierwszy smartfon tej marki, który można złożyć na pół i schować do kieszeni. Po rozłożeniu kompaktowego smartfona wyświetlacz ma wielkość aż 6,9 cala. Gadżet jest wyposażony m.in. w tryb Super Privacy – po złożeniu smartfon automatycznie wyłącza kamery, mikrofon oraz lokalizację i włącza je dopiero po ponownym rozłożeniu. Model P50 Pro kosztuje 5499 zł, a P50 Pocket 6499 zł. Do 8 lutego trwa oferta przedsprzedażowa, w której oba modele można kupić w promocji ze słuchawkami lub smartwatchem.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LODÓWKA NA TRUDNE CZASY

Świat walczy z COVID-19, Chiny odkryły nowego koronawirusa, a Rosja grozi wojną. W takich czasach wiele osób woli robić zakupy rzadziej, ale za to o wiele większe niż kiedyś. Z myślą o nich firma Haier stworzyła czterodrzwiową lodówkę Cube HTF-610DSN7. Producent deklaruje, że choć ma ona wymiary standardowej lodówki (90 cm szerokości), to oferuje o jedną piątą więcej miejsca na przechowywanie żywności. Urządzenie jest też wyposażone w innowacyjny system antybakteryjny ABT, który wykorzystując światło ultrafioletowe, usuwa ponoć nawet 99,9 proc. bakterii. Lodówka jest też podzielona na specjalne strefy, które pozwalają dłużej utrzymać świeżość określonych grup produktów. Model został wyposażony w technologię Fresher Techs – pozwala na dłuższe zachowanie świeżości produktów – oraz funkcję Moisture Zone, która utrzymuje wilgotność w wybranej komorze na poziomie 90 proc., co docenią miłośnicy warzyw i owoców. Cena: 7299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl e77d6b1577

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Grób Wołodyjowskiego

JACEK KOMUDA

Kamieniec to jeden z „kluczy" do granic Rzeczypospolitej, których w XVII w. było jeszcze trzy – Gdańsk, Ryga i Smoleńsk. Tutaj zginął pierwowzór najtragiczniejszego bohatera „Trylogii" – Michał Jerzy Wołodyjowski, stolnik przemyski, który zdecydował się wspólnie z Ketlingiem wysadzić fortecę w powietrze po poddaniu jej Turkom.

Jak jednak wyglądała rzeczywistość historyczna, a nie powieściowa? Kto był winien temu, że historyczny Jerzy Wołodyjowski zginął 26 sierpnia na Starym Zamku? Odpowiedź jest prosta – obywatele ówczesnej Rzeczypospolitej. Korona i Litwa były bowiem w 1672 r. podzielone na dwa zwalczające się wściekle obozy: szlachecko-magnacki, wspierający króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, i stronnictwo malkontentów na czele z prymasem Mikołajem Prażmowskim oraz hetmanem Janem Sobieskim. Malkontenci usiłowali doprowadzić do detronizacji władcy i osadzenia kandydata francuskiego, a nawet do interwencji zbrojnej. Obóz królewski zaś – podobnie jak dziś opozycja totalna – do pozbawienia przeciwników godności i urzędów, a w końcu postawienia ich przed sądem.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nikt nie wierzył w atak turecki na Ukrainę, a kiedy hetman Sobieski alarmował, że potrzeba wojska do obrony, dwór uczynił wszystko, aby odebrać mu prochy i ludzi, próbował nawet buntować armię koronną, aby pozbawić go władzy.

Kamieniec znajdował się prawie w ruinie. Nowy Zamek, jak podaje Piotr Derdej, był przestarzały, gdyż nie chronił miasta i Starego przed nowoczesną artylerią. Stary zaś, zbudowany z kamienia, był łatwy do zniszczenia. Jak pisze autor: „Reszta szlachty w Rzeczypospolitej uważała, że Kamieniec jest fortecą tak potężną, że zawsze oprze się wszelkiej nawale, a zatem ani remontować, ani modernizować go nie trzeba". Co gorsza, nie zgodzono się, aby komendantem twierdzy został doświadczony generał Marcin Kącki, ale stanowisko to powierzono staroście kamienieckiemu Mikołajowi Potockiemu, dobremu dowódcy jazdy, nieznającemu się jednak na obronie twierdz.

Załoga liczyła ok. 1,5 tys. ludzi, sam Wołodyjowski przyprowadził… 24 dragonów i kilkunastu jeźdźców. Tymczasem ogromna armia sułtana podeszła pod miasto 16 sierpnia. Jednak zamiast szturmować – wrogowie rozpoczęli ostrzał miasta i zamków z dalekonośnej artylerii ustawionej na wzgórzach wokół Kamieńca. Już 20 sierpnia wyleciała w powietrze część Starego Zamku, bo pocisk trafił w prochownię. Równocześnie minerzy drążyli kilka podkopów, aby wysadzić umocnienia Nowego.

W takim położeniu postanowiono, aby 25 sierpnia wycofać się do Starego Zamku, który zbudowany był na skałach – Wołodyjowski sądził, że Turcy nie wykonają w nich podkopów. Mylił się, a jego decyzja okazała się zgubna w skutkach. Kamienne mury Starego Zamku waliły się bowiem w gruzy pod ogniem artylerii. Obrońcy wprawdzie pozostawili w Nowym miny, które wybuchły, zadając Turkom straty, ale nie obróciły w gruzy całej fortecy, a jej teren okazał się doskonały do ostrzału Starego – można to nawet sprawdzić dzisiaj. Co więcej, Turcy wcale nie zaniechali drążenia podkopów, bijąc je w skale pod Basztą Dymną, i wysadzili w powietrze duży odcinek murów. Wołodyjowski i inni oficerowie postanowili zatem zburzyć Stary Zamek, aby bronić się zza wału usypanego z ziemi i gruzu. Jednak Potocki i część dowództwa postanowili wówczas poddać miasto.

Wołodyjowski wrócił na Stary Zamek, aby zabrać swoich ludzi. Kiedy wjechał na dziedziniec, miał miejsce wybuch, w wyniku którego zginął, zabity odłamkami gruzu. Eksplozja była niespodziewana – Polacy myśleli, że Turcy wysadzili minę, Turcy, że przeciwnik zerwał negocjacje! Historycy i pamiętnikarze nie byli w stanie ustalić ostatecznej wersji. Stanisław Makowiecki twierdził, że Stary Zamek wysadził w powietrze mjr Hejking, artylerzysta służący w Kamieńcu od czasów króla Władysława. Inni przyjmują, że wybuch był przypadkowy. Istnieje także druga wersja śmierci Wołodyjowskiego – w której wjechał on na dziedziniec konno i został w czasie wybuchu przypadkowo ugodzony w głowę kartaczem z polskiego działa, gdyż po eksplozji wystrzeliły wszystkie załadowane armaty. Jego ciało, według relacji Stanisława Makowieckiego, znaleźli on sam i wielki wezyr turecki, który wkroczył na zamek, aby sprawdzić, co się stało. „Na ziemi leżał trup Wołodyjowskiego – pisze – cała tylna część głowy była wyrwana, kości z czaszki i mózgu ani znaku, jedna twarz w całości została" […]. Szczątki stolnika przemyskiego pogrzebano w kościele Franciszkanów w Kamieńcu, gdzie leży do dziś.

Jak dziś odnaleźć miejsce śmierci pana Michała? Wystarczy wejść na Stary Zamek bramą od strony miasta i zatrzymać się na dziedzińcu, mając po prawej ręce ruiny baszty prochowej. To właśnie tutaj zginął „Hektor Kamieniecki". ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

NALEŚNIKI Z „RUSKIM" NADZIENIEM ŁUKASZA SOBOLEWSKIEGO

Będę szczery – kuchnia nie jest moim ulubionym miejscem w domu. Kanapki, jajecznica, deska serów – na tych odcinkach czuję się jeszcze w miarę pewnie, ale im dalej w las...

Jest jednak drobne odstępstwo od tej reguły – naleśniki. Tu – tym razem będę nieskromny – z trudnych do określenia powodów jestem mistrzem.

Oto przepis na jedne z moich ulubionych – naleśniki z nadzieniem z ziemniaków i twarogu. To taka alternatywa pierogów zwanych „ruskimi". Proste i smaczne!

Przepis na idealne naleśniki:

- szklanka mleka (może być roślinne, najlepiej owsiane lub migdałowe)
- szklanka mąki pszennej
- 2 jajka
- 1/2 szklanki wody gazowanej
- szczypta soli
- szczypta cukru
- olej roślinny do smażenia

Składniki do prostego nadzienia:

- 3 duże wcześniej ugotowane ziemniaki lub 5 mniejszych
- 300 g sera białego
- pół cebuli
- sól i pieprz do smaku

Przygotowanie:

Naleśniki przygotowujemy według podstawowego przepisu: mieszamy mikserem wszystkie składniki i odstawiamy na kilkanaście minut, żeby ciasto „odpoczęło".

W tym czasie przygotowujemy nadzienie. Ziemniaki razem z twarogiem rozgniatamy widelcem, jak najdrobniej. Cebulę drobno kroimy i lekko podsmażamy na oleju na złoty kolor. Dodajemy do ziemniaków i twarogu. Doprawiamy do smaku pieprzem i solą.

Naleśniki smażymy na dobrze rozgrzanej patelni na niewielkiej ilości oleju. Powinno wyjść ok. 10–12 cienkich naleśników.

Farsz nakładamy na naleśniki i zawijamy dowolnie, np. w kopertę, rulon lub trójkąt. Najlepiej smakują, kiedy po zawinięciu krótko je podsmażymy na patelni lub ułożymy w naczyniu żaroodpornym posmarowane odrobiną masła i podpieczemy ok. 15 minut w 180 st. C.

Serwujemy z surówką z kiszonej kapusty. Smacznego! ©℗

oprac. raw

Łukasz Sobolewski jest dziennikarzem, prezenterem Telewizji Polskiej i Polskiego Radia, konferansjerem.

FOT. ARCHIWUM ŁUKASZA SOBOLEWSKIEGO

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Przeklnij mnie

JOANNA BOJAŃCZYK

FOT. ADOBE STOCK

Seks, przemoc, wulgarny język". Na Netflixie już prawie nie ma filmu ani serialu, który nie zamieszczałby takiego ostrzeżenia. Jeszcze tylko w filmach dla dzieci tego nie ma. Po co ostrzeżenie? Przecież widz już oswoił się z tym, że tak mówią wszyscy, że po prostu tak się mówi. W każdej grupie wiekowej, zawodowej, towarzyskiej. Że w ogóle nie powinno to dziwić, to normalne wyrażanie emocji. Szczerość.

Niestety, nie mogę się przyzwyczaić. No po prostu nie mogę. W domu moich rodziców ani w najbliższej rodzinie nikt tak nie mówił, nie mówimy tak w naszej sporej rodzinie. Słowo „cholera" moja mama wymawiała rzadko, tylko jak była bardzo zdenerwowana, i zawsze opatrzone było zdaniem: „Przepraszam za wyrażenie". Mocniejsze słowa, te, które padają w każdym zdaniu bohaterów współczesnego kina, nie przeszłyby moim rodzicom przez gardło. Może nawet nie wiedzieli, że istnieją, bo prawdę mówiąc, taki język w literaturze ani w prasie też nie był używany.

Zaczęło się to rozkręcać gdzieś pod koniec lat 90. Jeśli chodzi o polskie kino, to najpierw były, o ile się nie mylę, „Psy" Pasikowskiego. Niby usprawiedliwione, bo było o sferach przestępczych. Ale potem był Adaś Miauczyński w „Dniu świra", niby-inteligent. Przyznam, że nie zdołałam ani polubić, ani docenić tego filmu, który obrzydził mi bohater swoim wulgarnym językiem. Sama, prawdę mówiąc, nie znałam inteligentów, którzy tak mówią, więc ta postać wydawała mi się mało prawdopodobna dla środowiska, którego pan M. miał być przedstawicielem. Po Miauczyńskim poszła lawina i dzisiaj nie ma już filmu ani serialu, w którym seryjnie nie padają słowa na k, na p, na j.

Nie tylko kino współczesne: w usta postaci historycznych też wkłada się te wyrazy; rzekomo mają przybliżyć bohaterów dzisiejszemu widzowi. Ale czy tak naprawdę mówiono?

O polityce nie mówmy: wystarczy posłuchać, jak na taśmach wyrażają się ci panowie, wystarczy stanąć pod szkołą i posłuchać nastolatków, zapoznać się z twórczością raperów.

Jasne, że dawniej przeklinali. Choroby, zarazy, wrogów. Tylko czy wszyscy czy raczej pewne grupy społeczne (klnie jak szewc), i to nie w każdej sytuacji i nie inkrustując tymi ozdobnikami każdej wypowiedzi. Język bohaterów Rabelais'go, Gargantui i Pantagruela, trudno byłoby uznać za salonowy. W genialnym tłumaczeniu Boya (przydała mu się wiedza z anatomii i fizjologii) jest jednak on dosadny, malowniczy i obrazowy, nie wulgarny.

Już widzę, jak uwspółcześniłby go nowy przekład. To proste. Co drugie słowo byłoby k.... ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Samolot, który zakaża

Siedmiu spośród polskich olimpijczyków ma wynik pozytywny na COVID. Wygląda to trochę dziwnie, bo wsiedli wszyscy do samolotu zdrowi (a właściwie negatywni na teście), a siedmiu wylądowało chorych. Zakaził ich samolot. Teraz nie wiadomo, co począć z takimi. Testować do skutku, a w międzyczasie na izolację? Odesłać do domu? Chorych do samolotu? A może jak zakaża zdrowych, to też uzdrawia chorych? Taki samolot? Domniemywać należy, że wszyscy byli zaszczepieni, bo inaczej by na olimpiadę nie polecieli. A więc zestaw „szczepienia, a potem jeszcze test" nie bardzo jest szczelny.

Kłopot z tymi igrzyskami. Letnie jakoś przeleciały z tymi szczepieniami i testami. Nie było zbyt wielu ofiar testów wśród sportowców, nie przepadli faworyci. Ale to były inne czasy. Mieliśmy wypłaszczenie sezonowe, spokojniejsze warianty. Nie to, co teraz.

Mamy pik sezonowych infekcji dróg oddechowych, falę zakażeń o rekordowej skali, dziwnie skorelowaną z poziomem zaszczepień. Tam, gdzie ich więcej, zakażenia wzrastają, i to głównie wśród… zaszczepionych. Tak jak w przypadku naszych olimpijczyków. Zjeżdżają się sportowcy, trenerzy i działacze w sumie do kraju niechlubnej wylęgarni całego problemu. Może być nieciekawie, ale władzom Chin tak zależy, by się wszystko odbyło (nawet poszła prośba do Putina o odłożenie ataku na Ukrainę), że nawet wirus nie powinien tu być problemem, bo inaczej masowo zagroziłby igrzyskom.

Zobaczymy, w jakiej formie jest sportowy świat. Były obawy przed letnimi igrzyskami, że w słabej, bo to i potrenować nie bardzo było gdzie i jak, i pograć z innymi czy pouczestniczyć w motywujących zawodach. Jednak latem poszło dobrze. Nawet nie było jakiejś większej fali po igrzyskach, choć Japończycy bardzo uważali. Chiński lud też jest karny, a więc może się potoczyć dobrze. Zobaczymy, jak z formą sportowców, teraz już wielekroć zaszczepionych, nie tak jak latem, przed Tokio.

Natomiast z formą na zimowej olimpiadzie może być krucho. Jak widać po naszych skoczkach narciarskich. Forma słaba (pechowy ten TVN, bo podkupił od TVP skoki, a tu Polacy spadają zaraz za progiem), co chwilę się zakażają (testami), utyskują, że tak nie miało być i nie po to się zaszczepili. Zobaczymy, czy to tylko na nich padło czy inne reprezentacje będą miały podobne kłopoty.

A może tajemnica zachorowania na samolot jest prozaiczna. Może się ukrywać w różnym sposobie testowania. Niewiele słychać, bo temat jest drażliwy. W końcu wynik testu mógł być inny, bo w Polsce był pobierany wymaz z nosogardzieli, a mówi się, że w Chinach testują doodbytniczo. Właśnie przeczytałem, że Chińczycy powrócili do tej kontrowersyjnej metody tuż przed olimpiadą, ale nie wiem, czy utrzymali to wobec sportowców. Nie mam gdzie sprawdzić, a jeśli to prawda, to pewnie nikt nie będzie się chciał przyznać. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Pokonać sanitarne „ORMO"

Pisząc niedawno o projektach segregacyjnych, zwróciłem się do posłów popierających te ustawy, przypominając im, że każdy ma nieograniczone prawo do autokompromitacji. Nie wiedziałem, że tak szybko z tego prawa skorzysta młody polityk uważany za nadzieję konserwatystów. Prawnik, konstytucjonalista, jawił się jako obrońca cywilizacyjnego porządku. Wiceminister edukacji, dr Tomasz Rzymkowski, przyznał w Polskim Radiu, że ma „pełną świadomość negatywnych konsekwencji nauczania zdalnego, natomiast w tej sytuacji [...] musieliśmy zdecydować się na taki ruch, aby ułatwić działanie sanepidu".

Ostatnie dwa lata oswoiły nas z różnymi absurdami, ale trudno było przypuszczać, że tak prędko zgodzimy się, by odwrócić i zakwestionować to, co w naszej kulturze zawsze istniało, czyli nakaz ratowania i ochrony, w pierwszej kolejności najsłabszych: dzieci, kobiet i chorych. Otóż Rzymkowski akceptuje poświęcanie dzieci, w trosce o… wydolność sanepidu, by urzędnicy mogli nadążyć z zamykaniem zdrowych ludzi w domach. W tej chwili na kwarantannie i w izolacji pozostaje ponad milion osób i trudna do oszacowania grupa rodziców, którzy musieli pozostać z dziećmi.

Po dwóch latach dysponujemy wystarczającą ilością danych, które udowadniają, że z wszelkich pozamedycznych antycovidowych środków właśnie izolacja i kwarantanna są najbardziej szkodliwe, a jednocześnie najtrudniejsze naukowo do obrony. Polska w UE osiągnęła niechlubny rekord w liczbie dni zdalnego nauczania. Więzienie dzieci w domach odbija się na ich rozwoju, poziomie nauczanie, lecz przede wszystkim na ich psychice. Nastąpił wzrost samobójstw wśród młodzieży szkolnej. W 2019 r. było ich 98, natomiast w 2021 r. już 119. To trzykrotnie więcej niż ofiar COVID-19 w tej grupie wiekowej.

Na szczęście system nie jest szczelny. Okazało się, że są w Polsce szkoły (niepubliczne) i odważni dyrektorzy, którzy od początku ogłoszenia pandemii prowadzą zajęcia normalnie i – co najciekawsze – realizują to, nie łamiąc prawa. Warunkiem jest zgoda rodziców i zdecydowany opór wobec bezprawnych nacisków z zewnątrz. Znam przykłady z Małopolski, gdzie sanitarne „ORMO" (donosiciele, którymi okazali się nauczyciele z innych szkół) domagało się od kuratorium zamknięcia tej jedynej czynnej szkoły. Tym razem solidarna postawa rodziców, dyrekcji i organu założycielskiego pozwoliła pani kurator zignorować donosy i przychylić się do woli rodziców. Ponieważ covidowi hejterzy, licząc na wsparcie głównych mediów, nie odpuszczają, nie ujawnię miejscowości i nazwy tej szkoły. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mężczyźni, owszem. Ale czemu męscy?

Sytuacja jest zwykła, normalna, banalna: nikt nie wie, o co chodzi. Świat potwornie przerażony wirusem COVID-19, wyizolowany, zamaseczkowany, zarespiratorowany (Jest w ogóle takie słowo? A niech będzie, że jest, że neologizm, że autor taki językowo twórczy, może się ktoś nabierze), ten świat nagle z nieznanych przyczyn zmienia kurs tankowcem C19.

Otóż rozdęte Angole, czyli Wielka Brytania, informują, że nie będą już codziennie informować o zakażeniach i zgonach na tę przerażającą do niedawna chorobę oraz że należy zacząć ją traktować jak sezonową grypę. Ale chwileczkę, zaraz, zaraz, chwilunię, bo ja czegoś nie rozumiem. Czy COVID przestał covidować czy zasłabł, roztrwonił swe mordercze siły, czy też strategia świata traktowania ludzi jak więźniów przez polityków zasłabła i straciła siły? Jak już pisałem, nie wiadomo. Było tak, a jest śmak. Nie ma co drążyć, mądrzejsi od nas regulacją naszego życia się zajmują. Mądrzejsi? Czy aby na pewno? Na szczęście w Polsce przez to, że Polakom trudno się w ogóle dogadać i jest za wiele mądrych zdań, a działania są niespieszne, nic nie uradzono, niczego nie przyjęto w sprawie C19 i nie ma się specjalnie z czego wycofywać. Błogosławione kłótliwe lenistwo, czyli Polska nierządem stoi.

Twitter żył także słowami Joanny Przetakiewicz, która nieprawda, że jest znana tylko z tego, że była wieloletnią partnerką miliardera Jana Kulczyka. Nie wiem, czy się nie narażam na proces, ale wydaje mi się, że Jan Kulczyk był heteroseksualny, ma dwoje dzieci i w ogóle. Czemu ja o takich sprawach? No bo pani Przetakiewicz powiedziała, że ona nie zatrudnia heteroseksualnych mężczyzn, że się z nimi nie dogada, że ona się dogaduje tylko z facetami LGBT. Teraz cokolwiek bym napisał, to się narażam na proces, także wezmę i zmienię temat. Ten zakończę tylko w ten sposób, że i pani Asia naraża się na proces takimi wyznaniami, gdyż jest to dyskryminacja ze względu na preferencje seksualne w czystej postaci.

Było już o rozszerzonych Angolach? No! To jeszcze raz. Angole wsadzili do paki feministkę Jennifer Swayne za mowę nienawiści i transfobię. Nie podobało się jej, że przestępcy seksualni, którzy mają trafić za kratki, nagle deklarują, że są kobietami, i wsadza się „je" do zakładów dla kobiet jak lisa do kurnika. Jej się także nie podobało, że są faceci, którzy w różnych konkurencjach sportowych nie mają szans z facetami, czują się kobietami i z kobitami wygrywają. Bardzo niebezpieczna ta feministka, myśli.

Cywilizacje, w których prawodawstwem zajmują się kretyni, są skazane na zagładę. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Polaku, nie leż odłogiem!

Małgośka, mówią mi, skoro nie mamy wpływu na to, co się dzieje, to po co się denerwować i angażować? Ciekawe, czy nie to samo powtarzają sobie króliki doświadczalne w laboratoriach, aby móc żreć, spać i rozmnażać się w najlepsze, zanim przyjdzie im dołączyć do krainy wiecznych łowów.

Ileż to już razy powtórzyliśmy od 17 grudnia słowa „nowe Monachium", „Jałta" lub zmarszczyliśmy czoło na wieść, że car z kanclerzem znów podają sobie łapy ponad naszymi głowami, po czym – jak gdyby nigdy nic – poszliśmy sprawdzić, co mają w ofercie nasza lodówka, telewizor i Netflix. Dlatego nie toleruję powiedzonek, które usypiają czujność i pozwalają siedzieć z założonymi rękami. Nie odmawiajmy sobie mocy wpływania na rzeczywistość, nawet tej najmniejszej. Sceptykom zawsze powtarzam, że przeciętny Polak w 1939 r. nie miał żadnej możliwości wpływania na europejską opinię publiczną, a dziś każdy, kto „speak English", „parle français", może zjawiać się na forach dyskusyjnych lub w komentarzach pod artykułami i leczyć Europejczyków z ignorancji lub obojętności. To tak niewiele kosztuje, a czasem naprawdę można sporo namieszać w uśpionych sumieniach i głowach pełnych rosyjskiej propagandy.

Miliony zagonionych Europejczyków są święcie przekonane, że Putinowi chodzi wyłącznie o akcesję Ukrainy do NATO i dlatego należy zgodzić się na to jego drobne żądanie, żeby móc wreszcie nie oglądać jego nabzdyczonej twarzy na wszystkich kanałach informacyjnych. Niestety, nam się ciągle zdaje, że świat wie o naszym sąsiedzie tyle co my. A mnie wystarczyło obwieścić na pewnym forum profesorów hiszpańskich, że Rosjanie są także potomkami Złotej Ordy, aby zostać wyproszoną z grona za niedopuszczalną rusofobię. Imputowanie potomkom Dostojewskiego i Tołstoja, że mogliby mieć cokolwiek wspólnego z imperium Mongołów, okazało się kamieniem obrazy, nawet jeśli w naszym gronie nie było ani jednego przedstawiciela „russkowo mira".

Ja się jednak nie zrażam, choć przyznaję, że brak mi talentów dyplomatycznych i flegmy. Jestem już wytrenowana w opuszczaniu przyjęć przed czasem. Już tu kiedyś opisywałam, jak mi Francuzi podziękowali za przypomnienie im niechlubnego wkładu w Holokaust. Służę pomocą wszystkim narodom, którym mgła covidowa odebrała pamięć kolaboracji, bo niewiele jest takich, które mogą udzielać nam lekcji moralności. Chwała naszym przodkom, bo dzięki nim możemy nosić wysoko głowę na europejskich salonach. Ale też przełykamy łzy, bo salony nie wiedzą, a raczej nie chcą wiedzieć o Rosji tego, co wiemy my. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Samokolonizacja” czy renesans tożsamości?

Bułgarski historyk Aleksander Kiossew ukuł niedawno efektowny neologizm „samokolonizacja”, którym określił stan świadomości w krajach, które zostały ostatnio przyjęte do zachodnich struktur gospodarczych i bezpieczeństwa, uznając niejako ich wyższość cywilizacyjną. Stwierdził on, że w społeczeństwach Europy Środkowo-Wschodniej „nowoczesność” typu zachodniego nie jest oparta na rodzimych tradycjach kulturowych ani nie została zaszczepiona siłą przez kolonizatorów, jednak stanowi wzorzec przyjmowany w dużej części społeczeństwa jako swego rodzaju kult. Pojęcie „samokolonizacji” ma swoje ograniczenia semantyczne, ale może być użyteczne w opisie stanu kultury państw Trójmorza. „Samokolonizacja” ich kultur jest jednak nie tylko skutkiem przyjęcia do Unii Europejskiej czy NATO, lecz także reakcją na dekady kolonizacji sowieckiej, która ekstrahowała z ich tradycyjnych kultur istotne wartości, pozostawiając głównie powierzchowny sztafaż.

Pojęcie „samokolonizacji” nasuwa myśl o różnych, często sprzecznych składnikach kultur omawianych państw i narodów. Z jednej bowiem strony mamy pamięć i tradycję, sięgające w wielu przypadkach ponad tysiąc lat, z drugiej – pozostałości sowietyzacji dwóch lub trzech pokoleń, a z trzeciej strony – wyzwania „nowoczesności” związane z gonieniem współczesnych standardów zachodnich. Jeśli rozważyć rolę tradycji i nowoczesności w świadomości narodów Trójmorza, to sowietyzacja odegrała i nadal odgrywa sporą rolę. Pozostawiła ona w świadomości tych społeczeństw przekonanie o względnym zacofaniu odziedziczonym po czasach „kapitalistycznych”, wiarę w skuteczność „doganiania”, a nawet „przeganiania” Zachodu przy użyciu narzędzi „socjalizmu” oraz załamanie tej wiary w obliczu fiaska modernizacji komunistycznej. Pozostawiła też przekonanie o ogromnym znaczeniu materialnych składników kultury, w której to dziedzinie „socjalizm” całkowicie zawiódł, a Zachód triumfował. Doświadczenie komunizmu pogłębiło więc w istocie kompleksy zacofania i dodatkowo odstręczyło od wspominania dawnej tradycji.

Mieszkańcy państw Trójmorza stanęli w obliczu otwarcia na Zachód z bagażem poczucia niższości i lekceważenia dawnej tożsamości. Ilustracją tej sytuacji może być fakt, że stosunkowo dobrze wykształcony obywatel Polski, Węgier czy Rumunii był akceptowany w pracy na Zachodzie poniżej swych kwalifikacji oraz dysponował znacznie mniejszym dochodem i majątkiem niż przeciętny obywatel państw zachodniej Europy. Być jak człowiek Zachodu stawało się psychologicznym imperatywem, ale cel ten był na ogół trudno osiągalny. Rodziło to bolesne frustracje, choć także odruch obronny w postaci dumy i własnej godności, choćby na użytek własny. Czynnik ten nazwać można częścią owej „rewolucji tożsamości”, o której pisał Francis Fukuyama, a ostatnio także, w odniesieniu do Francji, Éric Zemmour.

Renesans tożsamości ma zresztą dodatkowy napęd w postaci coraz bardziej oczywistego kryzysu Zachodu, wynikającego z zakwestionowania własnej tożsamości, ignorowania zagrożeń islamskich i politycznej poprawności, która zagłusza zdroworozsądkowe analizy. Zachód, którego kultura była idolem kolonizującym duchowo kraje Trójmorza, traci tu aureolę świętości, a „siła bezsilnych” społeczeństw Trójmorza, żeby użyć metafory Václava Havla, okazuje się całkiem solidna. Wystarczy przypomnieć, że wzrost gospodarczy nowych państw członkowskich Unii Europejskiej był w ostatniej dekadzie wyraźnie szybszy niż w „starej” Unii. Nadal jednak społeczeństwa Trójmorza nie do końca zdają sobie sprawę z tej siły, a ich elity polityczne często bez sensu działają poniżej swych możliwości i podczepiają swoje kraje do zwalniającego pociągu unijnego, w którym głównym rozgrywającym są Niemcy.

W świadomości obywateli państw Trójmorza mieszają się więc odruchy pamięci o dawnej tradycji, zakwestionowanej przez „samokolonizację”, ale odświeżane przez renesans tożsamości. Które z tych składników będą sprzyjać budowie wspólnoty interesu w państwach Trójmorza, państwach – pamiętajmy – połączonych już silnie więzami współuczestnictwa w NATO i Unii Europejskiej? Renesans tożsamości może pomóc, jeśli połączy w sobie poczucie własnej godności i siły, zdrowe podejście do materialnych i duchowych składników kultury. We współczesnym świecie narody Trójmorza nie są skazane na kopiowanie zachodniej drogi donikąd, dysponują nadal zasobami energii i wartości, które, obudzone, nie tylko pozwolą im przetrwać, lecz także w jakiejś mierze mogą uratować Zachód. Chyba że Rosja znów zdemoluje nasz świat. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

FORSA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Stare gazety odkładam koło kibla i potem przeglądam z dużym opóźnieniem. To bardziej pouczające niż czytanie ich na świeżo. No na przykład… Ci sami decydenci, którzy rządzą teraz, w roku 2020 zakazali wchodzenia do lasu (bo tam się można zarazić) i powoływali się wtedy na uzasadnienia naukowe.

Skoro wtedy zakazali spacerów po pustym lesie, to znaczy, że są idiotami. (Albo bandytami o niejasnych motywach). I warto o tym pamiętać, gdy dzisiaj proponują coś nowego; na dowolny temat.

***

Przy kiblu mam stare gazety, a w biurku kalkulator – narzędzie kluczowe w wykrywaniu przekrętów. Gdy sprawa niejasna, a nawet ciemna czy mroczna lub zagmatwana, kalkulator rozjaśnia wszystko, i to szybko. No na przykład…

Zatrudniam w Polsce pracowników i dobrze im płacę – bo cenni są. Weszły nowe przepisy o masońskiej nazwie Nowy Ład (nowy porządek świata). Pracownicy policzyli, że zaczną dostawać mniej pieniędzy. Zarządziłem w firmie, że będziemy płacić tyle samo na rękę, bo skoro ja się z ludźmi umówiłem na jakąś kwotę, to tyle nadal powinni dostawać. No i policzyłem, ile mnie to będzie kosztowało.

Ten sam pracownik na tych samych warunkach kosztuje mnie z dnia na dzień o 2,2 tys. zł więcej. Pracownik nadal dostaje tyle samo!!! Natomiast ja, czyli pracodawca, wydaję na pracownika 2,2 tys. zł więcej.

W zeszłym roku dostawał 10 tys. zł, a koszt wynagrodzenia brutto i ZUS, czyli wszystko razem, co ja musiałem zapłacić, żeby on dostał swoją dychę, to było prawie 17 tys. W roku 2022 on nadal dostaje swoje 10 tys., ale ja muszę teraz wydać ponad 19 tys. Wolałbym ludziom płacić brutto, a potem niech oni sami odprowadzają Morawieckiemu te wszystkie ZUS-y, składki i podatki. Wówczas ludzie zaczęliby się orientować, jak nas państwo niemożebnie doi; rujnuje podatkami. Ja bym im grzecznie wypłacał całe 19 koła, a potem oni z tego musieliby samodzielnie oddać władzy połowę. Zaczęłaby się wtedy stanowcza i wkurzona rozmowa narodu z władzą na temat „A po cholerę rządowi tyle naszych pieniędzy i na co oni je wydają?”.

***

Polski Ład wprowadził nowe podatki, a władza opowiada banialuki o tym, że to dla naszego dobra. Co to powoduje w gospodarce? Osłabianie przedsiębiorcy takiego jak ja oraz jeszcze wyższą inflację. Bo ja muszę teraz gdzieś zarobić te dodatkowe 2,2 tys. zł, aby zapłacić władzy za mojego pracownika. Zapłacić więcej władzy, a nie mojemu pracownikowi bezpośrednio. Czyli muszę podwyższyć ceny na moje usługi i towary, co wywoła kolejną drożyznę.

Oni tego nie rozumieją, że podwyższanie podatków generuje inflację. Są głupi. (Albo są bandytami o niejasnych motywach).

Kiedy w USA spadły ceny na wszystko? Gdy Trump obniżył podatki.

Kiedy zmalało bezrobocie? Gdy obniżył podatki.

Kiedy miliony ludzi zrezygnowało z zasiłków? Gdy obniżył podatki.

Ktoś powie, że Polska to nie jest USA. Otóż ekonomia to ekonomia, a ekonomia to matematyka, a matematyka wszędzie taka sama. Przekonała się o tym ekonomia socjalistyczna za komuny, gdy wszystko sprowadzało się ostatecznie do tych samych zasad ekonomicznych co na Zachodzie i ekonomia socjalistyczna musiała zbankrutować dlatego, że była… socjalistyczna. „Bo z socjalizmem kłopot polega na tym, że kiedyś kończą się cudze pieniądze”.

***

Czytam więc stare gazety i mam pod ręką kalkulator, ale czasami nie trzeba nawet kalkulatora – wystarczy prosta operacja myślowa „stań na chwilę po drugiej stronie tego równania”. No na przykład…

Kumplowi zaproponowali dotację na panele słoneczne i on mnie pyta, czy ma se założyć.

Moja odpowiedź: Znam kilku takich, którzy skorzystali zarówno w Polsce, jak i w USA i żaden z nich nie jest zadowolony. Ale to są opinie jednostek i może przypadkowo akurat wszystkim nie wyszło. Zastanówmy się więc ogólnie, czy gdyby te panele były takie dobre, to ktoś by nam proponował łapówkę za ich zainstalowanie. No bo czym w istocie są „dofinansowanie” lub „dotacja”? Są łapówką za to, żebyś ty się zgodził. Gdyby były naprawdę dobre, ludzie kupowaliby samodzielnie. Czyli… coś tu jest nie tak. Interes śmierdzi, a skoro śmierdzi, to ja w to nie wchodzę.

***

W USA mają takie powiedzonko „follow the money”, czyli przyjrzyj się, dokąd płynie forsa, skąd wypłynęła, do kogo trafiła, jaka, ile, kiedy. Zastanów się, człowieku, komu płaci władza, gdy daje z budżetu dopłatę do paneli lub to, co wymyślili ostatnio – dopłaty dla rolników do nawozów. Czy to są pieniądze dla ciebie? Nie są! Władza najpierw zbiera forsę od maluczkich, a potem rozdaje dopłaty, które ostatecznie trafiają do wielkich korporacji produkujących nawozy, panele, samochody elektryczne…

Zabranie ludziom forsy w podatkach i przekazanie jej wprost do korporacji byłoby odebrane jako rabowanie narodu na rzecz kilku bogaczy, ale jeżeli się to ubierze w odpowiednie słówka… Panele są za drogie i nieopłacalne, nigdy się nie amortyzują – towar NIECHODLIWY! Bubel, ale gdy wymyślimy dotacje, korporacja będzie produkowała drogie i nieopłacalne buble, a ludzie to będą brać z pocałowaniem ręki, bo „połowę zapłaci mi władza z budżetu”. Mało kto pamięta, że władza cały czas obraca wyłącznie twoimi pieniędzmi, czyli gdy dostajesz dotację, to… sam ją sobie zapłaciłeś!

***

W socjalizmach zawsze kogoś niszczą. Socjalizm dzieli forsę, a nie mnoży.

Po to, by jednym dać „500+”, trzeba najpierw kogoś innego zniszczyć podatkami. To ma być uczciwe i dobre? I nie oszukuj się, że zniszczą innych, ale tobie dadzą. Socjalizm niszczy WSZYSTKICH, choć jednocześnie wszystkim obiecuje równość i dobrobyt.

Żaden rząd nie ma własnych pieniędzy – zawsze wydaje twoje. A z tego wynika prosty rachunek: żeby dać zasiłek tobie, władza musi najpierw tobie zabrać w podatkach, w akcyzach na benzynę, w konfiskacie połowy twojego zarobku co miesiąc, w podatku VAT nałożonym na wszystko, co kupujesz…

Panie WC, to demagogia, bo VAT jest wszędzie. Odpowiadam: nie wszędzie i całkiem niedawno nie istniał także w Polsce. Wprowadzając VAT, należało jednocześnie zlikwidować podatek dochodowy – albo-albo – wtedy byłoby uczciwie.

***

Zasada jest prosta: jeżeli „wpływy do budżetu są zbyt niskie”, to oznacza zawsze i wyłącznie, że rząd wydaje zbyt dużo. Należy obniżyć wydatki, a nie podwyższać podatki. KROPKA. ©℗

eprasa.pl e77d6b1577

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

M. DAMAZYN, S. GALIJ-SKARBIŃSKA, W. POLAK: „NIKCZEMNOŚĆ I HONOR. STAN WOJENNY W STU ODSŁONACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1113 ZŁ~~

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 748 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e77d6b1577

SILNI RAZEM

#TEAMPOLSKA

PEKIN2022

KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

POLSKA

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN LOTTO Enea 4F GRUPA LUXMED LOT TVP EUROSPORT WP Rzeczpospolita Polskie Radio Porty Lotnicze Deloitte. Kinder

eprasa.pl e77d6b1577